

Arkadij I Borys Strugacy

Niedoskonali

Przekład Walentyna Trzcńska

Tytuł oryginału OTIAGOSZCZENNYJE SŁOM, ILISOROK LET SPUSTIA

Wydanie: 1989

Wydanie polskie: 2004

Dziewięciu z dziesięciu nie odróżni mroku od światła, prawdy od kłamstwa, honoru od hańby, wolności od niewoli. Takż i nie znają pożytku od siebie.

Trifilij, raskolnik

Szymon Piotr tedy, mając miecz, dobył go i uderzył sługę najwyższego kapłana, i uciął prawe ucho jego. A słudze było na imię Malchus.

Ewangelia według św. Jana

Niezbędne wyjaśnienia

Dwa rękopisy miałem przed sobą, podejmując ostateczną decyzję napisania niniejszej książki.

Sama decyzja nie wymaga żadnych wyjaśnień. Teraz, gdy imię Giorgija Anatoliewicza wyłoniło się z niebytu, a nawet nie tyle się wyłoniło, ile jakby eksplodowało, w jednej chwili zajmując niemalże czołowe miejsce na liście twórców idei naszego wieku, kiedy wokół tego imienia poczęli tworzyć legendy ludzie, którzy z Nauczycielem nigdy nie rozmawiali, a nawet go nie widzieli; kiedy niektórzy jego uczniowie, miast zwyczajnie opowiedzieć, jak było naprawdę, skrętnie i niebezinteresownie poczęli tworzyć coś w rodzaju współczesnego mitu - teraz przydatność i aktualność mojej decyzji wydaje się oczywista.

Inaczej ma się rzecz z tworzącymi książkę rękopisami. Te, moim zdaniem, bez wątplenia wymagają pewnych wyjaśnień. Pochodzenie pierwszego rękopisu jest całkiem banalne. Są to moje brudnopisy, szkice, uwagi, jakieś cytaty, zapiski - głównie o charakterze diariusza, notowane z myślą o pracy dyplomowej *Nauczyciel XXI wieku*. Wydarzenia tamtego straszego lata sprawiły, że moja praca nigdy nie została napisana i złożona. Oczywiście dziś może tylko zdumiewać zadufanie owego egzaltowanego młodzieńca, zielonego absolwenta Taszlińskiego Liceum Pedagogicznego, który uroił sobie, jakoby był w stanie wyodrębnić i poukładać w formułki główne zasady, jakimi kierował się w pracy jego nauczyciel, skonfrontować je z uznawaną teorią wychowania i w ten sposób stworzyć absolutny portret idealnego pedagoga. Jak sobie przypominam, Giorgij Anatoliewicz do moich zamiarów odniósł się z pewną dozą sceptycyzmu, jednakże do rezygnacji nie namawiał i, co więcej, pozwolił towarzyszyć sobie we wszystkich służbowych peregrynacjach, w tym również w peregrynacjach prowadzących za kulisy ówczesnego taszlińskiego życia publicznego.

I tak zadufany młodzik wędrował za swoim nauczycielem, czasem w towarzystwie innych licealistów (których nauczyciel dobierał według jakichś sobie tylko znanych kryteriów), czasem zaś towarzyszył nauczycielowi sam. Uważnie słuchał, zapamiętywał, zapisywał, wyciągał jakieś wnioski, których obecnie, niestety, nie pamiętam, pałał jakimiś uczuciami, które również skutecznie zdążyła przesłonić mgiełka zapomnienia, a wieczorami, po powrocie do liceum, z uporem i pracowitością kijowskiego mnicha dziejopisa Nestora przelewał na papier to, co go najbardziej uderzyło i co wydało mu się najważniejszym z punktu widzenia przyszłej pracy.

Zapiski te gruntownie przeredagowałem. Coś niecoś musiałem rozszyfrować i napisać

od nowa. Wiele partii rękopisu było za-stenografowanych, zaszyfrowanych kodem, którego teraz już oczywiście nie pamiętam. Odczytanie niektórych okazało się w ogóle niemożliwe. Oczywiście pomiąłem stronice mające osobisty charakter, traktujące o innych osobach i nie dotyczące Georgija Anatoliewicza.

Teraz, kiedy zakończyłem już książkę i nie mam zamiaru zmieniać w niej ani słowa, smutek ogarnia mnie na myśl, iż niewątpliwie odbarwiłem i odcieleśniłem zabawnego, wzruszającego, niekiedy budzącego politowanie młodzieńca, wyzierającego przedtem z za tekstu wraz z jego dotkliwymi problemami wieku dojrzewania, z honorem, który u niego w zdumiewający sposób szedł w parze z nieśmiałością, z fantasmagorycznymi planami, ogromnym poświęceniem i prostodusznym egoizmem. W trakcie pracy wszystko to bezlitośnie eliminowałem, uważałem bowiem - i uważałem zupełnie słusznie - że nie przystoi podkreślać własnej osoby w dramacie nauczyciela. W końcu niniejsza książka jest przede wszystkim o nim, a dopiero później - o mnie.

Tyle o pierwszym rękopisie.

Pochodzenie drugiego rękopisu jest zagadkowe - równie zagadkowe jak jego treść. Georgij Anatoliewicz wręczył mi go tuż po określeniu tematu mojej pracy dyplomowej. Powiedział, że rękopis może mi się przydać w pracy, a przynajmniej jest w stanie wytrącić mnie z kolejnych myślowych schematów. Nie zrozumiałem wówczas jego słów, nie pojmuję ich również i teraz. Widać nie tak łatwo jest mnie wytrącić z kolejnych myślowych schematów.

Georgij Anatoliewicz powiedział, że ów rękopis znaleziono kilka lat wcześniej podczas burzenia starego budynku hotelu pracowniczego Obserwatorium Stepowego, najstarszej instytucji naukowej naszego regionu. Rękopis spoczywał w starożytnej kartonowej teczce na dokumenty owiniętej równie starożytną torebką foliową przepasaną na krzyż dwiema cienkimi czarnymi gumkami. Na teczce nie było ani nazwiska autora, ani tytułu, widniały na niej jedynie wypisane niebieskim atramentem dwie duże litery rosyjskiego alfabetu: O i 3.

Początkowo sądziłem, że są to cyfry “zero” i “trzy”, i dopiero w wiele lat później przyszło mi do głowy, żeby owe litery zestawzić z umieszczonym na wewnętrznej stronie kłapki teczki mottem. “... u gnostyków demiurg to twórczy początek kreujący materię obarczoną skazą zła”. I pomyślałem, że “OZ” to najprawdopodobniej skrót od “Obarczenie Złem” lub “Obarczeni Złem” - tak zatytułował swój rękopis nieznany autor. (Zresztą z równym powodzeniem można przypuszczać, iż “O 3” to jednak nie litery grażdanki, a cyfry. Wówczas rękopis nosiłby tytuł *Zero-trzy*, a jest to numer telefonu pogotowia ratunkowego - i

dziwny tytuł nagle nabiera specyficznego, a nawet złowieszczego znaczenia).

Formalnie za autora należy uznać Siergieja Korniejewicza Manochina, w którego imieniu prowadzona jest narracja. S.K. Manochin, postać najzupełniej historyczna, astronom, doktor nauk matematyczno-fizycznych, rzeczywiście był pod koniec ubiegłego wieku pracownikiem Obserwatorium Stepowego, i to przez dosyć długi okres. Co więcej, istotnie on wprowadził wspomniane w rękopisie pojęcie “gwiezdnych cmentarzysk”. Manochin owo rzadkie i specyficzne zjawisko przyrodnicze przewidział teoretycznie i, o ile dobrze zrozumiałem, zostało ono obserwacyjnie potwierdzone jeszcze za jego życia. Manochin nie zostawił

w nauce żadnych innych zauważalnych śladów, a w każdym razie nie udało mi się odnaleźć żadnych danych na ten temat. A już zupełnie nie udało mi się odkryć informacji wskazujących, że S. K. Manochin kiedykolwiek parał się literaturą piękną. Tak więc problem autorstwa *Obarczonych Złem* do dziś pozostaje dla mnie otwarty.

Czytelnik powinien pamiętać, że w rękopisie *OZ* elementy groteskowej fantastyki chytrze przeplatają się z najzupełniej rzeczywistymi ludźmi i okolicznościami. Nikt, powiedzmy, nie będzie miał wątpliwości co do tego, że Demiurg jest postacią całkowicie fantastyczną (na podobieństwo Bułhakowskiego Wolanda), ale zarazem wspomniany w rękopisie Karl Gawryłowicz Rostlakow istotnie był dyrektorem Obserwatorium Stepowego - pierwszym i najśłynniejszym. Co zaś do zdumiewającej postaci Ahaswera Łukicza, owego człowieka widziałem na własne oczy, przy czym w okolicznościach tragicznych i nie do zapomnienia.

Najprościej byłoby założyć, że autorem rękopisu *OZ* był sam Georgij Anatoliewicz, podobnego założenia nie pozwala mi jednak przyjąć wiele okoliczności.

Papier, teczka, sposób maszynopisania, ortograficzne niuanse - wszystko całkiem jednoznacznie każe datować tekst na lata osiemdziesiąte ubiegłego wieku. W ostateczności na dziewięćdziesiąte. Tak więc Georgij Anatoliewicz, o ile to rzeczywiście on był autorem owego utworu, pisząc go, miałby mniej lat niż ja, kiedy go czytałem. Diabło mało prawdopodobne.

Dalej: tego rodzaju mistyfikacja przeczyłaby wszystkiemu, co wiem o Georgiju Anatoliewiczu - w żaden sposób nie pasuje ani do jego charakteru, ani do jego stosunku wobec uczniów.

Wreszcie treść rękopisu, wybrany przez autora bohater. Po cóż by było Georgijowi Anatoliewiczowi czynić protagonistą swej powieści astronoma? Georgij Anatoliewicz nigdy nie interesował się naukami przyrodniczymi. Oczywiście był na bieżąco z naj - nowszymi

osiągnięciami fizyki i wzmiankowanej astronomii, nie w większym jednak stopniu, niż to bywa w przypadku kulturalnego, wykształconego człowieka. A już doprawdy nie sposób pojąć, w jakim celu miałby, przy jego delikatności, brać na bohatera astronoma realnie istniejącego i w dodatku pracującego tuż pod bokiem, dwa kroki od Taszlińska.

Nie, hipoteza powyższa - przy całym swoim narzucającym się prawdopodobieństwie - nie może zostać uznana za ostateczną. A przecież nie powiedziałem jeszcze niczego (i zresztą na razie nie mam zamiaru mówić) o takich elementach utworu, które w ogóle żadnymi racjonalnymi hipotezami nie dają się wytłumaczyć.

Obawiam się, że sedno problemu tkwi w tym, że nie byłem w stanie pojąć związku, jaki Gieorgij Anatoliewicz dostrzegł pomiędzy moją pracą dyplomową a rękopisem *OZ*, wniosków, do których ów rękopis powinien mnie być doprowadzić. Całkiem możliwe, że gdyby mi się udało odnaleźć ową więź, gdyby udało mi się wydobyć z kolein wspomnianych myślowych schematów, zorientowałbym się lepiej i w treści rękopisu, i w zagadce jego pochodzenia.

Być może któryś z czytelników miał więcej szczęścia (i - powiedzmy otwarcie - bystrości) niż autor niniejszej książki. Zaznaczę jeszcze tylko, że rękopis *OZ* przytoczyłem w książce bez jakichkolwiek poprawek czy pominięć. Pozwoliłem sobie jedynie rozbić go na części, mniej więcej zgodnie ze sposobem, w jaki sam go czytałem w tamto straszne lato (fragmentami, po nocach).

Igor K. Mytarin

DZIENNIK. 10 lipca (noc na 11).

Właśnie wróciłem z patrolu. Lewe ucho spuchło mi jak bania. A było to tak.

Pożegnaliśmy się już. Iwan z Sieriożką poszli w swoją stronę, ja - w swoją. I nagle przy wejściu do parku Kosmonautów widzę, jak trzy, jeżozwierze” przyparły motocyklami do zamkniętej bramy dwóch chłopaków, oczywistych flowersów, i najwyraźniej mają zamiar dokonać na nich chuligańskiego czynu. Zgodnie z wszelkimi zasadami sztuki wydałem wojenny okrzyk politechnika i stanąłem w obronie Flory, jak gdyby była już wpisana do Czerwonej Księgi ochrony przyrody. Nie zdążyłem mrugnąć okiem, gdy “jeżozwierze” nakładły mi po uszach. Mówiąc poważnie, wszystko mogłoby się skończyć niezbyt wesoło, gdyby nie to, że nadciągnęli Wańka z Sieriożą. Usłyszeli awanturę dwie przecznice dalej. “Jeżozwierze” momentalnie dosiadły mechanicznych rumaków i zmyły się. Ale co ciekawe! Flowersi, za których przelałem swoją błękitną krew, również się zmyli w momencie, gdy, jeżozwierze” odwróciły od nich uwagę i skierowały ją na mnie. Łajno.

A patrolując, rozmawialiśmy głównie o “niejadkach”. Nie pamiętam, kto ani dlaczego zaczął rozmowę. Opowiedziałem chłopakom, skąd się wzięła nazwa - nie mieli pojęcia.

(UWAGA PÓŹNIEJSZA. Słowo “niejadek” wymyślił i wykorzystał w jednym z opowiadań pisarz z połowy ubiegłego wieku, Ilia Warszawski. Jego “niejadkami” byli zadowoleni ze wszystkiego mieszkańcy pewnej planety, na której postęp rozpoczął się dopiero wtedy, gdy przybysze - Ziemianie - napuścili na mieszkańców pchły).

Wania Drozdów ma do naszych “niejadków” stosunek nieskomplikowany. Dzielą się dla niego na dwa rodzaje. Do pierwszego należą lumpy, włóczędzy, śmierdzące pasożyty, chlamidomona-dy, niepotrzebne chwasty Flory. Rodzaj drugi to niedomyci filozofowie, domorosłe głęduły, beczkowe diogenesy, niedorajdy o dwóch lewych rękach, bezmózgie beztalencia. Jeden rodzaj wart jest drugiego i dobrze by było pierwszych pogonić z oczu gdzieś na bagna (niechby tam chociaż lekarskie pijawki karmili czy jak), a drugim dać do rąk łopaty i posłać do kopania żeglownego kanału łączącego naszą Taszlicę z Morzem Aralskim. Iwan jako mistrz serowar z niezwykłą surowością odnosi się do ludzi nie-posiadających fachu i nieżyczących sobie takowego posiąść.

Nawiasem mówiąc, jego bezkompromisowy stosunek do “niejadków” ma charakter raczej teoretyczny. Narzeczona Sieriożki pochodzi z rodziny “niejadków” i Iwan na całe miasto bębni z przekonaniem: “Ojczulek Tani? Co mi o nim nawijasz? Toż to przecież człowiek! A ja mówię o trutniach!” Wówczas opowiadam o wujku mojego przyjaciela Michaela. I znowu: “Słuchaj, to przecież zupełnie inna para kaloszy! Czy ja mówię o kimś

takim? On przecież ma talent!”

Żarty żartami, ale w rezultacie całej tej paplaniny ułożyłem sobie dosyć ciekawą klasyfikację współczesnych “niejadków”.

Klasa A. “Elita”. Domorośli filozofowie, poronieni artyści, grafomani wszelkiej maści, zapoznani wynalazcy i tak dalej. Inwalidzi pracy twórczej. Mają upór tworzenia. Brak im talentu i na tym poległi. Nawiasem mówiąc, wujek Miszki także należy do elity, ale innego rodzaju. G.A. podobnych ludzi nazywa rezonatorami i twierdzi, że są wielką rzadkością. Swojego rodzaju dziwnym wybrykiem cywilizacji. Faktycznie, skoro cywilizacja rodzi takie zjawiska jak poezja, to widać powinny powstawać indywidua przystosowane wyłącznie do konsumowania owej poezji. Nie są w stanie tworzyć dóbr materialnych czy duchowych, potrafią jedynie smakować dobra duchowe i dawać rezonans. I ów rezonans okazuje się czymś niezwykle ważnym dla artysty, najważniejszym elementem sprzężenia zwrotnego dla osoby tworzącej dobro duchowe. (Dziwna rzecz - kiperzy herbaty, win, kawy czy sera są powszechnie szanowanymi profesjonalistami, a degustator takiego, powiedzmy, malarstwa - nie krytyk, nie historyk sztuki, nie okolicznościowy gawędziarz, ale właśnie urodzony instynktowny degustator - jest uważany przez nas za próżniaka. Zresztą nic dziwnego w tym nie ma).

Klasa B. Nazwijmy ich “opiekunowie”. Całe życie i cały swój czas poświęcają wychowaniu własnych dzieci i w ogóle doskonaleniu własnej rodziny. Udziału w procesie społecznej produkcji prawie nie biorą, trwają zamknięci na wszystko poza swoją komórką, izolują się. To drażni. Między innymi mnie. Jednak rozumiem ostrożność G.A., gdy odmawia jednoznacznej oceny tego zjawiska. Ryzykowny eksperyment, powiada. Gdyby to zależało jedynie ode mnie, zapewne bym nań nie pozwolił, mówi. Ale pozostaje nam tylko czekać, co z tego wszystkiego wyniknie, mówi. Na pierwszy rzut oka widać, że wyniknąć może cokolwiek. Jak dotąd znane są dzieci “niejadków-opiekunów” i zupełnie udane, i takie nie za bardzo...

Klasa C. “Pustelnicy”. Łaknący zjednoczenia z naturą. Rus-seau, Thoreau i dalej w podobnym duchu. *Walden czyli Życie w lesie*. Nie ma w owych ludziach niczego nowego, istnieli zawsze, teraz po prostu wyroili się szczególnie licznie. Z pewnością dlatego, że wyposażenie turystyczne potaniało i stało się ogólnie dostępne, zwłaszcza wojskowy ekwipunek z demobilu. Także konserwy dla psów i kotów rozpowszechniły się i kosztują grosze.

I wreszcie klasa D. D to właściwie G. (wykreślone). Lumpy. Flora. Całkowity brak dających o sobie znać talentów, kompletna obojętność na wszystko. Lenistwo. Bezwolność.

Maksimum społecznej entropii. Dno.

Nie wiem, gdzie umieścić “jeżozwierzy” z ich motocyklami i sadyzmem, tak samo jak “pterodaktyli” z tymże sadyzmem i lotniami. Jakiś podgatunek stechnicyzowanej Flory. Na pół niejad-ki, na pół kryminaliści.

Otrzymała klasyfikacja jest, mam nadzieję, pojemna. Cóż mają ze sobą wspólnego kipiący entuzjazmem wynalazca perpetuum mobile i na wpół roślinny flowers, który z lenistwa gotów jest robić pod siebie? Odpowiadam: niezwykle skromne potrzeby własne. Wszystkie “niejadki” mają tak niski poziom potrzeb, że usuwa je to poza nawias cywilizacji, jako że nie biorą udziału w powszechnym procesie kultywowania, zaspokajania i generowania potrzeb. Gładka definicyjka. Trzeba będzie opowiedzieć G.A.

A propos, dziś wieczorem G.A. wręczył mi dosyć solidną teczkę muzealnej urody i oświadczył, że rekomenduje ją jako coś w rodzaju literatury do mojej pracy dyplomowej. Sto dwadzieścia cztery numerowane stronic. Na okładce cyfry zero-trzy. A może rosyjskie litery O i Z. Sądząc ze wszystkiego - dziennik. Jakiegoś starożytniaka. Na czytanie nie mam najmniejszej ochoty, ale G.A., wręczając mi teczkę, był tak wieloznaczny i uparty, że przyjdzie się przemóc. Będę czytał co wieczór przed zaśnięciem. Po dziesięć stron.

No bo jaki związek z moją pracą dyplomową mogą mieć takie oto słowa: “Dom ów został oddany pod klucz późną jesienią - padały już lodowate deszcze, a od czasu do czasu sypało nawet śnieżną kaszą...”?

Ucho boli. Weź rowerowy łańcuch. Okręć grubo taśmą izolacyjną - na dziesięć do piętnastu warstw. Powstały przedmiot chwycić za jeden koniec, a drugim naparzać bliźniego. Po uszach.

“We must find a way... to make indifferent and lazy young people sincerely eager and curious - even with chemical stimulants if there is no better way”¹.

 To w rzeczy samej krzyk rozpacz. Ale jak nie krzyczeć? Przecież naszym obowiązkiem jest - nieledwie za wszelką cenę - stworzyć człowieka o określonych właściwościach. Prawie o tym pisał Szklowski: “...gdyby ktoś zechciał stworzyć warunki dla pojawienia się w Rosji Puszkina, jest rzeczą wątpliwą, by przyszło mu do głowy sprowadzanie dziadka z Afryki”.

RĘKOPIS OZ (1-3)

¹ “Musimy znaleźć sposób... jak obojętną i leniwą młodzież uczynić pełną entuzjazmu i ciekawości - nawet za pomocą chemicznych stymulatorów, jeżeli nie ma lepszego sposobu”.

1. Dom ów został oddany pod klucz późną jesienią - padały już lodowate deszcze, a od czasu do czasu sypało nawet śnieżną kaszą. Dom był osobliwy, może nawet unikalny z racji wymyślnej i trudnej do opisanego architektury. Cały z czerwonej cegły, ciągnął się wzdłuż ulicy Bałkańskiej przez ponad dwie przecznice. Dach miał płaski, jak gdyby przeznaczony na lądowisko dla futurystycznych statków powietrznych, fasadę zdobiły wnęki i wygięcia o skomplikowanych kształtach, nad wysokimi łukami mroczyły prostokątne tunele - i ciekawe w jakim to celu przecinały fasadę wąskie, sięgające czwartego piętra nisze? Czyżby przeznaczono je na niewiarygodnie długie i chude posągi jakichś bohaterów czy męczenników minionych lat? Po cóż było architektowi na szczytowych ścianach zdumiewającego domu wznosić najzupełniej forteczne wieżyczki, półokrągłe i o różnej wysokości?

Rusztowania dawno już rozebrano i wywieziono, szyby okien wymyto, nowiutkie drzwi klatek schodowych nie dawały powodu do jakichkolwiek pretensji, także prowadzące ku nim kamienne stopnie były czyste, ale cały teren od owych stopni aż po asfalt jezdni zajmowało błocko przemieszane z pobudowlanymi odpadami. Można tam było znaleźć mokre pooblamywane deski najeżone złowieszczymi gwoździami, potłuczone cegły, popękane płyty żużlobetonu z zardzewiałym zbrojeniem, poskręcane w spiralę przez nieznaną moc rury wodociągowej, zapomniane przez wszystkich żeberka kaloryferów, jakieś pospłaszczane wiadra, a pomiędzy klatką jedenastą a dwunastą poniewierał się przekrzywiony samojezdny mechanizm na gąsienicach i mokry wiatr trzaskał jego uchylonymi drzwiczkami.

Dom został oddany pod klucz, ale nie widać było śladu mieszkańców. Pusto było na klatkach schodowych - pusto, ciemno i cicho. Pachniało świeżą farbą i niezasiedleniem. Podciągnięte pod sam dach pudełka wind zwisały martwo. Wszystkie drzwi prowadzące do wszystkich klatek sprawiały wrażenie zamkniętych solidnie i na amen, i zapewne było tak w rzeczywistości, ale do domu dawało się wejść. Wchodzono doń.

Zapewne też wychodzono. W każdym razie na kamiennych schodkach klatki trzynastej prowadzącej do południowej szczytowej wieżyczki widniały brudne ślady. Na długiej, malowanej klamce technik kryminalistyczny bez trudu odkryłby odciski palców. Tu i ówdzie na cementowej podłodze holu kurz pozbił się w kulki, jak gdyby ktoś, wszedłszy z ulicy, energicznie otrząsnął przemoczony na deszczu kapelusz.

Ktoś też na podeście trzeciego piętra zostawił lub porzucił jako rzecz niepotrzebną, a może zgubił w panice zniszczoną niedomkniętą walizkę, z której wyłaził wątpliwej świeżości ręcznik. A na podeście siódmego piętra, w kącie pod drzwiami do mieszkania

numer 516 niewyraźnie pobłyskiwały dwie puste łuski naboju - może również przez kogoś zgubione, ale najprawdopodobniej spoczywające tam, gdzie je cisnął przy strzale wyrzutnik broni. Przy tym drzwi mieszkania numer 516, jak i drzwi wszystkich prawie mieszkań budynku były szczelnie zamknięte i nie otwierano ich od czasu, gdy owe miejsca opuścił brygadzysta brygady wykończeniowej. Albo, powiedzmy, brygadzysta brygady techników sanitarnych.

Otwarte w owym domu było jedno jedyne mieszkanie, nie wiadomo dlaczego bez numeru - wedle logiki usytuowania mieszkanie numer 527. Mieszkanie, zgodnie z projektem trzypokojowe, znajdowało się na jedenastym, ostatnim piętrze południowej szczytowej wieżyczki. W jednym z pokoi owego mieszkania okno wychodziło na aleję Pracy. Ściany pokoju były wyklejone taniutkimi tapetami bez większych pretensji, pośrodku sufitu sterczały skręcone przewody elektryczne, parkiet, chociaż dosyć gładki, wymagał mimo wszystko cyklinowania, a w oddalonym od okna kącie stała zapomniana przez ekipy budowlane drewniana ława, grubo zachlapana wapnem i farbą olejną.

W pokoju toczyła się rozmowa. Rozmówców było dwóch.

Pierwszy stał przy oknie i spoglądał na błotniste przestrzenie pod szarym, dżdżystym niebem. Ogromnego wzrostu, ubrany był w czarną chlamidę, która całkowicie skrywała zarys sylwetki. Chlamida, dolnym skrajem swobodnie rozpościerająca się na podłodze, w ramionach wyrzuszała się stromo ku górze i na boki na podobieństwo kaukaskiej burki, i to tak energicznie i stromo, z takim mrocznym wyzwaniem, że nasuwała myśl już nie o burce - na świecie nie ma podobnych burek! - ale o ukrytych pod czarną materią potężnych skrzydłach. Oczywiście nie mógł mieć żadnych skrzydeł, pewnie zresztą nie miał, po prostu był ubrany w szatę o niezwykłym i niespotykanym kroju. A szata nie była ani dziwniejsza, ani bardziej niezwykła niż sama materia, z której ją wykonano, z majaczącymi na niej mrocznymi cieniami: na osobliwej chlamidzie nie zaznaczała się ani jedna fałdka, ani jedna zmarszczka, tak że chwilami mogło się wydawać, iż to nie żadna szata, lecz mroczne miejsce w przestrzeni, gdzie niczego nie ma - nawet światła.

Na głowie stojący przy oknie miał niewątpliwie perukę, białą, może nawet upudrowaną, z krótkim, ledwie sięgającym ramion warkoczem mocno związanym czarnym sznurkiem.

- Co za smutek! - powiedział stojący przy oknie jak gdyby przez zaciśnięte zęby. - Patrzysz i zdaje ci się, że wszystko się zmieniło, a przecież w gruncie rzeczy wszystko pozostało jak dawniej.

Jego współrozmówca nie od razu zareagował. Skrzyżowawszy krótkie, niesięgające

podłogi nożyny, siedział na ławie - najwidoczniej zupełnie bez obawy, że się wybrudzi - i szybko wertował opasy, zniszczony notes, co i rusz łapiąc i na powrót umieszczając na swoim miejscu wypadające kartki. Mały, tłuśta-wy, niedomyty człowieczek w nieokreślonym wieku, w szarym znoszonym garniturze: rurkowane spodnie, opadające, równie szare skarpetki i tak samo szare od długiego używania kamaszki niepamiętające ni szczotki, ni pasty, ni choćby gałganka. I szary poskręcany krawat z węzłem, jak mawiają Anglicy, pod prawym uchem.

Człowieczkowi z pewnością było gorąco, jego pulchną zaczerwienioną twarz pokrywały kropelki potu. Mokre białawe włoski lepiły się mu do czaszki i przeświecała przez nie różowa skóra. Człowiek zdjął kapelusz i paltocik, poniewierały się teraz w kącie niechlujną, na wskroś przemokniętą stertą razem z obszarpaną pękatą teczką z czasów pierwszego NEP-u. Całkiem zwyczajny człowieczek, w żaden sposób niepasujący do istoty, co czarną bryłą wznosiła się u okna.

- Za to jakże ty się zmieniłeś, Garncarzu - odezwał się w końcu człowieczek. - Nie sposób cię poznać! Nikt cię zresztą nie pozna...

Stojący u okna chrząknął. Warkoczyk drgnął. Poruszyły się skrzydła czarnej chlamidy.

- Mówię o czymś innym - powiedział. - Nie rozumiesz.

Szary człowieczek jak gdyby go nie słyszał, w dalszym ciągu wertował swój notes. Notes był niezwykły: to ta, to znów inna kartka zniecka rozjarzała się od wewnątrz jaskrawym czerwonym światłem, a niekiedy krawędzie ogarniała płomienista obwódka i przez moment unosił się nawet dymek, po czym sztuczki dobiegały końca i można było odetchnąć z ulgą, że po raz kolejny grube przybrudzone palce szarego człowieczka ocalały.

- Nie jesteś zresztą w stanie zrozumieć - ciągnął stojący u okna. - Przez cały czas tkwiłeś tutaj i wszystko ci się opatrzyło... A ja spoglądam świeżym okiem. I widzę, że pewne fundamentalne kwestie pozostały niewzruszone. Na przykład nadal nie wiedzą, po co przyszli na świat. Jak gdyby chodziło o tajemnicę zamkniętą na siedemnaście zamków!...

- Siedem pieczęci - machinalnie poprawił szary człowieczek.

- Tak. Oczywiście. Siedem pieczęci... O, proszę na nich popatrzeć: na przełaj, przez błoto, czepiając się jeden drugiego, jak chorzy... Przecież oni są pijani!

- O tak, to się tutaj zdarza - oświadczył szary człowieczek, odrywając się od swojego zajęcia. Założył notes palcem i wbił wzrok w plecy stojącego u okna, w gładką czarną przestrzeń pod warkoczykiem. - Ostatnio mniej, ale jednak się zdarza. Przywykniesz,

Hefajstosie, obiecuję. Nie grymas. Dawniej nie grymasiłeś!

Stojący u okna powoli odwrócił głowę i spojrzął na szarego rozmówcę. Rozmówca momentalnie odwrócił wzrok, cofnął się i nastroszył, jak gdyby w twarz buchnęło mu rozpalonym żarem.

Albowiem stojący u okna miał tego rodzaju oblicze, że nikt nie był w stanie doń przywyknąć. Było ascetycznie chude, pocięte wzdłuż policzków pionowymi zmarszczkami, jak szramami, po obu stronach wąskich niczym blizna bezwargich ust, ust wykrzywionych ni to zastarzałym paraliżem, ni to wielkim cierpieniem, a być może po prostu głębokim niezadowoleniem z powodu ogólnego stanu *rzeczy*. Jeszcze gorsza była barwa owej wycieńczonej twarzy - zielonkawa, martwa, kojarząca się zresztą nie tyle z rozkładem, ile raczej z grynszpanem, z niechlujną śniedzią na starym, dawno nieczyszczonym spiżu. Także nos istoty, zniekształcony jakąś skórną chorobą w rodzaju toczenia, wyglądał na wybrakowany spiżowy odlew byle jak przyspawany do twarzy posągu.

Ale największą grozę budziły oczy pod wysokim, pozbawionym brwi czołem - wielkie i wypukłe niczym jabłka, błyszczące, czarne, o białkach upstrzonych krwawymi żyłkami. Zawsze, we wszystkich okolicznościach, oczy płonęły jednym i tym samym wyrazem - gniewnej, wściekłej stanowczości przemieszanej pół na pół z odrazą. Spojrzenie owych oczu działało jak cios, po którym następuje dzwoniąca cisza - półomdlenie.

- To nie grymaszenie - oznajmił stojący u okna. - Dawniej również nienawidziłem pijaków - tych wszystkich zjadaczy muchomorów, maku, konopi... Może od tego trzeba mi było wówczas zaczynać, ale przecież nie starczyłoby czasu!... A teraz, widzę, jest już za późno... Zauważyłeś, wczorajszy klient zjawił się podchmielony! Do mnie! Tutaj!

- Przecież oni boją się! - powiedział szary człowieczek z wyrzutem. - Spróbuj ich zrozumieć, Tkaczu, oni się ciebie boją!... Nawet ja boję się czasami...

- Dobrze, dobrze, już o tym mówiliśmy... Już to wszystko słyszałem: człowiek myślący to nie zawsze myślący człowiek... homo sapiens oznacza potencjalną zdolność myślenia, ale nie zawsze możliwość myślenia... i tak dalej. Nie zajmuję się samopocieszaniem i tobie również nie radzę... Ot co: chcę tu mieć pomocnika. Jest mi potrzebny pomocnik. Młody, wykształcony, dobrze ułożony człowiek. Potrzebny mi człowiek, który mógłby przywitać klienta, pomóc mu ubrać płaszcz...

- Założyć - powiedział szary człowieczek bardzo cicho, ale stojący u okna usłyszał go.

- Co?

- Powinno się mówić: "założyć płaszcz".

- A jak powiedziałem?

- Powiedział pan: “ubrać”.

- A powinno być?

- “Założyć”.

- Nie wyczuwam różnicy - powiedział stojący przy oknie.

-

- Niemniej jednak różnica istnieje.

- Dobrze. Tym bardziej. Przecież mówię: potrzebny jest mi wykształcony człowiek, doskonale znający miejscowy dialekt.

- Dzisiejsi młodzi ludzie, Kowalu, słabo znają swój język.

- Niemniej jednak potrzebny jest mi ktoś młody. Niezręcznie byłoby mi komenderować starcem, a ja zamierzam właśnie komenderować.

- Tutaj nikt niczego nie robi za darmo - napomknął z cynicznym uśmiechem szary człowieczek. - Ani starzy, ani młodzi. Ani dobrze wychowani, ani chamy. Ani wykształceni, ani ignoranci... Może co najwyżej jakiś wniebowzięty pijaczyna, a i ten wciąż będzie miał nadzieję, że zaraz mu postawią. Z szacunku.

- No cóż. Nikt go nie będzie zmuszał do pracy za darmo... Ależ z ciebie jednak gaduła. Masz kogoś na oku?

- Miałeś szczęście, Chnumie. Mam odpowiedniego osobnika. Czterdzieści lat, doktor nauk matematyczno-fizycznych, ogładzony na tyle, że umie nawet posługiwać się nożem i widelcem, prawie nie pije. A co się tyczy jego samoistnej substancji istniejącej niezależnie od ciała...

- Proszę mnie do tego nie mieszać! Proszę nie mieszać mnie do swoich geszeftów! Powiedz lepiej, o co tamten prosi. Cena!

- Słabo się w tym orientuję, Ilmarinenie. Nawiasem mówiąc, gwarantuję, że jego prośba cię rozweseli. Inna sprawa, czy będziesz w stanie ją spełnić!

- Aż tak?

- Właśnie tak.

- I sądzisz, że rzecz leży poza granicami moich możliwości?

- A ty nadal uważasz, że możesz wszystko?

Czarno-krwawa gałka oka zerknęła ponad lewym skrzydłem na szarego i człowieczek ponownie odskoczył i spuścił wzrok.

- Pohamuj swój nędzny język, rabie!

Nastąpiła dzwoniąca cisza i dopiero po paru długich sekundach niepokromiony szary człowieczek mruknął:

- Po cóż tak górnolotnie, drogi Ptahu? Proszę zwracać się do mnie zwyczajnie: Ahaswerze Łukiczu.

- A to co znowu za bzdura - rzekł z odrazą stojący u okna. - Co ma do tego Ahaswer?...

-

2. Rzeczywiście, co ma do tego Ahaswer? Specjalnie sprawdzałem: tamtego nazywano Espera Dios (co znaczy: "oczekuj Boga"), nazywano go również Buttadeus (co znaczy, "ten, który uderzył Boga"). Był to jakiś starożytny kłótniwy Żyd, na wieki wstawiony tym, że nie pozwolił nieszczęsnemu Jezusowi z Nazaretu usiąść na swym progu i odpocząć - na progu Ahaswero-wym, chciałem powiedzieć. I za to Bóg, nader pedantyczny w kwestiach etyki, przeklął go klątwą nieśmiertelności, przy czym połączoną z przekleństwem bezustannego tułactwa. "Wstań i idź!"

Zacznijmy więc od tego, że z Ahaswera Łukicza żaden Żyd, Żyda nawet nie przypomina. Z wyglądu najbardziej jest podobny do aktora Leonowa (Eugeniusza) w roli zaprzysięgłego starego kawalera, całkowicie pozbawionego kobiecej troski - w życiu nie widziałem równie wyszmelcowanych marynarek i równie znoszonych koszul. Dalej: Ahaswer Łukicz istotnie jest diablo ruchliwy i nie ma stałego miejsca zamieszkania, jest bowiem agentem ubezpieczeniowym, a leżąc, wilk nie utyje, jak mówi przysłowie. Sypia jednak jak wszyscy normalni ludzie (plus godzinkę po obiedzie) i żadne mistyczne głosy nie rozkazują mu, ledwie przymknie oczy: "Wstań i idź!"

Poznałem go pod koniec lata, gdy wróciwszy z nieszczęsnego sympozjum w Leningradzie odkryłem, że podczas mojej nieobecności dokwaterowano mi do pokoju jakiegoś działacza, najzupełniej obcego i niemającego nic wspólnego z obserwatorium. Oburzenie, w połączeniu ze wszystkimi nieprzyjemnościami, jakie miały miejsce w Leningradzie, wytrąciło mnie z normalnego stanu ducha tak dalece, że poniżyłem się do awantury. Nakrzy-chałem na dyżurną - oczywiście Bogu ducha winną. Starłem się przez telefon z Susłoparinem, oskarżyłem go o korupcję i w pół słowa cisnąłem słuchawkę. Nie oszczędziłbym również mego Karła Gawriłyca, dobitnie wyjaśniając, że bycie dyrektorem obserwatorium oznacza w pierwszym rzędzie zapewnianie komfortowych warunków życia obserwatorom, ale na szczęście przebywał wówczas w Moskwie, w Akademii Nauk. Obecnie ze wstydem wspominam moje ówczesne zachowanie. Ale wtedy zbyt mocno mnie trafiło: wchodzę do pokoju - własnego, rodzzonego, raz na zawsze przeze mnie zarezerwowanego - i na swoim stole widzę czyjeś ohydne skarpetki, niedbale rzucone na mój rękopis...

Zresztą, jak to często w życiu bywa, wszystko okazało się nie tak znowu straszne i beznadziejne.

Ahaswer Łukicz dał się poznać jako człowiek niezwykle łatwy i miły we współżyciu. Był absolutnie nieszkodliwy, do niczego nie pretendował i ze wszystkim się zgadzał. Z miejsca uprał swoje skarpetki. Z miejsca poczęstował mnie czerwonym kawiozem z puszki. Znał niewiarygodnie dużą liczbę nienagannie świeżych i przy tym śmiesznych dowcipów. Jego historie z życia wzięte nigdy nie były nudne. Udawało mu się zupełnie nie zajmować miejsca. Był i zarazem jak gdyby go nie było, pojawiał się w polu mojego widzenia jedynie wówczas, kiedy nie miałem nic przeciwko temu, żeby go dostrzec. Był pod ręką, tak bym to nazwał. Zawsze był pod ręką.

Lecz przy tym wszystkim miał w sobie coś, delikatnie mówiąc, zagadkowego. Bardzo się starał nie stwarzać wrażenia tajemniczości i z reguły doskonale mu się to udawało: komiczny szary człowieczek, niezwykle uprzejmy i absolutnie nieszkodliwy. Ale od czasu do czasu przebłyskiwało w nim lub obok niego coś nieuchwytnie osobliwego, coś zagadkowego i budzącego niepokój, a nawet, niech to licho, przerażającego. Na przykład jego zdumiewający notes... albo zwyczaj wkładania na noc sztucznego ucha do jakiegoś alchemicznego naczynia... albo inny zwyczaj - niezrozumiałego mrużenia do słuchawki odłączonego telefonu... ale o tym dosyć, o tym później. A już nie wspomnę o jego teczce!

Pierwsze co zdumiewało: za jakie niewiarygodne zasługi nędznego agenta ubezpieczeniowego dokwaterowujądo mnie, doktora in spe, człowieka, który rozstawił obserwatorium... zostawmy zresztą w spokoju naukę, co nauka obchodzi naszego Susłopari-na? Do mnie, do osobistego przyjaciela dyrektora, dokwatero-wują zwykłego agenta ubezpieczeniowego! Szanowni państwo! Nasz zastępca do spraw ogólnych, towarzysz K.I. Susłoparin nigdy i niczego nie robi na próżno, ani niczego i dla nikogo nie robi za darmo. Widocznie z systemu państwowych ubezpieczeń można wyciągnąć jakąś ogromną, mało komu znaną korzyść, a my wszyscy, zwykli śmiertelnicy, czegoś tu do końca nie rozumiemy i nie otrzymujemy czegoś nadzwyczaj istotnego, pochopnie przechodząc obok zagląającego nam w oczy skromnego człowieczka pragnącego wcisnąć umowę na trzy ruble rocznie... Tę zagadkę sformułowałem od razu pierwszego dnia znajomości z Aha-swerem Łukiczem, ale inne moje troski i nieprzyjemności owych czasów sprawiły, że pozostałem wobec niej w ogóle i w szczególności obojętnym. Co mnie koniec końców obchodzą zawile machinacje towarzysza Susłoparina?

Dziwiło oczywiście, dlaczego ma na imię Ahaswer. Wciąż miałem ochotę zapytać: co ma do tego Ahaswer? Co to za Luka się znalazł, że rodzzonego syna nazwał Ahaswerem? (A

może jednak nie rodzonego? Wówczas jakby łatwiej, choć sprawa mimo wszystko pozostaje niezrozumiała...) Tyle że nie zapytasz ledwie znanego człowieka, skąd wytrzasnął takie imię, a na podstępne pytanie o rodziców Ahaswera Łukicza odparł: “Och, moi rodzice, to było tak dawno...” i zaraz skierował rozmowę na inny temat.

Zdumiewała popularność Ahaswera Łukicza w Taszlińsku. Kiedy wyjeżdżałem do Leningradu, nikt w mieście nawet o nim nie słyszał, a teraz, zaledwie w dwa tygodnie później, jak się zdawało, ani w obserwatorium, ani nawet w całym mieście nie było człowieka, który nie byłby zainteresowany osobą Ahaswera Łukicza.

Nawet absolutnie obcy ludzie zatrzymywali mnie na ulicy (w sklepie, na Terenkurze, na przystanku autobusowym), żeby dowiedzieć się, co słyhać u Ahaswera Łukicza, i przekazać mu najserdeczniejsze pozdrowienia. Gorzej: po złodziejskim spojrzeniu rzuconym na boki oświadczano coś w tym guście, że umowę może i dałoby się podpisać, tylko dobrze by było podwoić sumę ubezpieczenia. I rzecz dziwna! Gdy przekazywałem to Ahaswerowi Łukiczowi, ów zawsze w jednej chwili pojmował, o kogo dokładnie chodzi, jak gdyby zawczasu owych pozdrowień i propozycji oczekiwał. Zaraz z głębin znoszonej maryna-reczki wynurzał się jego słynny notes i wypadające stroniczki zaczynały śmigać mu w palcach, sprawiając wrażenie, iż zaraz się zapalą od tarcia o powietrze. I zapalały się: widziałem to niejednym razem na własne oczy: zapalały się, płonęły i nie spopielaly...

Zaiste, Ahaswerze Łukiczu, mówiłem doń z obawą, zaiste w dzisiejszych czasach sztuka ubezpieczeń wymaga od swych adeptów zgoła niezwykłych zdolności. Na co on zawsze odpowiadał z tym swoim dziwnym uśmiechem: “A jakże, ojczulku. Konkurencja! Dzisiejszy agent ubezpieczeniowy to, widzisz,

człowiek szeroko i wysoko wykształcony, to, ojczulku, dyplomowany inżynier albo doktor nauk! Nieodzowne jest wyrafinowanie, ojczulku, sama nauka to za mało, niezbędna jest również sztuka, inaczej tylko patrzeć, jak przejmą ci klienta, nie zdążysz nawet porządnie kichnąć!”

Cała ta sprawa nawet nie zalaływała nauką. Pachniała mistyką. Piekłem pachniała, panowie! Taka myśl przychodziła do głowy każdemu, kto choć raz widział w akcji teczkę Ahaswera Łukicza. Na pierwszy rzut oka nie robiła szczególnego wrażenia: bardzo duża, bardzo stara aktówka szczelnie wypchana teczkami na dokumenty i jakimiś blankietami. Zazwyczaj spokojnie sobie stała gdzieś w zasięgu ręki właściciela i zachowywała się przyzwoicie, ale jedynie do chwili, gdy Ahaswer Łukicz był zmuszony coś do niej włożyć. To znaczy, kiedy Ahaswer Łukicz coś z owej teczki wyjmował, zachowywała się ona jak każda

inna wypchana po brzegi aktówka: obficie wyrzucała ze swych trzewi zbędne skoroszyty, wysypywała jakieś koperty, zapisane płachty papieru, jakieś wykresy i grafiki; wciskała w szperającą rękę to, co zbyteczne, i skrywała to, czego szukano. Kiedy jednak aktówkę otwierano, żeby w nią coś jeszcze wepchnąć (czy chodziło o urzędowy papierek, czy o zapakowane w celofan drugie śniadanie), można było oczekiwać wszystkiego: fontanny lodowatej wody, kłębow śmierzącego dymu, języka ognia, a nawet niewielkiej błyskawicy z grzmotem. Według moich obserwacji w podobnych chwilach nawet sam Ahaswer Łukicz miał się przed swoją teczką cokolwiek na baczności.

Tyle o teczce.

Teraz o telefonie. Do Ahaswera Łukicza dzwoniono dosyć często. Brał wówczas słuchawkę, słuchał i krótko odpowiadał, na przykład: "Zgoda", albo przeciwnie: "Nie da rady", a niekiedy zwyczajnie: "Aha", i od razu słuchawkę odkładał. Jeśli złowił przy tym moje spojrzenie, natychmiast przyciskał do piersi brud-nawą łapkę o krótkich palcach i milcząco prosił o wybaczenie.

Z własnej inicjatywy do telefonu uciekał się rzadko i podobne operacje wyglądały na wzięte żywcem z taniego przedstawienia. Uśmiechając się przeprasząc, wyrывał sznur telefonu z gniazdka, zanosił uwolniony aparat do swojego kąta, podnosił słuchawkę i odgradzony ode mnie ramieniem, zaczynał coś niewyraźnie mamrotać. Chwytałem jedynie pojedyncze, brzmiące z cudzoziemską wyrazy, a może nawet nie były to wyrazy, lecz imiona własne, bardzo mnie podówczas intrygujące. Szczerze mówiąc, wszystko to było nawet nie tyle dziwne, co śmieszne. Brało mnie, wybuchałem śmiechem mimo fatalnego ówczesnie nastroju. Sądziłem, że - szary, pocieszny kłown - w ten sposób mnie rozwesela, ale pewnego razu zbudziłem się przypadkiem niezwykle jak na mnie wcześniej i byłem świadkiem, jak tę swoją telefoniczną pantomimę rozgrywa, sądząc, że śpię. Okazało się wówczas, że nie ma w tym wszystkim nic śmiesznego. To było straszne, straszne do utraty przytomności, ani odrobinę nie śmieszne...

Siedzę teraz na pochłapanej zaprawą ławie w pustym pokoju wyklejonym taniutką tapetą, zupełnie sam; czekam i tchórzliwie zerkam na drzwi do Gabinetu. Drzwi jak zwykle są otwarte na oścież, a za nimi jak zwykle mrocznieje kosmiczna ciemność, i jak zwykle zapalają się w niej niechętnie i natychmiast gasną białawe ognie.

Piszę to wszystko, ponieważ nie znam innego sposobu przekazania komukolwiek swojej wiedzy, piszę źle, "ciemno i przy-ciężko", piszę chaotycznie, albowiem wiele rzeczy splątało się w mej biednej pamięci ogłuszonej widzianym. Jestem zmiażdżony i upokorzony, stropiony i zagubiony.

Znamy poczucie głębokiego zadowolenia, znamy uczucie świętego oburzenia, tyle że z poczuciem godności własnej od dawna jesteśmy na bakier. Dlatego kiedy nasze najzwyczajniejsze doświadczenie i nasza doświadczona mądrość (równie głęboka jak głęboki bywa talerz do zupy) zderzają się, nawet nie ze strasznawym Ahaswerem Łukiczem czy jego zgoła przerażającym partnerem (panem? twórcą?), ale choćby ze zdeklarowanym chamem lub wzorcowym okazem kanalii, z reguły gubimy się. W takim przypadku powinniśmy oprzeć się na poczuciu godności własnej, skoro nie stajemy mądrości czy choćby życiowego doświadczenia, ale godności własnej nam brak i stajemy się cyniczni, niedbali i ordynarnie ironiczni. Tak więc niechaj nikogo nie dziwi kpiarski ton, w jakim piszę o moich perypetiach. Nie ma w nich nic zabawnego ani ciekawego. Tak naprawdę po prostu się boję. I bałem się zawsze. Już nie pamiętam od kiedy. Zdaje się - od samego początku...

3. Nasz Pokój Przyjęć najbardziej przypomina magazyn meblowy. Składający się z trzydziestu siedmiu elementów jugosławiański komplet Architekt upchano cudem na powierzchni 18,58 m². Są tu dwa trzyczęściowe lustra i cudaczne, niewiarygodne, nieogarnione łóżce, na którym spoczywa dwanaście pufów, a mogłoby dwunastu komandosów wraz z panienkami. Są jakieś oszklone szafy niewiadomego przeznaczenia i mikroskopijna biblioteczka zastawiona atrapami książek, atrapami nader realistycznymi. (Pamiętam - ujrzawszy po raz pierwszy wypisany złotymi literami na grzbietach Rudyard Kipling, Petroniusz Arbiter, Edgar Rice Burroughs - zareagowałem błyskawicznie i odruchowo: "Trudno! Niechaj będzie, co ma być, wszystko konfiskuję!") I jakież było moje rozczarowanie, gdy chwyciwszy upragniony tomik, odkryłem, iż trzymam w ręku pustą kartonową okładkę. Ahaswer Łukicz, który wyrósł mi gdzieś spod łokcia, powiedział współczująco: "To dekoracja, Sierioża, tylko dekoracja"). Są w Pokoju Przyjęć dwa fotele obite lśniąca brązową skórą - jeden dla gości, a drugi nie wiadomo dla kogo, jako że dokładnie pośrodku jego siedzenia zupełnie otwarcie i zuchwale sterczy długi na jakieś dwadzieścia centymetrów stalowy szpikulec, w dodatku tak ostry, że dreszcz bierze na myśl o nieszczęśniku, dla którego fotel przeznaczono.

Poza owym szpikulcem w Pokoju Przyjęć można odnaleźć również i inne przedmioty niewchodzące w skład jugosławiańskiego kompletu. Spod łóżca wyglądają bardzo duże rozczłapane kapcie w paski. W najdalszym kącie, gdzie jak dotąd nie udało mi się dotrzeć, stoją pionowo grube rulony - map, linoleum albo dywanów, a być może zwykłego papieru. Obok rulonów wisi, zasłaniając połowę okna, obraz z motywem antycznym: *Zuzanna i lubieżni starcy*. Starcy wyglądają na nim jak to starcy i Zuzanna, ogólnie rzecz biorąc,

również jak Zuzanna - ale nie wiadomo dlaczego, przedstawiono ją z potężnym penisem odtworzonym ze wszystkimi anatomicznymi szczegółami. W zestawieniu z owymi szczegółami pomarszczone fizjonomie i maślane oczka starców, a nawet ich zarumienione łyśki nabierają specyficznego, niedającego się opisać wyrazu.

I mnóstwo telewizorów. Przez cały czas ktoś zmienia ich liczbę i modele, ale nigdy nie bywa ich mniej niż cztery. Włączać i wyłączać ich nie potrafię, robią to same. Same też nastawiają ostrość obrazu, same regulują kontrast i same wybierają sobie programy. Programy, należy nadmienić, bywają dziwaczne. Pamiętam, jak kiedyś zniemacka zaczęła się transmisja z prosektorium. Dokładniej mówiąc - film fabularny z życia anatomopatologów. Zdumiewający obraz, feeria barw, odniosłem wrażenie, że nawet zapaszkiem zaleciało. Klienta, którego zaskoczyła transmisja, musiałem pospiesznie wywlec do łazienki, a i tak zapaskudził część Pokoju Przyjęć i cały przedpokój. (Pamiętam, był to szef do spraw zaopatrzenia finansowego n-tego batalionu budowlanego, a przyszedł wyprosić dla naszego radzieckiego rubla status waluty wymiennej). Albo, pamiętam, pewnego razu JVC przez bite półtorej godziny nadawał w wersji czarno-białej praktyczne lekcje renowacji i ostrzenia igiełek do prymusa. Okazuje się, że jest to potrzebne i takie igiełki jeszcze istnieją...

Telefony. Są niezmiennie trzy. Pierwszy stoi na moim stoliku - luksusowy, z przyciskami i pamięcią komputerową o pojemności dwustu pięćdziesięciu sześciu numerów, z wbudowanym małym ekranem i napędem dyskowym dla dyskietek. Nie działa. Drugi telefon przymocowano do framugi za moim miejscem pracy. Jest to najzwyczajniejszy automat telefoniczny, można wrzucić monetę i zadzwonić do rodziny czy przyjaciół, o ile ktoś takowych posiada. Można również nie dzwonić. Czasami automat rozbrzmiewa odrażającymi kwaczącymi dźwiękami. Podnoszę słuchawkę i Demiurg mówi rzeczy nieprzeznaczone dla uszu klienta. Są to z reguły polecenia z hotelowo-restauracyjnego repertuaru. "Na obiad takiemu to a takiemu podać pół porcji solanki, tylko gorącej!" Albo: "Pościel w pokojach znowu jest wilgotna. Proszę się tym zająć". A nawet: "Siergieju Korniejewiczu, ja po prośbie. Głowa mi pęka. Miał pan, zdaje się, pentalgin..." Wówczas przepraszam klienta i lecę odpracowywać swój chleb. Sensu w tym wszystkim czy chociażby zwykłej logiki nie szukam już od dawna... Co się zaś tyczy trzeciego telefonu, jest to złoty obiekt w stylu retro, w ciemnościach świeci, a pożytku nie ma zeń żadnego, ponieważ znajduje się na szafie, przed którą tkwi tremo, przed którym z kolei stoją jedna na drugiej dwie szafki pościelowe na wysoki połysk. Niekiedy owe pozłociste megate-rium dzwoni. Dźwięk ma łagodny, melodyjny, radujący uszy. Tak że pożytku z niego więcej niż z Zuzanny.

Każdego ranka pełzam, chodzę na czworakach, przeciskam się pośród całego tego dobra z odkurzaczem. Odkurzacz mamy niepospolity. Zebrany kurz sprasowuje w brykiety. Brykiety oddaję za pokwitowaniem Ahaswerowi Łukiczowi, ten sporządza protokół ubytku i wrzuca brykiety do swojej teczki. Pokwitowanie i protokół jestem zobowiązany wręczać osobiście Demiurgowi. Zupełnie nie mogę zrozumieć, skąd w Pokoju Przyjęć bierze się tyle kurzu. Słowo honoru, codziennie ze dwieście gramów brykietów...

Z jakiegoś powodu szczególnie dużo kurzu gromadzi się w szafie na ubrania. Jest taka w Pokoju Przyjęć, całkowicie dostępna i pełna odzieży. Na każdy rozmiar i każdy gust. Można w niej znaleźć trzyczęściowy męski garnitur, zupełnie nowy, w ogóle nienoszony. A obok wisi pognieciony ortalionowy płaszcz z rękawem wybrudzonym zaschniętym ulicznym błotem, i w jego kieszeni znajdzie się zmięta paczka Primy z jednym jedynym, na dodatek złamanym papierosem. W szafie można odkryć i bluzę od szkolnego mundurka z pocerowanymi łokciami, i wspaniałe włosate palto współczesnego wielmoży, i kompletną skórzaną damską garsonkę z odciskiem ażurowej parkowej ławeczki na siedzeniu i plecach, i zestaw różnokolorowych męskich koszul umieszczonych na jednym wieszaku... A na dole, w warstwach najrozmaitszego starego i nowego obuwia znalazłem wczoraj świadectwo ucznia klasy 5A ze szkoły numer 328, Siergieja Manochina, ze stopniami za pierwszy kwartał roku 195 8, z dwójką z historii i dwiema trójkami - z rysunków i wuefu...

3. Wieczorem pierwszego, jak pamiętam, sierpnia (rzecz działa się jeszcze w Taszlińsku) zatrzymał mnie na Terenkurze nasz szofer Grinia. Wziął mnie na stronę i...

DZIENNIK. 12 lipca.

...Z miasta będzie tam jakieś piętnaście kilometrów.

Na dziesiątym kilometrze szosy północno-wschodniej należy skręcić w lewo na drogę gruntową. Droga wije się wśród wzgórz, niemal przez cały czas równoległe do Taszlicy płynącej na tym odcinku pomiędzy wysokimi, urwistymi brzegami z białej i czerwonej glinki. Wzgórza są okrągłe, wypalone, porasta je krótka,

twarda i kłująca trawa. Obłok kurzu za samochodem sięga samego nieba. Po jakichś dwu kilometrach po lewej stronie otwiera się widok na starożytne cmentarzysko padłych zwierząt. Wielka straszna góra końskich, baranich i krowich czaszek, kręgosłupów, łopatek, żeber; kości są białe jak kurz, a oczodoły czarne. Robi wrażenie. G.A. powiada, że cmentarzysko ma ze sto lat, może nawet dwieście.

Trzy kilometry dalej (według wskazań spidometru) trafia się do rajskiego zakątka. Jest to rozpadlina pomiędzy wzgórzami - bujne drzewa, cień, chłodek, miękka zielona trawa

sięgająca gdzieś wyżej pasa. Tazzlca tworzy w tym miejscu zakole i rozlewa się w zatoczkę. Gładka ciemna woda, liście wodnych lilii, trzcinowe zarośla, błękitne ważki. Raj. Raj utracony i odzyskany.

Jednak owo wrażenie zasadniczo psuje widok koczowiska Flory. Zdaje się, że zdobyli gdzieś powłokę starego balonu i narzucili ją na wierzchołki młodych drzewek i wysokich krzaków. Wyszło coś w rodzaju wielkiego, niechlujnego namiotu o nieokreślonej brudnej barwie z zaciekami. Widocznie pod tym namiotem chronią się całą gromadą przed deszczem. Trawa dookoła została wydeptana i pożółkła. Nieopisana ilość pomiętych papierków, opakowań, porwanych torebek foliowych, niedopałków i pustych puszek po konserwach oraz butelek. Smród. Muchy. Mnóstwo wypalonych czarnych plam - ślady ognisk. Słowo daję, od patrzenia na to robi się niedobrze.

Pomiędzy krzakami porozciągano sznurki. Na sznurkach suszą się szmatki: bawełniane koszulki, spódnice, plamiaste kombinezony, jakieś podejrzanе gacie... Na innych sznurkach suszą się ryby. Jak się okazuje, w Tazzlcy jest sporo ryb, kto by pomyślał! Dymi kilka ognisk, bulgoczą nad żarem okopcone kociołki. Czterdzieści tysięcy lat przed naszą erą. A w oddali garnie się do siebie całe stadko poszczepianych rogami motocykli.

Flowersi zainteresowali się naszym przyjazdem, ale pasywnie. Kto siedział, robił to nadal, kto leżał, nie wstał, a osób stojących czy chodzących nie zauważyłem w ogóle. W naszą stronę odwróciło się mnóstwo twarzy, uniosło się mnóstwo rąk, jednak nie na powitanie, lecz żeby osłonić oczy przed blaskiem zachodzącego słońca. Sądząc z ruchu warg, nastąpiła intensywna wymiana niedosłyszalnych replik. Tylko tyle.

Wybieg dla pawianów, oto co mi ta scena najbardziej przypominała. Były ich ze dwie setki. G.A. opowiadał, że każdego lata zbierają się tu z terenu całego Związku, mieszkają jakieś dwa tygodnie i wyprowadzają się w inne okolice, a na ich miejsce nadciągają nowi. Jednak około dziesięciu procent stanowią nasi, miejscowi, tazzlińscy. Głównie uczniowie. Szukałem znajomych twarzy, ale żadnej nie znalazłem.

G.A. wyjął z bagażnika koszyk i ruszył na przełaj przez koczo-wisko ku najbardziej obłązonemu ognisku, palącemu się jakieś dziesięć metrów od brzegu. Wokół ogniska siedziało może piętnaście osób. Kiedy podeszliśmy, rozsunęli się, robiąc nam miejsce, całej trójce. Usiadłszy, G.A. mruknął: "Przyjmijcie do kompanii" i zabrał się do wyciągania wiktuałów z koszyka. Niespiesznie wyjmował paczkę za paczką - kaszę, konserwy, landrynki, makaron, suchą kiełbasę - i nie patrząc, podawał siedzącej na prawo od niego dziewczynie. Dziewoja brała, mówiła: "Dziękuję..." i przekazywała dalej po okręgu. Flowersi ożywili się,

rozruszali. Wielki chłopak w opuszczonym do pasa kombinezonie desantowym, cały (od głowy po pępek) porośnięty czarnymi kędziorami, przejąwszy kolejną paczkę, naderwał ją, zajrzał do środka i wsypał zawartość - drobny makaron - do kipiącego kociołka. Flowersi poruszyli się, usadawiając wygodniej, a ja wychwyciłem przychylnie spojrzenia. Dookoła rozlegały się słowa, których w większości nie rozumiałem. Był to jakiś całkowicie nieznanymi żargon, okropna mieszanina zniekształconych słów rosyjskich, angielskich, niemieckich i japońskich, wymawianych z osobliwą intonacją przypominającą język chiński - jakieś słabe podniesienie głosu na końcu każdej frazy. Powtórzyłem sobie parę razy: "Każdy człowiek pozostaje człowiekiem, dopóki swoimi postępami nie dowiedzie czegoś przeciwnego", i popatrzyłem na Mikaela. Sprawiał wrażenie, jak gdyby za chwilę miało go zemdląć - wprost na plecy G.A. Pojąłem, dlaczego G.A. właśnie jego wziął ze sobą. "Obrzydliwy" jest nasz Michael, a przecież nie ma prawa się brzydzić. Miłość i wstręt to uczucia wykluczające się nawzajem.

G.A. doradził, żeby do kociołka wkroić kiełbasy. Ostrzyżona na zero dziewczyna (z brudną twarzą i gigantycznym boa z wodnych lilii na nagich ramionach) posłusznie zabrała się do krojenia. G.A. odradził dodanie konserwowych krewetek i puszkę z krewetkami odstawiono. W dłoni G.A. pojawiła się łyżka kucharska, mieszał nią w kociołku, czerpał, próbował, dmuchając, a wszyscy patrzyli teraz na niego i czekali na jego decyzje. Powiedział: "Sól", i ktoś zaraz pobiegł po sól. Powiedział: "Pieprz", ale we Florze pieprzu nie było.

Obserwowałem ich ucziwie, starając się samemu sobie wyjaśnić: czym są? (Nie czułem się jak nauczyciel, czułem się niczym etnograf, w ostateczności - lekarz). Chłopcy - jak chłopcy, dziewczęta - jak dziewczęta. Owszem, niektórzy byli niedomocy. Niektórzy tak brudni, że było to nieprzyjemne. Ale takich było niewielu. W większości były to miłe młode twarze - żadnych patologii, żadnych wrzodów, żadnej jaglicy czy innych parchów, o których tyle plotą wrogowie Flory. Oczywiście różnili się między sobą, jak to zresztą być powinno, ale mimo wszystko mieli coś wspólnego. W wyrazie twarzy (bardzo uboga mimika, jeśli się dobrze przyjrzeć) albo w wyrazie całego ciała, jeśli można tak powiedzieć. Nieomal celowe rozluźnienie ruchów. Nikt nie położył przedmiotu na ziemię - upuści go, sennie zwalniając chwyt. I nie na miejsce, z którego ów przedmiot wziął, ale na najbliższe, jak gdyby zabrakło energii na wyciągnięcie ręki...

Poza tym - nieprzewidywalność zachowań. Nie podjąłbym się przewidywania ich reakcji, nawet najprostszyc. Siedział sobie taki jeden pochylony na bok, nadeszła pora pojeść z kociołka, a on znienacka wstaje, leniwie się oddala (na drugi koniec obozowiska) i siada przy innym ognisku. A na jego miejsce pojawia się nowy - długi i chudy jak tyka, w

kombinezonie desantowca. Na szerokim pasie manierka, a na nogach te ich słynne “kłącza”, wielkie puchate łapcie ufarbowane na zielono. Przyszedł, usiadł, odczepił manierkę, połał swoje “kłącza” wodeńką i nie zwracając się do nikogo konkretnie, oznajmił: “Tutaj wrastam”. I przez zmrużone powieki zaczął przypatrywać się G.A.

Miał około dwudziestu pięciu lat, był gładko ogolony i ostrzyżony zupełnie zwyczajnie, spod rozpiętego kołnierza kombinezonu widać było na bezwłosej piersi jakiś emblemacik na łańcuszku. Żywe orzechowe oczy, duże usta z uniesionymi ku górze kącikami i wspaniałe białe zęby. Od razu było widać, że to ich przywódca. Nusi. W żadnym uchu nie miał tych diabelskich muzycznych zagłuszaczy, funkenów, z powodu których wszyscy oni sprawiają wrażenie sennych i jak gdyby nie z tego świata. Ten był całkowicie z tego świata, nie bacząc na kombinezon, “kłącza” i resztę rekwizytów. I najwyraźniej znał G.A. (Podejrzewam, że również G.A. go zna. Gdzieś się już spotkali i nie za bardzo lubią się nawzajem. Ale to czysta intuicja. Mojsze uważa, że wszystko wymyśliłem).

Tu prawie naga dziewczyna siedząca na lewo ode mnie cichutko beknęła, odsapnęła, oblizwała łyżkę i zadowolona oświadczyła:

- *Pobiegi - ddshta.*

(Michel później mi wyjaśnił, co to znaczy; po rosyjsko-japońsku “wypuścić pędy”. Dawniej powiedziałyby: “weszłam na haj”, a teraz - “wypuszczam pędy”. Flora!)

Zjadłszy, zakrzętnęli się, przestrajając się na trawienie. Ktoś zapalił. Ktoś zaczął hałaśliwie żuć betel, strzykając przy tym pomarańczową śliną. Ktoś zachrupał landrynkami. Podniósł się zielony gwar. Oczywiście nie rozumiałem nawet połowy z tego, co mówiono, ale moim zdaniem nie było tam nic do rozumienia. Jeden nagle oświadcza: “Łaskocze. Dżdżownice pełzają po korzeniach”. Odpowiada mu drugi: “Korniki całkiem mnie zadreczyły. Dzięciołów na nich nie staje. A przecież się nie podrapiesz”. Włącza się trzeci: “Brakuje wilgoci. Sucho mi, krzaczkowie”. I tak dalej bez końca. Widać, że im się to bardzo podoba. Wszystkim bez wyjątku. Na twarzach błogie uśmiechy, nawet oczy błyszczą.

Potem podniósł się chłopak w pstrokatych kąpielówkach i luźnej koszuli w paski, odszedł kilka kroków w bok, wybrał równiejsze miejsce i zaczął się wyginać w powolnym, nieomal obrzędowym tańcu. Trzeba wiedzieć, że tańczył pod muzykę swojego funkena, tak że on jeden słyszał muzykę, my tylko widzieliśmy jej rytm. Podobało się nam to i dopóki tańczył, przycichł zielony gwar. Wszyscy patrzyli na tancerza, a kiedy zmęczył się, zatrzymał, usiadł i położył, wszyscy jak gdyby odetchnęli, a moja sąsiadka z lewej ponownie oświadczyła: “*Pobiegi - dashta*”.

Tymczasem zaczęło się ściemniać i nad drzewami pojawił się księżyc. Pojawiły się też

komary. Nad zatoczką podniosła się mgła i zaczęła ogarniać przybrzeżne krzewy. Zmienacka ryknęły silniki, zapłonęły reflektory, zagrzmiała na całą moc potężna muzyka i w dal pomknął tuzin jeźdźców na motocyklach - przewalili się przez wierzchołek najbliższego pagórka i znowu zrobiło się cicho.

Jakiś chłopak po drugiej stronie ogniska (widać nowicjusz, niemal nieznaną żargonu) zaczął opowiadać o rozprawach sądowych, które odbyły się poprzedniego dnia w mieście. Trójka oczajduszów z technikum specjalnego, która przez cały rok spokojnie obrabiała samochody i handlowała częściami zapasowymi, dostała po roku nakazu pracy - ponieważ mają złote ręce i wszyscy od góry do dołu wystawili im pozytywne opinie. A flowersa - Kostik z Chabarowska, taki rudy, bez przedniego zęba - na miesiąc zasadzili do mycia za darmo klozetów na "trzydziestce", w kombinacie mięsny, za to, że przy rozładowywaniu ciężarówki ściągnął w piekarniczym dwie bułki paryskie.

Flora chwilę pomilczała, przyswajając informację. Ktoś mruknął: "Ostro tu u nich". Posypały się pytania. Jak się nazywał sędzia, ilu było ławników? Dlaczego nie sześciu? Kto wszczął sprawę? Chłopak prawie niczego nie wiedział. Nie wiedział nawet, że w sądzie występuje adwokat. "Świeży jesteś, krzaczku", skrzywił się ktoś i dali mu spokój.

Ktoś zaczął opowiadać o rozprawie w Czelabińsku, ale był to już kompletny żargon, nie rozumiałem nawet, czy tamten czela-biński sąd - był dobry czy zły. Kogo sądzili i za co, również nie rozumiałem. "Nie sądzcie, abyście nie byli sądzeni", niemal wyśpiewał w ciemnościach kobiecy głos. Po hałaśliwym nieprze-konywającym potopie żargonu owe słowa zabrzmiały przejmującą prawdą nadrzędną..

I wtedy przemówił nusi.

Było to kazanie. W pięknym literackim języku. Jeżeli nawet przechodził na żargon, to wyłącznie po to, żeby szczególnie podkreślić, wytłumaczyć najmniej nawet pojętym jakieś ważne według niego sformułowanie.

Mówił o Florze. Mówił o szczególnym świecie, gdzie nikt nikomu nie przeszkadza, gdzie wszechświat współgra z pokojem i przyjaźnią. Gdzie nie ma przymusu i gdzie nikt nikomu niczego nie zawdzięcza. Gdzie nikt nigdy ani o nic nie oskarża. I dlatego człowiek jest szczęśliwy, szczęśliwy szczęściem uspokojenia.

Przychodzisz do tego świata, a on cię ogarnia. Ogarnia cię i przyjmuje takim, jakim jesteś. Jeżeli odczuwasz ból, Flora przejmie twój ból. Jeżeli jesteś szczęśliwy, Flora z wdzięcznością przejmie twoje szczęście. Co by sienie przytrafiło, czego byś nie uczynił, Flora ufa ci i wie, że masz rację. Flera nic narzuca nikomu swojego zdania, ty zaś możesz powiedzieć, co chcesz i kiedy chcesz, a Flora uważnie cię wysłucha. Poza granicami Flory

jesteś zwierzyną pośród myśliwych, a tutaj - gałązką drzewa, liściem krzewu, częścią całości.

Mówił o prawach Flory. Flora zna tylko jedno prawo: nie przeszkadzaj. Jednak jeśli chcesz być naprawdę szczęśliwy, powinieneś kierować się również pewnymi radami, dobrymi i mądrymi. Nie pragnij zbyt wiele. Wszystko, czego potrzebujesz naprawdę, podaruje ci Flora, reszta jest zbędna. Im więcej pożądasz, tym bardziej przeszkadzasz innym, a więc Florze, a więc - sobie. Mów tylko to, co myślisz. Rób tylko to, co chcesz zrobić. Jedyne ograniczenie - nie przeszkadzaj. Jeśli nie masz ochoty mówić - milcz. Jeżeli nie masz ochoty robić czegokolwiek, niczego nie rób.

Siła jest po stronie piły, ale rację ma zawsze pień.

Znalazłeś portfel? Strzeż się! Jesteś w wielkim niebezpieczeństwie.

Pragnąć można jedynie tego, co chcą ci dać inni.

Możesz brać. Ale jedynie to, czego inni nie potrzebują.

Pamiętaj zawsze: świat jest piękny. Świat był piękny i będzie piękny. Nie trzeba mu tylko przeszkadzać.

(W nawiązaniu do powyższego tekstu G.A. zacytował później: “Kiedy krwiożerczy Cza szuka cię oczyma w zaroślach, stań się cieniem i nos Cza nie poczuje zapachu twojej krwi. [...] Stań się cieniem, biedny synu Tummy. Tylko zło przyciąga zło”². I zapytał: “Skąd?”)

W kulminacyjnym momencie kazania moją uwagę przyciągnęły osobliwe dźwięki. Przypatrzyłem się poprzez dym i zamarłem. Tamten brodato-włochaty (owłosiony) typ dobierał się do swojej ogolonej sąsiadki.

Zrobiło mi się nie do zniesienia wstyd. Spuściłem oczy i więcej nie mogłem ich unieść. Dokuczwała mi zwłaszcza świadomość, że widzą to wszyscy: i Miszka, i G.A. Było mi wstyd również z powodu flowersów, ale ich akurat zajście wcale nie szokowało. Widziałem, że niektórzy zerkali na kopulującą parę z zaciekawieniem, a nawet aprobatą.

“Nagle zza krzaków doleciało osobliwe staccato, dźwięk, którego do tej pory nie słyszałem, seria głośnych, przerywanych “o-o-o”: pierwsze “o” było podkreślone, zaakcentowane i oddzielone od następnych wyraźną pauzą. Dźwięk powtarzał się raz po raz i po dwóch czy trzech minutach pojąłem, co było jego przyczyną. D.G. kopulował z samicą”.
Pytanie: skąd? Odpowiedź: D.B. Schaller *Rok pod znakiem goryla*.

RĘKOPIS OZ (4)

4. Wieczorem pierwszego, jak pamiętam, sierpnia (rzecz działa się jeszcze w Taszlińsku) zatrzymał mnie na Terenkurze nasz szofer Grinia. Wziął mnie na stronę i z nonszalancją, jak się wydawało cokolwiek sztuczną, zapytał:

- Po ile teraz chodzi u was substancja?

- U nas, to znaczy gdzie? - spytałem, jako że byłem w nastroju złośliwie ironizującym.

- No, w Leningradzie, w Moskwie...

- Tak jak wszędzie - odparłem, pozostając w wymienionym nastroju. - Siedemnaście trzydzieści pięć. A jak się dobrze trafi, to dycha z hakiem.

- No tak, no tak - wybąkał niejasno Grinia. - A jeśli chodzi o, powiedzmy, specjalną?

- "Specjalną"?... Przecież, o ile wiem, od dawna jej już nie produkują.

- Nie, nie o taką "specjalną" chodzi... - powiedział ze zniecierpliwieniem Grinia. - Pytam się: po ile chodzi specjalna substancja? Samoistna, niematerialna, niezależna od ciała!

Przyjrzałem mu się, ale nie zauważyłem niczego szczególnego. Ogólnie rzecz biorąc, według moich obserwacji, Grinia był człowiekiem niepijącym i całkowicie rzeczowym. Gospodarny. Najlepszy ogródek działkowy przy obserwatorium. Z domkiem. Wszystko własnymi rękoma. Starego moskwicza własnymi rękoma poskładał... Prawdłowo ocenił moje spojrzenie i nieco się stropił.

- Nie, ja tylko tak... - mruknął wymijająco i nagle zaczął opowiadać, jak to jacyś artyści na gościnnych występach ocyganili w zeszłym roku jego matkę staruszkę, wydebijając za piątką dziadkową ikonę, na którą nie ma ceny i za którą każde muzeum dałoby bez mrugnięcia okiem co najmniej dwie stowy.

Słuchałem z osłupieniem, a on znienacka, przerywając opowieść, zaproponował mi, żebym wpadł za dwie godziny do jego "chałupki" "poświadczyć". Jak się okazuje, Grinia chce zawrzeć pewną transakcję i potrzebna mu przy tym obecność kogoś pewnego.

Nie mogę powiedzieć, żeby jego prośba mi się spodobała, ale nie mogłem też odmówić. Z Grinią łączą nas stare przyjacielskie stosunki, jeszcze z początku lat sześćdziesiątych, kiedy to w Tur-kiestanie ja byłem szefem, a on kierownicą ekspedycji zajmującej się poszukiwaniem miejsca do lokalizacji Wielkiego Teleskopu. Grinia miał wobec mnie spory dług wdzięczności, ale i ja również byłem mu poniekąd zobowiązany, jako że obaj w młodości byliśmy grzeszni. Grinia więcej, ja - mniej, ale grzeszni byliśmy obaj.

Tak oto w dwie godziny później, to znaczy już głębokim wieczorem, znalazłem się w Grininej "chałupce" ukrytej w zaroślach jakichś egzotycznych krzewów na jego działce. Na zewnątrz panowała głęboka południowa noc, dały się cykady, pachniało korzennie i kwietnie, a wewnątrz, pod lampą z różowym abażurem, przy stole nakrytym stareńką, ale starannie upraną ongiś wykwinną serwetą, siedzieliśmy w trójkę: Grinia (Grigorij Gri-goriewicz Bykin, kierowca pierwszej kategorii), ja (Siergiej Kor-niejewicz Manochin,

² Aleksy Tołstoj *Aelita*. Warszawa, Iskry, 1956. Przełożyła Alicja Stern. (pizyp. red.).

doktor nauk matematyczno-fizycznych, starszy pracownik naukowy) i Ahaswer Łukicz (Ahaswer Łukicz Prudkow, agent Państwowego Zakładu Ubezpieczeń).

GRINIA pyta Ahaswera Łukicza, czy ów nie sprzeciwia się obecności tego oto świadka.

AHASWER ŁUKICZ nie tylko nie protestuje, ale i wita na wszelkie sposoby, jako że zna, ceni i całkowicie ufa.

GRINIA proponuje przystąpić do sedna, jako że mało to może się zdarzyć.

AHASWER ŁUKICZ gorączkowo i z zaaferowaniem wyciąga z przepełnionej teczki różowe blankiety umów ubezpieczeniowych i zabiera się do roboty.

GRINIA (z niejakim zaniepokojeniem): A to po kiego grzyba?

AHASWER ŁUKICZ (nie przestając skrobać piórem): Jakże inaczej, ojczulku? Bez tego w żaden sposób się nie da. To, można by rzec, sama esencja.

GRINIA spogląda z ponurym zdumieniem na Ahaswera Łuki-cza, po czym nagle jego twarz przejaśnia się, jak gdyby coś zrozumiał.

JA niczego nie rozumiem, zaczynam się irytować, ale na razie milczę.

AHASWER ŁUKICZ z profesjonalnym zadowoleniem wręcza Grini *Umowę ubezpieczeniową o ubezpieczenie od wypadków losowych*.

GRINIA (przegląda umowę i uśmiecha się): Dokładnie po trzy ruble. A potem się wyszczególni...

AHASWER ŁUKICZ: Jasne, jasne. Wszystko spisałem. (Wyjmuje z teczki i kładzie przed Grinią duży arkusz grubego białego papieru zapisanego ręcznie niezwykle pięknym, kaligraficznie eleganckim pismem pochylonym w lewo).

GRINIA nieskończenie długo czyta tekst, poruszając przy tym wargami i okrutnie marszcząc czoło.

AHASWER ŁUKICZ uśmiecha się sympatycznie.

Nie mam pojęcia, co myśleć o tym wszystkim, targają mną wyjątkowo nieprzyjemne, aczkolwiek zdecydowanie niejasne podejrzenia.

GRINIA, przeczytawszy dokument po raz drugi, z głębokim powątpiewaniem kręci głową.

AHASWER ŁUKICZ: Uwagi? Uzupełnienia?

GRINIA: Tak nie przejdzie. Nie podoba mi się. Mamy tu na przykład napisane... (czyta na głos) "Oddaję moją samoistną, niezależną od ciała niematerialną substancję..." Nie przejdzie. Zasięgnąłem informacji co do substancji, wiele rzeczy jest niejasnych... Tym

bardziej jeśli idzie o “samoistną”.

AHASWER ŁUKICZ: Zrozumiałem. To rozsądne.

GRINIA: Po drugie. Nie “przekazuje”, ale, powiedzmy, “oddaje w dzierżawę...”

AHASWER ŁUKICZ: Na dziewięćdziesiąt dziewięć lat.

GRINIA: N-n-no... Dobra. To jeszcze przejdzie. Pan też zresztą mógłby mi pójść na rękę... Dobra. I najważniejsze! (Surowo stuka paznokciem w papier). Powinno być wyraźnie powiedziane: trzyrublówkami! Innych nie przyjmę!

AHASWER ŁUKICZ: Chwileczkę! (Gestem prestidigitatora wyciąga z teczki i kładzie przed Grinią nowy wykwintny arkusz zapisany identycznym kaligraficznym pismem).

GRINIA, zerknąwszy podejrzliwie na Ahaswera Łukicza, ponownie zagłębia się w lekturze.

A ja tylko się dziwuję, do jakich to sztuczek muszą się uciekać terazniejsi agenci ubezpieczeniowi dla trzech rubli; zauważyłem już, że pierwszy kaligraficzny arkusz jak gdyby się rozpląnął w powietrzu, na serwecie go nie ma, i moje nieprzyjemne podejrzenia umacniają się.

GRINIA (przeczytawszy, podaje mi papier): Przejrzyj, Kornie-icz (mówi z niepokojem).

Przeglądam i włosy stają mi dęba.

AKT PRZEKAZANIA

Ja, niżej podpisany Grigorij Grigoriewicz Bykin, w obecności świadka znanego mi jako Siergiej Korniejewicz Manochin, oddaję w dzierżawę okazielowi niniejszego dokumentu na okres 99 (dziewięćdziesięciu dziewięciu) lat, licząc od dnia dzisiejszego, 1 sierpnia 19... roku, swój religijno-mitologiczny wizerunek powstały na skutek personifikacji procesów życiowych mojego organizmu w zamian za 2999 (dwa tysiące dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć) biletów bankowych wartości trzech rubli każdy, wzór z roku 1961. Wymieniona suma powinna zostać oddana do mojej dyspozycji w ciągu dwudziestu czterech godzin od chwili podpisania niniejszego dokumentu.

(Data, podpis)

W kompletnym osłupieniu zaczynam wszystko czytać od nowa.

GRINIA (trzeszczy mi nad uchem): Ten tam... jak mu... religijny - to jedno, nie szkoda mi go... A substancja to całkiem inna sprawa, jak uważasz, Kornieicz?

AHASWER ŁUKICZ (życzliwie głosi gdzieś na granicy mojej percepcji): Świetnie, bardzo rozsądnie pan postępuje, Grigorij u Grigorjewiczu.

JA (jak zwykle, gdy wypadnę z torów codzienności i znajdę się w położeniu idiotycznym i absolutnie fałszywym - przeskakuję w iście męską, cokolwiek grubiańską ironię i sypię pierwszym wicem, który mi przychodzi do głowy): Stawiasz, Grinia, półkę z okazji takiego interesu!

Nawet ów mikry wysiłek umysłowy, którego potrzebowałem by wyrzucić z siebie przytoczony wyżej wic, najwyraźniej okazał się zbyt duży jak na mój ówczesny stan. Dopadło mnie ni to omdlenie, ni to prostracja. Wszystko, co nastąpiło później, pamiętam urywkami i jak przez mgłę. Pamiętam jednak wyraźnie, jak Ahaswer Łukicz, z obawą odchylając się do tyłu, otworzył teczkę i z niej, niczym z pełnego płonących węgli pieca, sypnęło żywym żarem, nawet zaleciało czadem, a Ahaswer Łukicz, pochwyciwszy (podpisany już widocznie przez Grinię) akt przekazania, włożył go w największy gorąc, w purpurowo-ogniłą pożogę, i szcękając metalowymi zamkami, pospiesznie zatrzasnął teczkę.

- A nie spali się tam w cholere? - spytał z obawą Grinia, który całą procedurę obserwował ze zrozumiałym zaniepokojeniem.

- Nie powinno - odparł zatroskany Ahaswer Łukicz i nachylił ku teczce własne żywe ucho, jak gdyby nasłuchując, co się dzieje wewnątrz.

Pamiętam również, że Grinia natychmiast i bez jakiegokolwiek skrępowania zaczął nas spławiać.

- Dalej, dalej, panowie - przygadywał, z lekka szturchając mnie w krzyże. - A więc obiecuje pan, że pod orzechem? - wypytywał Ahaswera Łukicza. - A może jednak pod platanem? Ostrożnie, schodki mam tu strome...

Zaś Ahaswer Łukicz odpowiedział mu:

- Dokładnie pod orzechem, Grigoriju Grigorjewiczu. Albo, w ostateczności, pod platanem...

Po czym, przypominam sobie, szliśmy z Ahaswerem Łukiczem Terenkurefm w egipskich ciemnościach urozmaicanych chyba jedynie ognikami świetlików. Ucepiony mojego łokcia Ahaswer Łukicz wyraźnie sapał mi pod uchem i, przypominam sobie, zapytałem go wówczas, czy nie zechciałby mi udzielić jakichś wyjaśnień odnośnie tego, co się zdarzyło. Najwyraźniej uleciało mi z pamięci, czy odpowiedział, a jeśli tak, to co konkretnie.

Obecnie rozumiem, że owej nocy nie potrzebowałem już żadnych odpowiedzi ani

specjalnych wyjaśnień. Oczywiście wielu detali i niuansów podówczas nie pojmowałem, ale przecież pozostały niezrozumiałe po dziś dzień. Czy to zresztą w nich tkwi sedno sprawy?

Trzeba powiedzieć, że Ahaswer Łukicz nigdy nie robił specjalnej tajemnicy ze swoich transakcji. Oczywiście prób legalizowania budzących wątpliwości działań towarzyszącymi operacjami ubezpieczeniowymi nie można rozpatrywać na poważnie. Sprawy miały wrzenie raczej komiczne. Co do meritum Ahaswer Łukicz zawsze był całkowicie szczery, a nawet, rzekłbym, prostolinijny, tylko że po prostu z jakiegoś powodu nie lubił nazywać pewnych rzeczy po imieniu. Stąd jego niemal wzruszające zamiłowanie do topornych eufemizmów, a nawet nie tyle eufemizmów, ile nieporadnych sformułowań wyciągniętych z jakichś podejrzanych podręczników i koszarowo-poligonowych przewodników naukowego ateizmu. O ile mi zresztą wiadomo, jego kontrahenci również preferowali eufemizmy. Zabawne, nieprawdaż?

Nie wiem, czy w systemie państwowych ubezpieczeń istnieją pojęcia “tajemnicy służbowej”, “tajemnicy wkładu” czy czegoś w tym guście. W każdym razie Ahaswer Łukicz lubił poplotkować. Bez najmniejszej zachęty z mojej strony opowiadał mnóstwo historii, z reguły komicznych i zawsze anonimowych-imion swoich klientów Ahaswer Łukicz starannie unikał. Niekiedy orientowałem się, o kim mowa, kiedy indziej gubiłem się w domysłach, ale najczęściej nawet nie próbowałem odgadywać. Teraz pewnie te wszystkie przypadki starannie analizuje prokuratura, nie będę ich tu przytaczał. Ale nie mogę nie zachwycić się praktycznym sprytem naszego zastępcy do spraw ogólnych, towarzysza Susłoparina, i nie płakać nad losem mojego biednego przyjaciela Karla Gawriłowicza Rosłakowa.

Susłoparin był jedynym (o ile mi wiadomo) człowiekiem, który bez zażenowania wszystko nazywał po imieniu. Żadnych substancji, żadnych religijnych wizerunków - niczego w tym rodzaju nie życzył sobie uznawać. Ceny zażądał niemałej: gładkiej, bez wyrw i wybojów drogi od swego obecnego stanowiska, poprzez fotel dyrektora superważnego zakładu produkcyjnego, największego w naszym obwodzie, aż po, sami rozumiecie, tekę ministerialną. Nie więcej, ale i nie mniej. Jednakże wiele żądając, niemało też dawał. A konkretnie, oferował bezdennej teczce Ahaswera Łukicza wszystkich swoich bezpośrednich podwładnych z potomstwem i domownikami. Mówiąc ściślej, zaproponował do wykorzystania: pomocnika towarzysza Susłoparina do spraw zaopatrzeniowych LA. Bubulę; kierownika hotelu pracowniczego A.A. Kostoplujewa z żoną i szwagierką; bratanka kierownika obserwacyjnych garaży Żorkę Attedowa, któremu i tak w najbliższym czasie groził wyrok, a poza tym jeszcze jednaście osób według listy.

Do umieszczenia siebie samego na liście towarzyszy Susłoparin się nie palił. Uważał to za pomysł niefortunny, wyrażał obawy, iż rzecz mogłaby zostać fałszywie zrozumiana. Ahaswera Łukicza kazus ów doprowadzał niemal do furii. Według jego słów sprawa była niesłychana, niewidziana i bez precedensów. Z podobną nie zetknął się nawet w Ugandzie, gdzie ulokowano go w specjalnym pałacu dla zagranicznych gości. Położenie dodatkowo komplikowała okoliczność, iż żadne zasady moralne nie zakazywały tego rodzaju transakcji, ale pociągała ona za sobą masę czysto technicznych komplikacji i niedogodności. Negocjacje przeciągały się i w końcu nie wiem, jak się zakończyły.

Historia całkiem innego rodzaju miała miejsce w przypadku Karla Gawriłyca, dyrektora obserwatorium. Znałem go dobrze, studiowaliśmy na tym samym wydziale, był starszy ode mnie o trzy lata. Grywałem wówczas w wydziałowej drużynie siatkówki, a Karl Gawriłycz z zapałem nam kibicował. Mój Boże, jak on kochał sport! Jak marzył, żeby biegać, skakać, odbijać, serwować, robić bloki! Miał wrodzone zwichnięcie lewego biodra o uschniętą od urodzenia lewą rękę. Ta smutna okoliczność plus mądra, zapamiętująca wszystko głowa ukształtowały jego życie. Szybko piął się po naukowej drabinie i błyskotliwie obronił doktorat, podczas gdy ja jeszcze dłubałem w uchu nad swoją pracą. Posiadał wszystkie możliwe honory i tytuły, o których może marzyć czterdziestopięcioletni uczonec, a mianowanie go dyrektorem najnowszego i najnowocześniejszego Obserwatorium Stepowego zostało przyjęte nawet przez naukowych przeciwników jako rzecz naturalna i jedynie słuszna.

Ręki mu to jednakże nie wyleczyły, a i kuleć również nie przestał. Dokuczały mu też jakieś inne dolegliwości, w szybkim tempie tracił zdrowie i kiedy Ahaswer Łukicz przedstawił mu swoją zwykłą propozycję, mój biedny Karl ani chwili się nie namyślał. Zaślepiły go fantastyczne perspektywy. Zawiodła właściwa mu żelazna logika. Po raz pierwszy w życiu nie zareagował sceptycyzm, który od dawna stał się jego drugą naturą. Po raz pierwszy w życiu rzucił się w wir gry hazardowej - i przegrał.

Jeszcze miałem szczęście zobaczyć go pod koniec owego lata, silnego, mocnego, opalonego na brąz, zwinnego i precyzyjnego w ruchach - całkiem odmienionego, ale już pozbawionego radości. Dopiero co powrócił z Jałty, gdzie miała miejsce owa czarodziejska przemiana, gdzie po raz pierwszy posmakował radości absolutnego zdrowia. I gdzie po raz pierwszy poczuł coś niedobrego, gdy znudzony łupieniem non stop w ping-ponga z urodziwymi wczasowniczkami przysiadł wieczorem w pokoju, by obliczyć prościutki model... Ściśle mówiąc, właściwie nie wiem, co mu się stało. Ahaswer Łukicz przysięgał, że złowieszczą teczką nie ma z tym nic wspólnego, że przeciążone, pękły jakieś tajemnicze

struny splatające w całość to, co intelektualne, i to, co cielesne w organizmie mojego biednego Karla... Być może, być może. Być może rzeczywiście suma pierwiastków ciała i intelektu w człowieku jest wielkością stałą, i jeśli gdzieś jednego przybędzie, odpowiednio ubędzie drugiego. Całkiem możliwe. Mimo to niekiedy mi się wydaje, że Ahaswer Łukicz kręci, że się nie obeszło bez jego teczki, i w rozpalonym palenisku zniknęła nie tylko “samoistna niematerialna substancja” mojego Karla Gaw-riłyca (jak to określono w *Słowniku ateisty*), ale i jego “aktywny pierwiastek napędowy” (jak to określono tamże). Pod koniec pamiętnego sierpnia Karl był zwyczajną maszyną do podpisywania papierków. Myślę, że pewnie już się rozpił.

Muszę się jednak przyznać, że wtedy nie miałem do niego głowy. Niczym bolesna chroniczna choroba dręczyły mnie i przytłaczały własne problemy. Przez cały czas zastanawiałem się, jak uniknąć tego najbardziej wstydliwego punktu mojej opowieści, ale widzę, że nie uda mi się go całkiem pominąć. Postaram się przynajmniej streścić.

W końcu, jeśli dobrze pomyśleć, nie ma czego się wstydzić. Jak by nie było, do mnie mimo wszystko należy honor odkrycia Pętli Południowo-Zachodniej, a i istnienie jedenastu gromad kulistych, które w Pętli odkryłem, przepowiedziałem znacznie wcześniej - stwierdziłem, że powinno ich być od dziesięciu do piętnastu. Nikt mi tego nie odbierze, nikt zresztą nie ma zamiaru odbierać. Moja rozprawa doktorska, nawet jeśli z niej usunąć rozdział dotyczący “gwiezdnych cmentarzysk”, pozostanie pracą nietuzinkową i w pełni zasługującą na adekwatny naukowy stopień. Inna rzecz, że mierzyłem wyżej!

Teraz widzę, że się pośpieszyłem, powinienem był odczekać. Nie trzeba było pisać tamtego artykułu do “Astronomicznego Żurnala”, a już w żadnym razie nie powinienem był słać zarozumiałego listu do “Astronomical Letters”. Duma zgubiła frajera. Diabło mi się zachciało zostać znakomitością, oto co wam powiem. Miałem śmiertelnie dosyć zaliczania mnie do wnikliwych i ostrożnych uczonych. Dobra, Bóg z nim...

Pół biedy, kiedy Gunn, Mayer i Ishikawa, jeden niezależnie od drugiego, zaczęli publikować - ten w “Astrophysical Journal”, ów w “Royal Observatory Bulletin” - że, widzicie, nie udało im się odkryć efektu “gwiezdnych cmentarzysk”. Wszystkie obserwacje prowadzono na granicy dokładności pomiaru i rezultat negatywny nic jeszcze nie znaczył. Ale kiedy Sienią Biriulin wyliczył, jak “efekt cmentarzysk” powinien wyglądać na falach milimetrowych, przeprowadził obserwacje, niczego nie odkrył i z niejakim zaskoczeniem poinformował o tym na czerwcowym sympozjum w Leningradzie - wtedy poczułem się niczym na patelni.

Sprawdziłem od nowa wszystkie obliczenia. Błędów, chwała Bogu, nie było. Ale znalazło się jedno miejsce... niewielki logiczny przeskok... Do diabła, do diabła, nie chcę o tym teraz pisać. Robi mi się niedobrze, gdy tylko sobie przypomnę ten lodowaty chłód, jaki odczułem w trzewiach w chwili, gdy zrozumiałem, że jednak mogłem się przeliczyć... Nie przeliczyłem się, nie, na razie nikt nie miał prawa rzucić we mnie kamieniem, ale już było widać, że w stalowym łańcuchu mojej logiki jedno ogniwo wcale nie jest stalowe, ale byle jakie, ot, obwarzanek z makiem. (Wstyd się przyznać, do tej pory nie zdecydowałem się do niego zabrać jak należy. Nie mogę się zmusić. Za duży ze mnie tchórz).

Wówczas, w sierpniu, bałem się nawet myśleć na ten temat. Chciałem tylko jak struś zamknąć oczy, wcisnąć głowę pod poduszkę i niech się co chce, dzieje. Demaskujcie. Niszczcie. Depczcie. Wyrażajcie swoje ubolewanie.

A co było w całej sprawie najhaniebniejsze? Nie to przecież, że się pomyliłem, nakłamałem, pragnienie wziąłem za rzeczywistość. To wszystko zwykła rzecz, bez takich rzeszy nie ma nauki. Wstyd za coś innego - że mi woda sodowa uderzyła do głowy. Że zacząłem szykować dziurki w klapach na złote medale,

przestałem rozmawiać z ludźmi, a zacząłem wieszczyć. Publicznie wyraziłem ubolewanie (co prawda w pijanym widzie), że według statutu nie przyznaje się Nagrody Nobla za odkrycia astronomiczne! Zmiażdżyłem tamtego nieszczęsnego aspirancika... jak mu było... już nawet nie pamiętam nazwiska... A przecież całkiem możliwe, że w swoim artykuliku - dziecinnym, zielonym artykuliku - przyciął mi najzupełniej słusznie. Tylko że wtedy w podnieceniu niczego prócz głupoty i braków w wykształceniu w jego artykuliku nie wypatrzyłem, a on, być może, złapał właśnie za tamten obwarzanek z makiem, i to był dla mnie, że się tak wyrażę, pierwszy dzwonek ostrzegawczy.

Miałem odcięte drogi odwrotu - oto co mnie zgubiło. Za dużo zostało powiedziane, nachwalone, naobiecywane; już nie mogłem stanąć przed wszystkimi i oznajmić: Pardon. Dałem dupy. Pozostawało jedno: czekać i mieć nadzieję, że jakoś to będzie, że w istocie nie wyszedłem na durnia, że lada chwila Amerykanie wystrzelą Eola i dzięki obserwacjom na falach rentgenowskich wyjdzie na moje.

Upadłem wówczas tak nisko, że nie byłem w stanie usiąść i spokojnie, na zimno, przeliczyć od nowa wszystkich wątpliwych miejsc: tak-tak, nie-nie. Gdzież tam! Wszystkich moich sił duchowych starczało jedynie na to, by leżeć w łóżku na wznak z rękami pod głową. I czekać, aż Sienią sprawdzi swoje obserwacje na Promieniu albo Amerykanie wystrzelą Eola.

W takim stanie ducha ludziom przychodzą do głowy szalone, niedorzeczne, fantastyczne pomysły. Tyle że zazwyczaj owe pomysły spalają się, nie pozostawiając po sobie nawet kopcia, a ja miałem pod ręką Ahaswera Łukicza.

Ahaswera Łukicza nazwałbym człowiekiem wykształconym szeroko, acz płytko. Wie po trochu o wszystkim, ale w oczy najbardziej rzuca się jego pojętność. Pojętny i domyślny - oto jak by go należało określić. Co to jest gromada kulista, nie wiedział - nigdy wcześniej o czymś takim nie słyszał. Lecz wystarczyło wyjaśnić i z miejsca pochwycając istotę sprawy, zainteresował się, czy nie poszukiwano czegoś niezwykłego w centrach owych gigantycznych gwiazdnych bochnów, a jeśli poszukiwano, to czego i czy znaleziono. Z "gwiazdnymi cmentarzyskami" sprawa okazała się bardziej skomplikowana, jest to w końcu problem wyjątkowo specyficzny. Nie udało mi się rozproszyć do końca jego wątpliwości, ale od razu zauważył, że w danym przypadku brak pełnego zrozumienia nie może odgrywać istotnej roli. Bardzo szybko pojął również sedno moich nieprzyjemności. Należy mu przy tym oddać sprawiedliwość, że okazał dużą wrażliwość i subtelność - przypominał mi niezwykle doświadczonego chirurga, delikatnie i zręcznie operującego skalpelem wokół najbardziej bolesnych miejsc, ale nieurazającego ich w najmniejszym stopniu.

Z rzeczowością chirurga zaproponował do wyboru dwa możliwe sposoby uleczenia mojej choroby. Odrzuciłem je z miejsca, prawie bez namysłu. Nie jestem zbyt wysokiego mniemania o własnej tożsamości (zwłaszcza w świetle zaistniałej sytuacji), ale zmieniać jej ot tak sobie przy pierwszych kłopotach nie miałem zamiaru. A już zupełnie nie miałem ochoty dla zaspokojenia własnych ambicji wodzić (przez całe życie!) za nos takiej liczby Bogu ducha winnych i z reguły całkiem sympatycznych ludzi.

Wówczas Ahaswer Łukicz poprosił o noc do namysłu i rano przedstawił trzecie rozwiązanie. Aż mną wstrząsnęło, ledwie zaczął mówić: wydało mi się, iż odgadł mój niedorzeczny pomysł. Okazało się jednak, że nie, nie odgadł, chociaż jego własny był wystarczająco niedorzeczny. Zaproponował wprowadzenie stosunkowo niewielkich zmian w rozkładzie materii w naszej Galaktyce, z tym żeby w liczącej się przyszłości (10^{12} - 10^{13} sekund) mojej hipotezy nie można było ani odrzucić, ani potwierdzić. Chodziło o przesunięcia w przestrzeni stosunkowo niewielkich mas ciemnej materii i pozaplanowy wybuch dwóch-trzech supernowych, zdolny w istotnym stopniu zdeformować obserwo-walny obraz mojej Pętli Południowo-Zachodniej. Główna trudność polegała na tym, że owej zakrojonej na kosmologiczną skalę pracy winny były towarzyszyć drobne, acz niezwykle skrupulatne i precyzyjne retusze w istniejących już archiwach astronomii obserwacyjnej. Niezupełnie rozumiałem dlaczego, ale koniecznie należało stworzyć wrażenie, iż nowy

obraz istniał zawsze, a nie pojawił się znienacka przed oczami oszołomionych obserwatorów. Tego sposobu nawet nie próbowałem poddawać krytyce. Po prostu zaproponowałem Ahaswerowi Łukiczowi swój własny.

Z początku mnie nie zrozumiał. Później zamyślił się głęboko. Po raz pierwszy w życiu zobaczyłem wówczas, jak z ust Ahaswera Łukicza wydostaje się zielonkawy dym - jak na pierwszy raz widok cokolwiek straszny. Potem otrząsnął się z zamyślenia i popatrzył na mnie z jakimś niezwykłym wyrazem twarzy. Faktycznie, wszak moja hipoteza “gwiazdnych cmentarzysk” nie naruszała żadnego podstawowego prawa fizyki. Mogła być fałszywa, mogła być prawdziwa, ale w żaden sposób nie można jej było nazwać niemożliwą. Natura z powodzeniem mogła zostać tak skonstruowana, by “gwiazdne cmentarzyska” rzeczywiście istniały. A jeśli okazało się, że zbudowana jest inaczej, to czemu by nie wkroczyć, skoro istnieje taka potrzeba i są po temu możliwości? Niechaj to będzie zjawisko stosunkowo rzadkie, wcale nie nalegałem na jego metagalaktyczne rozprzestrzenienie. W końcu weźmy takie ruory. W całej Galaktyce odkryto ich zaledwie parę. Rzadkość. Szczególna kombinacja warunków fizycznych. No i z moimi “cmentarzyskami” niechaj będzie tak samo. Tylko niech w ogóle będą (jeżeli ich nie ma). A wszystkie obliczenia jestem gotów przedstawić na pierwsze życzenie.

Głupio i dziwacznie urządzony jest człowiek. No, bo z czego tu być dumnym? A ja jestem dumny. Udało mi się wprawić w zakłopotanie Ahaswera Łukicza. Uwinął się, zakrzętnął, zaamba-rasował. Wyznał, że sprawa przerasta jego możliwości, ale obiecał w najbliższym czasie zasięgnąć informacji.

Tak oto, w tragikomicznym wymiarze, ukształtował się mój obecny los. Siedzę teraz na chropawej pochłapanej ławie, za oknami wieczny listopad i pierwsze, rzadkie jeszcze, płatki śniegu. W pokoju jest gorąco, chociaż jeszcze nie odpowietrzono kaloryferów. Piszę te słowa, nie adresując ich do nikogo, trwożnie czekam, aż w kosmicznych mrokach Gabinetu zagrzmą kroki mego obecnego przeznaczenia.

Teraz na przykład ni z tego, ni z owego przypomniało mi się coś. Grinia zaczął rozmieniać codziennie w stołówce nowiutką trzyrubłówkę i, co stało się tajemnicą poliszynela, zapisał się na żiguli i 7... Śledczy z prokuratury rejonowej delikatnie, aczkolwiek nader uparcie dopytywał się podczas przesłuchania, czy nie zauważyłem w ostatnim czasie zmian w charakterze, zachowaniu i stylu życia obywatela G.G. Bykina. Sprawa ta mnie samego również interesowała. Ja sam byłem aż do bólu ciekawy, co w ostatecznym rachunku dzieje się z ludźmi “padającymi ofiarą oszukańczych machinacji obywatela A.Ł. Prudkowa, podającego się za pracownika systemu państwowych ubezpieczeń”. Tak więc w niczym nie

mogłem towarzyszywi śledczemu pomóc i tylko uczciwie wyznałem, iż sam nie padłem ofiarą wspomnianych machinacji. Jak sądzą, nie uwierzył. W każdym razie przy pożegnaniu z dość nieprzyjemną miną obiecał, że jeszcze się spotkamy. Ale oczywiście nie spotkamy się nigdy więcej.

5. Ten był wysoki, wyższy ode mnie o głowę, w długim skórzanym...

DZIENNIK. 14 lipca.

Wczoraj niczego nie zapisywałem, ponieważ przez cały dzień pracowałem w czwartym pediatrycznym. Nadal najtrudniej i najdotkliwiej znoszą asystowanie przy operacjach. Dlatego zgłosiłem się na wszystkie sześć. Cztery szczęśliwie przeasystowałem, a przed piątą Borysycz wygonił mnie na sale chorych. Podawać baseny i dochodzić do siebie.

Do liceum wróciłem po dziewiątej, ledwo żywy ze zmęczenia, i z miejsca padłem. Myślałem, że pośpię do rana. Figa z makiem. O drugiej w nocy przyniosło rozpieranego przez wrażenia Mi-cheja. Poszedł, okazuje się, z Paską i Irenkąposłuchać tego osławionego Vegi Dżichangira. Tamci rozplývają się nad nim w cielęcym zachwycie. Zebrał się pełny stadion luda. Dżichangir ryczy. Syntezatory ryczą. Ludziska ryczą. Reflektory. Synchronlightin-gi. Eksplozje petard. I tak przez cztery godziny pod rząd. Potem władowali swojego Dżichangira na ramiona i ponieśli przez całe miasto do hotelu.

Oczywiście Michel nie zapamiętał żadnej Dżichangirowej pieśni, ale za to w drodze powrotnej uniwersyteckie scholarusy wyuczyły go swojego marsza bojowego zaczynającego się tak:

Reho, reho, reho-ho-ho-ho-ho!

Aha - tego, mniam-niam-niam-niam,

Jaskiniowcy mnia-a-am!

A no demol Szerwerwumba!

Szerwerwumba wumba wumba,

cum - baj - kwele,

tolmindando,

Cum - baj - kwele, cum - baj - kwa...

I tak dalej. Ach, ci taszlińscy tytani ducha! Michel w żaden sposób nie mógł zamilknąć, ja nie wytrzymałem i jednak usnąłem. W rezultacie rano zaspałem.

Do obiadu grzecznie pisałem pracę dyplomową.

Dobroć i miłosierdzie. Oba pojęcia częściowo się pokrywają, to jasne. Ale istnieje pewna różnica. Być może w odniesieniu do pojęcia “aktywność”? Dobroć to coś więcej niż

miłosierdzie, ale miłosierdzie ma głębsze znaczenie. I w odróżnieniu od dobroci miłosierdzie zawsze jest aktywne. Napisano na ten temat mnóstwo literatury - bezużytecznej. Jeśli odparować całe morze słów, zostanie mała łyżeczka soli. Tyle co kot napłakał. Trzeba by zapytać G.A.: Dlaczego przez minione dwadzieścia wieków najbardziej obdyskutowano pojęcia intuicyjnie najjaśniejsze? (PRZYPIS 16 lipca. G.A. powiedział: "Dlatego że intuicyjato sprawa podkorowa, a pojęcie - korowa". Nie rozumiem. Muszę przemyśleć).

Po obiedzie G.A. wysłał mnie do biblioteki i zasadził do ostatniego numeru "Logiki..." O co chodzi? Jak się okazuje, nie jest zadowolony z tego, jak u mnie stoją z logiki Sańka-Jeż i Siowa Kriwcow. A niech was! Zawsze byłem przekonany, że na dziesiątkę. Jestem człowiekiem skromnym i nie lubię się chwalić, ale jak coś robię dobrze, to dobrze. A tu się okazuje, że nie. Niedobrze. Posprzeczaaliśmy się. Ja słówko, on dwa. W porządku. Poszedłem do biblioteki, wziąłem "Logikę..." za ostatni rok. G.A. to jednak Bóg. Zawsze przekonuje nas, że najważniejszą rzeczą nie jest wiedzieć, ale rozumieć. Tyle tylko, że on na dodatek wie! Wie wszystko! I zdemaskowane lichy gorzko zapłakało ze wstydu.

W "Młodzieżowych Nowinach" informacja o wczorajszym koncercie Dżichangira: *Spotkanie z nową pieśnią*. Entuzjastyczny opis radości przeżywanej przez lokalnych miłośników synchro-songu za sprawą spotkania z najpopularniejszym i najukochańszym Marco da Vega. Nowe teksty... nowy styl... całkowicie nowy akompaniament... Niestety, koniec owego wzruszającego spotkania zaćmiły chuligańskie ekscesy najmniej dojrzałej części audytorium. Kto by nie był inicjatorem wybryków - przyjezdni »jeżozwierze«, miejscowi flowersi czy też po prostu rozhulani studenci - nie można usprawiedliwić ich ani im wybaczyć. Jesteśmy przekonani, że w najbliższym czasie wspomagana przez społeczeństwo milicja ustali i surowo ukarze rozzuchwalonych chuliganów.

W "Miejskich Wiadomościach" kolumna zatytułowana *Nocne pandemonium*. Na stadionie nie było żadnego święta syn-chrosongu. Była za to odrażająca orgia. Czterotysięczny tłum składający się głównie z tak zwanych flowersów zorganizował ohydny bójkę, której towarzyszyły liczne akty wandalizmu. Poważnie uszkodzony został stadion. Zniszczono kilka samochodów. W okolicznych budynkach nie ocalała ani jedna szyba. Kilkudziesięciu pokaleczonych chuliganów przewieziono do szpitali. Kilkudziesięciu zatrzymano. Organa milicji prowadzą śledztwo. Gazeta niejednokrotnie występowała przeciwko zapraszaniu do miasta tych tak zwanych rządców dusz. Obecne nocne pandemonium to dodatkowe, chociaż smutne, świadectwo jej racji.

Irenka i Miguel zapewniają, że nic podobnego nie miało miejsca. Było bardzo głośno, ale całkiem spokojnie.

Komu wierzyć?

Przed snem poszliśmy pogawędzić z G.A. Serafima Pietrowna podała placek z konfiturą brzoskwiową. Najpierw rozprawialiśmy o tym i o owym, a później okazało się, że mowa jest o przestępczości. (Nie wątpiłem ani przez chwilę, że na temat nakierował nas G.A. Ale w którym momencie? W jaki sposób? I dlaczego znowu ten moment przegapiłem?)

Uważam, że w naszych czasach istnieją trzy podstawowe czynniki, które pospółu robią z człowieka przestępcę. Po pierwsze - w procesie wychowawczym nie zdołano wydobyć na jaw kierującego talentu. Człowieka pozostawiono, by pichcił się we własnym sosie. Po drugie - delikwent powinien być genetycznie predestynowany do przygód, bo ryzyko wywołuje w nim pozytywne emocje. Po trzecie - duchowa ubożyzna, potrzeby duchowe są tłumione przez roszczenia materialne. Dookoła pełno wspaniałości - samochody, ptery, luksusowe dziewczyny, żarcie, a nawet narkotyki. Zarabianie na to wszystko jest zajęciem nudnym nie do zniesienia i trudnym, jako że brak lubianej pracy. Ale pragnienie posiadania jest bardzo intensywne. I człowiek zaczyna brać to, co w świetle obowiązującego prawa do niego nie należy, brać, ryzykując utratą wolności, życia, ludzkich warunków istnienia. W dodatku robi to nie bez zadowolenia,

może nawet z przyjemnością, ponieważ ryzyko ma zakodowane w genach.

Jest to oczywiście schemat najbardziej uproszczony, nie-uwzględniający żadnych niuansów ani też ogromnej liczby rozmaitych uwarunkowań społecznych i osobistych. Według mnie jednak taki schemat tłumaczy zasadniczą część przestępstw z użyciem przemocy.

Askold: czy istnieje talent do popełniania przestępstw? Koniec końców rozpracowanie i wykonanie zamiaru przestępczego jest grą w najszerszym rozumieniu tego słowa, grą wymagającą nietuzinkowych zdolności twórczych, swoistych predyspozycji estetycznych i psychologicznej wnikliwości.

Możliwe. Nie będę się spierał. Naszym zadaniem jest stworzenie takich warunków, żeby ciekawsza była każda inna gra poza tą jedną. A jeśli społeczeństwo nie jest w stanie zaproponować niczego poza spożywaniem chleba powszedniego w pocie czoła i ze skwaszonym obliczem, to jasne, że człowiek będzie wołał zabawić się w zbójowanie i szukać okazji do chodzenia po krawędzi. Gdybyśmy potrafili od dziecka zaszczerpić mu człowieczeństwo i miłosierdzie, byłoby to najlepszą surowicą i przeciwko brakowi pierwiastka duchowego, i przeciwko ciągotom do przestępczego ryzyka. Ale co za pożytek z rozmowy, skoro tak czy owak teraz nie umiemy robić tego tak samo, jak przed tysiącem lat!

“Przeszczepienie swojej dobroci w duszę dziecka jest operacją równie rzadką, jak sto lat temu transplantacja serca”.

G.A. powiedział jakby mimochodem: “Prawo nigdy nie karze przestępcy. Karze podlega jedynie drżący stwór - żaloszny, wystraszony, kajający się, w najmniejszym stopniu nieprzypomi-nający owego gwałtownego, okrutnego, bezlitosnego drania, który dokonywał aktów przemocy wiele dni wcześniej (i będzie dokonywać aktów przemocy później, o ile uda mu się uniknąć kary)”. Co z tego wynika? Przestępca właściwie pozostaje bezkarny. Albo już nie jest tym, albo jeszcze nie tym, którego należy osądzić i ukarać... Dzięki Bogu, że chociaż zniesiono u nas karę śmierci!

REKOPIS OZ (5-9)

6. Ten był wysoki, wyższy ode mnie o głowę, w długim skórzanym płaszczu. Wszedłszy, zdjął wielką futrzaną czapę, dłonią przygładził fryzurę i niegłośnie oznajmił:

- Kołpaków. Miałem przyjść na siedemnastą.

Otrząsnął czapę z mokrego śniegu, położył ją na stoliku przed lustrem, zdjął płaszcz (“Dziękuję, ja sam...”) i akuratanie, z namaszczeniem umieścił go na wieszaku. Przeszliśmy do Pokoju Przyjęć. Klient kroczył szeroko, bezgłośnie, przy każdym kroku nieco po kurzemu wychylając do przodu tułów, i bezustannie zacierał ręce. W Pokoju Przyjęć rozejrzał się sprawnie, acz pobieżnie, jak gdyby przymierzając się do sytuacji, a kiedy zaproponowałem mu fotel, usiadł z miną człowieka gotowego czekać długo i cierpliwie. Jeżeli się denerwował, to swoje zdenerwowanie umiejętnie skrywał. Przestał nawet zacierać dłonie. Usiadłem na swoim miejscu i powiedziałem:

- Może pan mówić.

Ponownie się rozejrzał, teraz już z niejakim zdumieniem, ale szybko się połapał (widać, w ogóle umiał się szybko orientować) i zaczął mówić. Przyglądałem się, jak mówi, i z jakiegoś powodu przypomniało mi się, jak podobnych ludzi określał Jurij Pawłowicz German. “Piękny, ale przywiędły”. Taki rosły, taki przystojny, jasnowłosy; i ramiona szerokie, i cera niczym krew z mlekiem, i oczy zupełnie jak ze stali, ale we wszystkim przebija nieokreślona blada niemoc: płynnie zwolnione ruchy, cichy głos, umiarkowane intonacje. Umiarkowanie zdawało się być jego hasłem. Umiarkowanie i akuratanność.

Mówił w przestrzeń przed sobą (w jaki sposób, skąd dowiedział się, że to nie ja jestem jego rozmówcą, przecież poza mną w Pokoju Przyjęć nie było nikogo...). Mówił, jak gdyby referował szefostwu sprawozdanie - z pamięci, nie pesząc się, ale i nie dając się zbytnio ponieść. Tylko od czasu do czasu, zwłaszcza podając cyfry, zerkał do świstka, który

niezauważalnie pojawił się w jego dłoni. I chociaż swojego wykładu nie poprzedził żadnym tytułem, po pierwszych dwóch-trzech ustępach stało się jasne, że mowa o “Posunięciach organizacyjnych i kadrowych, koniecznych do przygotowania i przeprowadzenia operacji Sądu Ostatecznego”.

Według mojego stopera mówił prawie dziesięć minut - do równego rachunku zabrakło osiemnastu sekund. Skończywszy,

ostrożnie położył swój świstek na wypolerowany blat trena obok popielniczki i grzecznie splótł na kolanach palce dużych, białych dłoni. Demiurg milczał przez całą minutę, nim zadał pierwsze pytanie:

- Należy rozumieć, że bestia wychodząca z morza to pan we własnej osobie? - zapytał.

Kołpaków wyraźnie się wzdrygnął, ale odpowiedział natychmiast, bez najmniejszej zwłoki:

- Nie mam zastrzeżeń.

Nagle Demiurg bardzo pięknie zacytował - umyślnie aksamitnym, donośnym głosem zawodowego aktora starej szkoły:

- “A bestia, którą widziałem, podobna była do pantery, a nogi jej jak nogi niedźwiedzia, i paszcza jej jak paszcza lwa. I dał jej smok moc swoją i władzę wielką...” Smok, jak rozumiem, to ja?

Kołpaków pozwolił sobie na blade uśmiech.

- Proszę wybaczyć, ale nie mogę się zgodzić. W podanym wykazie etatów byłby to raczej towarzysz Prudkow. Ahaswer Łukicz.

Odpowiedziała mu całkowita cisza. Z bladej twarzy zniknął uśmieszek i twarz stała się jeszcze bledsza. Potem Demiurg ponownie przemówił:

- “I kłaniali się bestii, mówiąc: Któż podobny do bestii? I kto będzie mógł z nią walczyć? I dano jej usta mówiące rzeczy wyniosłe i bluźnierstwa, i dano jej moc działania przez czterdzieści dwa miesiące”. Wiesz, co dobre, Kołpaków.

- W niektórych przekładach widnieje: “czterdzieści dwa lata” - podnosząc nieco głos, zaprotestował Kołpaków.

- A ty oczywiście wolisz akurat tamte przekłady. Tak, nie jesteś w ciemności. A jak masz zamiar zdjąć Trzecią i ostatnią? Konkretnie!

- Wydaje mi się, że jedno przypadkowe odpalenie... Jedno przypadkowe niewłaściwe trafienie... wydaje mi się, że to by wystarczyło...

- Po pierwsze, nie wystarczyłoby! - ryknął Demiurg. - Po drugie, jeśli nawet by się

udało zorganizować rzeź, to, czy zdajesz sobie sprawę, czym by się skończyła? Przecież cię uczyli, że w ciągu sześciu miesięcy zginie od dziewięćdziesięciu pięciu do dziewięćdziesięciu ośmiu procent całej populacji? Przed kim właściwie masz zamiar mówić “rzeczy wyniosłe i bluźnierstwa” przez czterdzieści dwa miesiące... że już nie powiem - lata?

W twarzy Kołpakowa nie została kropla krwi, ale ani myślał się poddać.

- Proszę o wybaczenie - powiedział z naciskiem - ale przecież nie miałem zamiaru konkretyzować początku chaosu. Zawsze mi się wydawało, że akurat to pozostaje w pańskiej gestii! I żelazna szarańcza Abaddona... i konne anioły śmierci... i gwiazda Piołun... W ogóle cały zespół przedsięwzięć destabilizujących... Nie biorę na siebie odpowiedzialności za optymalny wybór...

- On nie bierze na siebie odpowiedzialności - zagrzmiął Demiurg. - Czy nie widać, że właśnie optymalny wybór jest najważniejszy? Maksimum przetrwania kozłów przy minimum owiec!

- Proszę jednak pozwolić zauważyć! - nie poddawał się Kołpaków. - Niech no tylko stanie się chaos, a całą resztę biorę na siebie, nie pozostanie żadna owca, ani jedna sztuka! A co się tyczy organizacji chaosu... Musi pan przyznać, że to całkiem nie leży w moich kompetencjach!

- Akurat - nie leży... - stwierdził Demiurg sarkastycznie. - Wystarczy rozejrzeć się dokoła, popatrzeć, czego to nie nawyczyniali... Nawiasem mówiąc, co rozumiesz pod pojęciem owiec?

I znów Kołpaków nie drgnął. I znów odpowiedział, jak gdyby czytał gotowy tekst:

- O ile jest mi dostępne pojmowanie celów wyższych, są to siewcy. Siejcie to, co rozumne, dobre, wieczne. To o nich mowa, jak sądzę.

- Jasne - powiedział Demiurg. - Może pan iść. Siergieju Korniejewiczu, proszę odprowadzić.

Wstałem. Kołpaków wciąż jeszcze siedział. Na policzkach wykwitły mu czerwone plamy. Rozchylił już był wargi, ale Demiurg natychmiast powiedział, podnosząc głos:

- Odprowadzić! Palta nie podawać!

I wstał nieszczęsny Kołpaków i, zwiesiwszy głowę, poszedł do przedpokoju, zdjął z wieszaka swoją wytworną czarną skórę i po omacku zaczął wpychać ręce w rękawy. Jego mężna szczęką dygotała, a dookoła fruwał z teczką w pogotowiu Ahaswer Łukicz, który pojawił się nie wiadomo skąd i teraz mówił jak nakręcony: gruchał, świergolił, wywodził trele:

- Nie martw się, ojczulku, nie stało się nic strasznego, nie ty pierwszy, nie ty ostatni, skąd nam wiedzieć, może tak będzie lepiej... Czterdzieści dwa lata to jednak kawał czasu, taka praca, taki wysiłek, piekielne napięcie, ani chwili odpoczynku, żadnego rozluźnienia... Do licha z globalnymi posunięciami!... Wszak przyszło by podnieść rękę na swoją ojczyznę, na ludzkość całą! Czy warto? Nie lepiej najpierw pomyśleć o sobie, o tym, czego trzeba tobie samemu? Personalnie, że się tak wyrażę... w ramach istniejącej rzeczywistości... nie naruszając żadnych podstaw... Powiedzmy kierownik wydziału, co? Na początek?

Wypadli z mieszkania, Ahaswer Łukicz prowadził Kołpakowa, obejmując go poniżej talii i zaglądając mu od dołu w twarz, i przez cały czas świergolił, przez cały czas gruchał, przez cały czas wywodził trele. Słyszałem, jak powoli schodził po schodach. Kołpaków widocznie oprzytomniał, bo zaczął coś odpowiadać wysokim obrażonym tonem, ale pogłos na klatce schodowej nie pozwalał rozróżnić słów.

Zamknąłem drzwi, wróciłem do Pokoju Przyjęć, poprawiłem przesunięty fotel i wzięłem z tremą zapomniany świstek, ale niczego nie zrozumiałem poza jakimiś bezsensownymi “potw”, “okr”, “II stw”. Przeszedłem do Sali i siadłem na ławie, oczekując poleceń. Poleceń nie było. Nie było również zwyczajowych burkli-wych komentarzy. Czarna skrzydlata bryła przy oknie trwała niema i nieporuszona niczym posąg Wzgardy. Później wrócił Ahaswer Łukicz, zasapany z powodu wspinaczki na jedenaste piętro i bardzo zadowolony. Cisnął teczkę w kąt, usiadł przy mnie i oznajmił:

- Oto jeden z przypadków, kiedy nie odczuwam najmniejszego zadowolenia. Praktycznie go oszukałem. Nie potrzebuje tych drobiazgów, bzdurek, które mu wcisnąłem... Jemu trzeba Wielkiej Służby! Jest stworzony, by służyć! Żeby wszystkich, co pod nim, móc rzucić w błoto, ale i samemu móc paść w proch przed stojącym wyżej... A ja mu serwuję daczę w Piaskach...

Demiurg powiedział, nie odwracając się:

- Wszystko to chirurdzy albo nastawiacze kości. Żadnego terapeutę.

Jak sądzę, również i to był cytat, ale nie zdołałem sobie przypomnieć skąd. Pewnie dlatego nie zrozumiałem, co Demiurg chciał powiedzieć.

7. Rozmowy o historii. O historii nowożytnej, o historii współczesnej i szczególnie częste - o historii starożytnej. Ahaswer Łukicz o historii wie wszystko. Ma jeden czy dwa słabsze punkty (na przykład Ameryka Środkowa, VI wiek - “w tym jestem trochę powierzchowny...”), ale co się tyczy reszty, to jest w pełni poinformowany, porywająco rozmowny i rozmyślnie paradoksalny. “Nie tak to wszystko było - lubi przygadywać. -

Całkiem nie tak”.

Judasz. Owszem, był wśród nich taki. Żalony smarkacz, chłopczyna, pisklak sraluszek. Zdrada?! Proszę przestać powtarzać plotki. On po prostu uczynił, co mu polecono, to wszystko. Zresztą, jeśli chcesz wiedzieć, w ogóle był cokolwiek słaby na umyśle...

“Nie przyszedłem zsyłać pokoju, ale miecz”. Takie słowa nie padły. “Nie przyszedłem zsyłać pokoju, ale marzenie o pokoju” bardziej przypomina prawdę, tak mogło zostać powiedziane³. “Nie obiecuję wam pełnych żywotów, a obiecuję wieczny głód ducha”. I ma to być zapis niewątpliwie inteligentnego człowieka. W rzeczywistości mało prawdopodobne, żeby Nauczyciel zaryzykował zwrócenie się z podobnymi słowami do tłumów głodnych, obdartych i poniżonych ludzi. Byłoby to zwykłym nietaktem...

On oczywiście o wszystkim wiedział wcześniej. Nie przeczuwał, nie prorokował - po prostu wiedział. Przecież sam wszystko zorganizował. Był do tego zmuszony.

_____“Hosanna”. Jaka znowu “hosanna”, skoro Pascha za pasem; do miasta zjechało dziesięć tysięcy proroków i każdy naucza swego. Istny Hyde Park. Nikt nikogo nie słucha, rwetes, dziwki, kieszonkowcy, strażę padają z nóg... O jakim głoszeniu dobra i pokoju mogła być mowa, skoro wszyscy byli gotowi szarpać zębami okupantów i jeśli w ogóle kogoś słuchali, to co najwyżej antyrzymskich agitatorów? Jeśli nie, to jak sądzisz, dlaczego On zdecydował się na *krzyż!* Była to jedyna szansa zabrania głosu tak, żeby usłyszało wielu! Niezwykły postępek, straszliwy, nie zaprzeczę. Ale nie pozostała Mu żadna inna trybuna poza krzyżem. Powinni byli zejść się choćby ze zwykłej ciekawości, choćby po to, żeby się zwyczajnie pogapić - a On powiedziałby im, jak należy dalej żyć. Nie udało się. Gapiów zebrało się niewielu, a później wyszło na jaw, że z krzyża nie można nauczać. Ponieważ boli. Boli nie do zniesienia. Nie do opisanania.

7...Byłem pogrążony w rozpacz. Widocznie zaczynała się już histeria. Nie panowałem nad sobą. Nie pamiętam, jak znalazłem się na klatce schodowej. W uszach dudniło, czy to po moim otępiątym mózgu wirowała spiralami rozszalała krew, czy też kołatało się po podestach echo zatrzaśniętych przeze mnie z całej siły drzwi.

Kompletnie rozdygotany, ale już tylko psychicznie, zszedłem piętro niżej i przysiadłem na kaloryferze. Lodowate żelastwo piło mnie w tyłek, ale nie miałem siły stać. Problem nie polegał nawet na braku sił - nie przyszło mi do głowy stanąć na nogi. Cały się skoncentrowałem na operacji zapalania papierosa. Szperałem po kieszeniach w poszukiwaniu lufki. Długo wyciągałem z paczki papierosa trzęsącymi się palcami. Złamałem dwa, nim

³ W oryginale gra słów: MEH - miecz i MEqTA - marzenie (przyp. tłum.).

włożyłem do lufki trzeciego. Potem zacząłem łamać jedną po drugiej zapalniczki, ale w końcu udało mi się zapalić. Ledwo zdołałem po raz pierwszy się zaciągnąć, gdy usłyszałem kroki.

Ktoś wchodził po schodach - dziarsko, ze stanowczym, energicznym szelestem ubrania, mocno, po sportowemu oddychając, a nawet podśpiewując coś klasycznego - ni to *Świt nad rzeką Moskwą*, ni to *Boże chroń cara*. Pomyślałem ze złością: tego tylko brakowało, co za wesoły, energiczny klient nam się trafił, pewnie przychodzi z jakimś szczególnym świństwem, ze świństwem klasy ekstra, z takim świństwem, żeby wszystkich dookoła zemdliło, żeby kobiety płakały, ściany same rzygały, a setka łotrów ryczała: "Bij, zabij!"...

Zobaczył mnie i zatrzymał się pół piętra niżej. Moja postać tutaj, na schodach, zaskoczyła go. Teraz bezzwłocznie powinien przybrać szacowny i na ile to możliwe imponujący wygląd, żeby od razu było jasne, iż ma się przed sobą nie jakiegoś tam łajdaczynek, nie pyskacza z młodzieżowego klubu, nie byle fantastę-półgłówka, lecz człowieka solidnego, osobistość z poważną przeszłością, z autorytetem, powiązaniem; osobistość gotową zaproponować, oddać, ofiarować pomysł dogłębnie przemyślany w ciszy własnego gabinetu i wyczelowany w dysputach z ludźmi zasłużonymi, umiłowanymi i wysoko postawionymi. Błada, bezbarwna, kwadratowa fizjonomia z resztkami młodzieżowego rumieńca na jak gdyby przypudrowanych policzkach, bezczelne fiołkowe oczęta z puszystymi rzęsami pederasty przez chwilę wydały mi się znajome. Gdzieś widziałem ów obłudny komplet, może w reklamowym klipie, może na plakacie... Nie miałem ochoty przypominać sobie. Zszedłem z kaloryfera i zaciskając lufkę w kąciku ust, czując, że z wściekłości drętwieją mi szczęki, zacząłem schodzić mu na spotkanie i nagle złapałem się na tym, że idąc, nerwowo klepię otwartą dłonią po poręczu.

Tamten szybko zerwał kapelusz beztrósko zsunięty na tył głowy, przycisnął go do piersi i krótko, z białogwardyjską, skłonił głowę, przez co jego płowe włosy lekko się wzburzyły. I już otwarcie namalowało się na odrażającej gębie wszystko, co przystoi dzentelmenowi: solidność, piętno poważnej przeszłości, odblask głęboko przemyślanej idei. I wtedy go sobie przypomniałem. Był to Marek Parasiuchin zwany Siuczka, razem kończyliśmy dziesiątą klasę. Później on, ukończywszy wszystko, co należało, został współpracownikiem literackim cieniutkiego młodzieżowego pisemka o wątpliwej reputacji. Chadzał w czarnej skórze, oczywiście z powodu braków w wykształceniu nie podejrzewając, że jest to nie tylko uniform motocyklistów SS, ale również amerykańskich "błękitnych", publikował artykułiki, w których usiłował zrehabilitować Tadeusza Bułharyna albo dowodził więzów pokrewieństwa pomiędzy kniazem Igorem a Odyseuszem z Itaki, a w ankietach w rubryce "narodowość" niezmiennie wpisywał "Wielkorus". Słyszałem, że w pewnych kręgach

pokłada się w nim wielkie nadzieje.

- Co cię tu przyniosło, bydlaku? - spytałem zdławionym głosem, zbliżając się groźnie.

Pod światło nie widział mojej twarzy, nie mógł mnie rozpoznać, i teraz, po wszystkim, rozumiem, że do pewnego momentu wszystkie moje słowa i działania przyjmował jako swego rodzaju sprawdzian, swoistą próbę. Uprzejmie wyszczerzył w uśmiechu zęby i odparł:

- Przychodzę na zaproszenie. Bardzo mi miło, moje nazwisko Parasiuchin.

- Suczy syn jesteś, śmieciu - powiedziałem, z rozkoszą chwytając go za gors koszuli.

Uśmiech nieco mu przybladł, ale meldował dalej:

- Jestem gotów do zreferowania sprawy. Posiadani projekt, wstępnie zatwierdzony...

- Co za projekt? - wyszczałem, nawijając sobie jego gors na pięść. Pociemniało mi w oczach. Ogarnęło mnie obrzydliwe poczucie apriorycznej bezkarności. Przecież całe to draństwo odczuwa rozkosz, nie tylko znęcając się nad ofiarami, które wpadły im w łapy, przecież oni rozkoszują się również swoim własnym poniżeniem w łapach drani uważanych za stojących wyżej.

Parasiuchin tylko pisnął: "Jednakże... Proszę pozwolić..." i ciągnął dalej:

- Dysponuję projektem całkowitego i ostatecznego rozstrzygnięcia kwestii narodowej na obszarze Wielkiej Rusi. Biorąc pod uwagę niebezpieczne rozmnożenie się obcych... biorąc pod uwagę fakt, że Wielkorusowie nie stanowią już absolutnej większości... Zgodnie z najnowszym poziomem kultury i technologii... Bez zbytecznego okrucieństwa, obcego otwartej rosyjskiej duszy, ale też i bez wynikającej z tej wspaniałej rosyjskiej cechy słabości... Doprawdy... nieco trudno mi... oddychać... niezręcznie... Szczególną uwagę poświęca się problemowi plemienia żydowskiego. Nie powtarzajmy błędów świętego Adolfa! Żadnych "*nutzliche Jude*"...

Strzeliłem go lewą pięścią pomiędzy oczy tak, że rozbiłem sobie za jednym zamachem wszystkie knykcie. Ból przeszył mi rękę aż po bark. Parasiuchin jęknął boleśnie i umilkł. Chwialiśmy się na podeście, twarzą w twarz, dysząc ciężko niczym zapaśnicy na macie. Prawą ręką ciągnąłem go za gors ku sobie (kompletnie nie wiem po co, obrzydzenie bierze na myśl, że być może miałem zamiar wpić mu się zębami w nos), lewa zwisała mi bezwładnie - chciała bić, ale nie mogła, a tamten słabo się opierał, kapało mu z rozkwaszonego nosa, oszalałe oczy zezowaty. Ale znalazł w sobie siły, żeby na nowo ułożyć grymas uśmiechu i kontynuować:

- Trzeba półwysep Tajmyr przemianować na Nową Galileę... albo na Galileę Lodowatą... Obszar od dawna wymagający zdecydowanego zagospodarowania... i nikogo nie

będą kłuć w oczy... Już się zbliża trzecia światowa... syjonizm przeciwko całemu światu...

Pchnąłem go w dół po schodach i sam pognałem za nim. Pędziłem go ocalałą pięścią i kopniakami z półpiętra na półpiętro,

a on ciągle nie rozumiał, ciągle próbował się usprawiedliwiać; twarz miał rozbitą do krwi, przy płaszczu nie ocalał ani jeden guzik, przepadł kapelusz. Ale za każdym razem, kiedy odsadził się ode mnie na odległość wyciągniętej nogi, chwycił się poręczy, z zapalem wywalał oczy i ryczał swoje:

- Rozżarzoną żelazną wypalić wrzód mieszanych małżeństw... Bo będzie za późno... Za późno będzie, Rusowie!...

I na którymś z kolei piętrze nagle mnie rozpoznał. Pisnął cienko, jak kobieta, i wielkim susem odsadził się na całe pół piętra. A mnie brakowało już sił. Przysiadłem na stopniach i chyba się rozplakałem - z bólu w ręce, ze smutku, z beznadziei.

Stał na podeście pół piętra niżej, rozchełstany, cały w czarnych plamach, z rozczapierzonymi nerwowo rękoma. Szczyrzył okrwawione zęby, patrzył na mnie z dołu w górę i powtarzał, nie znajdując słów:

- Ech ty... Ech ty... Ech ty...

A ja patrzyłem na niego z góry w dół i z rozpaczą myślałem, że oto znowu niczego nie mogę uczynić, nawet teraz, kiedy trzeba jedynie rozdeptać ohydny purchawkę, kiedy - zdawałoby się - wszystko spoczywa w moich rękach, zależy tylko ode mnie i nikt mi nie zdąży przeszkodzić, nikt się przeszkodzić nie ośmieli, ale - nie jestem w stanie. Słaby, skołowany, skutny, sam sobie spętałem ręce wykluczającymi się nawzajem zasadami... "Zadepcz gada..." - „Nie zabijaj...” "Jeśli wróg się nie poddaje.."- "Człowiek człowiekowi przyjacielem..." - "Człowiek jest z natury dobry..." - "Wytep chwast ogniem..." A przecież, popatrzcie, który to już miesiąc przebywam u źródła najpotężniejszej mocy, dawno mógłbym się urządzić, i to nie tylko siebie, nie tylko moich bliskich - mógłbym spróbować urządzić losy świata! A przecież nic...

W tym momencie Parasiuchin, podły, do niczego się nie nadający Siuczka, znalazł wreszcie potrzebne słowa i z radością wysyczał:

- Nic dziwnego, sam masz żonkę parchatą! Żydowski fagas!

Rzuciłem się na niego z góry. Zabić. Pewnie tak. Zdążyłem jeszcze zobaczyć poderwaną do góry rękę i zaraz, w jednej chwili - liliowy płomień, huk wystrzału i straszny cios w głowę.

Teraz mi się wydaje, że zupełnie się wówczas nie zdziwiłem. Nawet mi przez myśl nie

przeszło, że taka wesz jak Parasiuchin może mieć broń. Ale kiedy wystrzelił, wcale mnie to nie zdziwiło.

Ocknąłem się na swoim miejscu pracy. Rozłożona teczka na korespondencję. Komplet wiecznych piór. Kalendarz. Szesnasty grudnia. Dwa flamastry: gruby czerwony i cienki czarny. Wszystko przygotowane do pracy.

Co prawda klient jeszcze nie był do pracy przygotowany. Kręcił się w swoim fotelu, pociągał nosem, boleśnie wciągał przez zęby powietrze i zwilżał twarz moką, poplamioną chusteczką. Nie dostrzegłem przed nim żadnych elaboratów - albo nie zdążył ich jeszcze wyjąć, albo znał swoją sprawę na pamięć.

Głowa pękała mi z bólu, zwłaszcza po prawej stronie. Ostrożnie uniósłszy do skroni prawą rękę, odkryłem, że całą głowę i szyję spowija mi gruba warstwa bandaża.

Zagrzmiał głos Demiurga:

- Tak na marginesie, skąd masz pistolet?

Klient wyrecytował z godnością:

- Każda prawdziwa idea powinna umieć się bronić. Inaczej jest funta kłaków warta.

I hałaśliwie wciągnął krwawe smarki.

Nad moją udręczoną głową kwaknął telefon. Zdjąłem słuchawkę.

- Winszuję, Siergieju Korniejewiczu - powiedział Demiurg. - Odniósł pan kontuzję na służbie. No więc zostanie to uwzględnione. Na przyszłość proszę jednak obywać się bez rękoczynów. Przecież ja się obywam!

- Tak - powiedziałem.

- A teraz proszę zarządzić - powiedział Demiurg - żeby klient przystąpił do rzeczy. I żeby się streszczał.

Odwiesiłem słuchawkę i oznajmiłem klientowi:

- Proszę zaczynać. I proszę się streszczać.

8. Opowiadają, że kiedy towarzyszowi Stalinowi pokazano dopiero co nakręcony film *Niezapomniane 1919*, atmosfera w sali kinowej z każdą minutą stawała się coraz bardziej napięta. Na ekranie towarzysz Stalin niespiesznie przechodził od jednej historycznej sytuacji do drugiej, obdarowując rewolucję jedynie słusznymi decyzjami; kręcił się tam również Włodzimierz Iljicz, co i rusz z zafrasowaniem powtarzając: "W tej sprawie musicie się poradzić towarzysza Stalina" - wszystko szło jak trzeba, ale twarz wodza, siedzącego jak zwykle w ostatnim rzędzie ze zgaszoną fajką, budziła w obecnych coraz bardziej trwożne przecucia. A kiedy skończył się film, towarzysz Stalin z wysiłkiem wstał i nie patrząc na nikogo, z przekonaniem powiedział: "To wszystko było nie tak. Całkiem nie tak".

Film, nawiasem mówiąc, przeszedł przez ekrany kraju, odnosząc należyty sukces, i otrzymał wszystkie stosowne nagrody.

9. Tak więc: to wszystko było nie tak, całkiem nie tak.

10. Johanaan Ewangelista urodził się w tym samym roku, co...

DZIENNIK. 16 lipca.

Kiedy wracałem ze stołówki dziś rano, w dużym korytarzu wpadł na mnie z rozpędu jakiś chłopak, na oko typowy krzaczek - cały na plamiasto i zielono, bosi, głowa pełna rzepów. Wpadł z taką siłą, że rzepy poleciały na wszystkie strony i zaczął wypytywać, gdzie można znaleźć G.A. Początkowo nie chciałem mu powiedzieć, bo wiedziałem, że G.A. akurat siedzi w swoim gabinecie i sprawdza nasze testy. Ale krzaczek szumiał, trzepotał, wymachiwał gałązkami i niemalże płakał. Prawy policzek wyraźnie miał większy i bardziej zarumieniony od lewego. Zrobiło mi się żal chłopaka, więc spróbowałem skoncentrować się i rozeznać, o co chodzi. Nie zdołałem wychwycić niczego poza kipiącym niepokojem graniczącym z rozpaczą i odprowadziłem go do G.A.

Zapomniałem już o całym zdarzeniu, gdy nagle zaszedł do mnie G.A. i wyrzekł swoje zwykłe: "Pójdź ze mną, kniaziu Igorze".

Twarz G.A. nie wyrażała nic poza zwykłą życzliwością. Dopóki maszerowaliśmy bulwarem, nie przestawał kłaniać się wszystkim spotykanym znajomym i nieznanym, raz nawet przystanął pogawędzić z jakąś wymalowaną staruszką koło pięćdziesiątki, ale czułem (nawet bez koncentrowania się), że jest czymś zatroskany, i to zatroskany poważnie, o wiele bardziej niż normalnie. Wtedy przypomniałem sobie tamtego krzaczkę i spytałem G.A., czego chciał. G.A. odparł, że wkrótce sam wszystko zrozumie, i weszliśmy do budynku komitetu miejskiego.

Ruszyliśmy prosto do gabinetu mera. Widocznie nas oczekiwano, ponieważ sekretarka bez zbędnych słów natychmiast otworzyła przed G.A. drzwi.

Mer już siedł nam naprzeciw po chodniczku, na rozmaite sposoby wyrażając serdeczność. (Mnie powiedział: "Pamiętam cię, jesteś Wasia Kozłów". Ani ja, ani G.A. nie poprawiliśmy go). Mer też był zatroskany, i to również było widać gołym okiem. Usiedli z G.A. twarzą w twarz przy stole, a ja skromnie umościłem się pod ścianą. Z rozmowy, która po tym nastąpiła, zrobiłem konspekt i przytaczam ją dość wiernie.

Mer zaczął mówić o pogodzie, ale G.A. z miejsca delikatnie mu przerwał - poklepał dłonią po rękę i powiedział: "Doszły mnie słuchy, że przygotowywana jest jakaś akcja przeciwko Florze. Czy to prawda?"

Mer natychmiast przestał się serdecznie uśmiechać, spuścił wzrok i zaczął bąkać coś w tym sensie, że owszem, istnieją pewne pomysły w tym rodzaju. “Słyszałem, że macie zamiar ich przepędzić” - powiedział G.A. Mer wybąkał, że przepędzić, nie przepędzić, ale krystalizuje się opinia, żeby ich poprosić o odejście - i z samego miasta, i z okolic, i w ogóle. “A jeżeli się nie zgodzą?” - zapytał G.A. “W tym właśnie problem!” - powiedział ogień mer.

G.A. zapytał, kto to wymyślił i w ogóle dlaczego. Mer oświadczył, że już od dawna z powodu tej wielokrotnie przeklętej Flory jest naciskany ze wszystkich stron, a teraz po owym wielokrotnie przeklętym koncercie na stadionie wszyscy jak gdyby się zbiesili. G.A. powiedział, że według jego informacji na koncercie nic szczególnego się nie wydarzyło. Mer zaprzeczył: jak by nie było, jest czterech rannych, szyb natłuczono na jakieś pięć tysięcy, autobus przewrócony, dwa samochody osobowe poobijane - razem i w ogóle straty wynoszą około piętnastu tysięcy.

G.A.: A co ma z tym wspólnego Flora?

MER: Było tam pełno flowersów. Wszyscy czterej poszkodowani to flowersi.

G.A.: Przecież byli tam nie tylko flowersi. Byli studenci, młodzież pracująca, żołnierze. Były, jeżozwierze”.

MER: Po, jeżozwierzach” nie ma ni śladu, a twoi flowersi są pod ręką. Wszystkich kłują w oczy i wszystkim życie nie dają.

G.A. zapytał, komu konkretnie nie dają życia flowersi. Okazało się, że głównym przeciwnikiem podmiejskiej Flory jest inspektor miejskiego wydziału oświaty, Rebeka Samojłowna Ginsblitt Jest gotowa z własnej woli gryźć i kąsać, a tu na dodatek podjudzają i rozjątrzą rodziców. Flora przyciąga dzieciaki niczym magnes. Uciekają z domu, uciekają z lekcji, uciekają ze zgrupowań sportowych. Okropne manieiry, okropne mody, okropne charaktery, niczego nie czytają, nie oglądają nawet telewizji. Masa problemów seksualnych, w tej materii dzieją się tam straszne rzeczy. I narkotyki! Oto co najgorsze!

Dalej: milicja. Milicja twierdzi, że połowa wszystkich chuligańskich wybryków oraz trzy czwarte drobnych kradzieży w mieście, jeśli wziąć pod uwagę ostatnie dwa lata, to sprawka flowersów. I w ogóle Flora każdego dnia i każdej godziny działa kryminalnie. W dodatku na milicję wywierają presję kierownictwa zakładów pracy, w których z powodu Flory wzrasta absencja i fluktuacja młodych kadr, kluby, organizacje młodzieżowe, komitety mieszkaniowe, ormowcy, spółdzielcy i różni tacy. I tak jest już od ponad dwóch lat, a teraz

wszyscy jakby urwali się z łańcucha i on, mer, obawia się, że lada chwila może dojść do działań z użyciem siły, czego on, mer, nie znosi i znosić nie ma zamiaru. On, jeśli chcecie wiedzieć, w takiej sytuacji może nawet złożyć rezygnację, tym bardziej że sesja za pasem...

G.A.: W żadnym wypadku nie wolno składać rezygnacji. Nie wolno również załamywać rąk w żalu i rozpacz. Jesteś merem i powinieneś kontrolować sytuację. Jesteś pierwszym człowiekiem miasta, jego twarzą. Po to cię wybierano. Jeśli ustąpisz ekstremistom, będzie to hańba na całą Rosję, na cały świat.

MER: Mnie nie trzeba przekonywać. Spróbuj przekonać tamtych.

G.A.: Bądź spokojny. A ja chcę być spokojny, że nie zawiedziesz.

MER: Dla ciebie ekstremiści, a dla mnie najbliżsi współpracownicy, bez nich byłbym jak bez ręki. Jeśli chcesz wiedzieć, najgorsi są rodzice! Z nimi się nie pogada jak z tobą czy, powiedzmy, z Rebeką. Na nich logika nie działa!

G.A.: Rebeka też nie miód. Zresztą dla niej Flora to tylko pretekst. Mierzy o wiele dalej.

MER: Wiem. W ciebie.

G.A. (demonstracyjnie popatrzywszy w moją stronę): Cicho, Piotrze, cicho! *D'avant les enfants!*

Mer ponownie wstawia gadkę o tym, jak mu ciężko. Za pasem jesienna sesja. Różni tacy żądają obniżenia podatku lokalnego. Podpisano kontrakt z Gruzinami, a projekt do tej pory w polu. W listopadzie w obserwatorium ma się odbyć ogólnoeuropejska konferencja, przyjeżdża sam De Longe, a gdzie ich ulokować? Stary hotel rozebrano, a nowy nie jest gotowy nawet w połowie. I tak dalej. Jednym słowem - najwyższy czas złożyć rezygnację. G.A. klepie go po ramieniu, śmieje się, ale w dalszym ciągu coś go mocno gnębi. Za to merowi wyraźnie ulżyło. Widać nie miał się komu wypląkać w klapy.

G.A.: A więc liczę na ciebie.

MER: Licz na mera, ale i sam sprawy nie pokpij.

Obaj się śmieją. I w tej samej chwili do gabinetu łąduje się jakiś aktywista z segregatorem. Chłop jak dąb, na głowie bielutka siwizna, ale twarz ma młodą, orlą i czerwoną jak Indianin. Ubrany nieskazitelnie, wodą kolońską czuć go na odległość. Nawet spodobał mi się początkowo, tym bardziej że z marszu włączył się do rozmowy, i to po stronie G.A.

G.A. ust przy nim nie otworzył, a drągał sypnął w mera tymi samymi argumentami nie do zbicia: oblicze miasta, wstyd na całą Europę, nie można przytakiwać krzykaczom i panikarzom. Nawet więcej - z pełnym szacunkiem, ale twardo zarzucił "panu merowi": nie

wolno być niezdecydowanym, wahania to przyczynek do klęski, dawno już pora walnąć pięścią w stół i pokazać, kto jest w mieście gospodarzem.

Z kontekstu jego wystąpienia zrozumiałem, że jest u nas w mieście najważniejszą osobą od kultury. Całe taszlińskie życie kulturalne, jak pojąłem, spoczywa na jego szerokich barkach i z niego jednego czerpie natchnienie - oczywiście przy poparciu “pana mera” i wbrew wściekłemu sprzeciwowi krzykaczy i panikarzy. (Jeżeli się sam nie pochwalisz, to kto to zrobi?) Jak się okazuje, koncert Dżichangira na naszym stadionie również był jego osobistą zasługą. On właśnie, wbrew krzykaczom i panikarzom, zwabił do Taszlińska Dżichangira, wyrrywając go spod nosa Orenburgowi, i oto teraz cała Europa pisze o nas, a nie o tamtych.

Merowi wszystko to się podobało, dosłownie rósł w oczach, aż tu nagle G.A. ni z tego, ni z owego oznajmił, i to w dodatku tonem nieprzyjemnym, a nawet wręcz kłótliwym: “Piotrze Wik-torowiczu, liczyłem, że porozmawiamy w cztery oczy. Jeżeli jest pan zajęty, mogę wpaść później”. Nastąpiła bardzo niezręczna pauza, merowi opadła szczęka, a nasz *kulturtrdger* dosłownie poczerwiał. Szybko zresztą doszedł do siebie, uśmiechnął się i przeprosiwszy, powiedział jak gdyby nigdy nic, że wpadł tylko na chwilę po podpis mera na kosztorysie. Mer, nie czytając, machnął podpis, a *kulturtrdger*, ponownie przeprosiwszy, wyszedł. Po czym miała miejsce następująca rozmowa.

MER: No, bracie Georgiju Anatoliewiczu, zdumiałeś mnie! Poparł cię jedyny człowiek w mieście, a ty go potraktowałeś jak wroga!

G.A. (tonem z premedytacją moralizatorskim): Mnie, Piotrze Wiktorowiczu, niepotrzebne było czyje poparcie. Ja, Piotrze Wik-torowiczu, jestem człowiekiem wybrednym.

MER: A więc wychodzi na to, że ja jestem niewybredny. Dziękuję. Ale uważam, że kto występuje w dobrej sprawie, ten jest moim sojusznikiem. Nieważne, czy mi się podoba, czy nie, czy mi się wydaje sympatyczny, czy antypatyczny.

G.A.: W dobrej sprawie nie zawsze występuje się z dobrych pobudek. Wyobraź sobie na przykład, że nasz sklep z artykułami mundurowymi ma nadmierne zapasy kombinezonów desantowych z demobilu. Kto przede wszystkim kupuje te szmaty? Flo-wersi. A więc kto w takim wypadku będzie głównym obrońcą Flory? Kierownik sklepu.

MER (niezwykle podejrzliwie): Do czego robisz aluzje?

G.A.: Na razie nie robię żadnych aluzji. Wokół dobrej sprawy zawsze się kręcą rozmaici ludzie - i dobrzy, i niedobrzy, i skończone dranie. Flora to rynek zbytu narkotyków. Uderzenie we Florę jest uderzeniem w narkomafię. Wspomnisz moje słowa; jeśli jutro w

mieście rozpocznie się dyskusja, to tego samego dnia gazety nazwą mnie ojcem chrzestnym, a ciebie oskarżą o współpracę.

MER (oszołomiony): Jokalemene! Nie pomyślałem o tym.

G.A.: A więc pomyśl. I przygotuj się: awantura będzie lepsza niż podczas wyborów.

ii!

Kiedy wyszliśmy od mera, G.A. zapytał, co sędzę o tym wszystkim. Jakoś niezbyt przyjemnie było wyznać swojemu nauczycielowi, że się z nim nie zgadzam, ale prawda jest droższa nade wszystko. Powiedziałem uczciwie, że Flora zdecydowanie nie podoba mi się, uważam ją za źródło wszelkiego zła przenikającego do miasta, z czego wynika, iż moją sympatię lokuję po stronie przeciwników G.A. Inna sprawa, że jestem również przeciwny użyciu przemocy i nie chcę jej. “Wrzody należy leczyć, a nie wyrąbywać z ciała siekierą”. Tak więc pod tym względem jestem po stronie G.A.

G.A. pomilczał, a później zapytał, co myślę o wolności wyboru stylu życia. Odparłem, że ta wolność oczywiście powinna być całkowita, ale przy założeniu, że wybrany styl życia nikomu nie przeszkadza. “A więc pod tym względem jesteś po stronie Flory?” - powiedział G.A. dosyć zjadliwie. Zmieszałem się, ale nie na dłużej niż jakieś pół minuty. Zaprzeczyłem, jakobym kiedykolwiek twierdził, iż Flora w niczym nie ma racji. Flora oczywiście ma swoje plusy, inaczej nie przyciągałaby tylu ludzi.

Jak sędzę, G.A. mój wywód się spodobał, ale na tym rozmowa się zakończyła, ponieważ dotarliśmy do wydziału oświaty. Stanęliśmy przed sekretarką inspektora. Sekretarka poszła do gabinetu Rebeki i dosyć długo nie wracała, więc bezsensownie wyczekiwaliśmy, oglądając rozwieszoną na ścianach ubiegłoroczną wystawę rysunków dziecięcych. Spodobała mi się akwarelka pod tytułem *Ukochany nauczyciel*. Rysunek przedstawiał G.A. - nie wiadomo dlaczego przy stole. G.A. trzymał w jednym ręku potężny kawał tortu, w drugim - wielką chochlę konfitur, a oprócz tego potężny słój konfitur stał przed nim na stole. Widocznie dzieciak zgromadził na obrazku wszystkie obiekty swojej miłości.

Potem stanęliśmy przed obliczem pani inspektor.

Rebeka Samojłowna przywitała się z G.A. i z miejsca zapytała: “Kim jest ten młody człowiek?” G.A. Odparł: “To mój absolwent. Byłoby dla niego z pożytkiem, gdyby posłuchał, nie masz nic przeciwko temu?” Rebeka z początku wyraźnie chciała zaprotestować, ale później, nie wiadomo dlaczego, rozmyśliła się. Wyciągnęła do mnie rękę i przedstawiliśmy się sobie. Przysiadłem w kąci i zacząłem patrzeć i słuchać.

Pani inspektor była już niemłoda, ale oszałamiająco piękna i dlatego nie od razu mogłem się skoncentrować.

Musiałem dopiero gruntownie zdać sobie sprawę, do jakiego stopnia jest wrogiem G.A., żebym przestał w niej widzieć kobietę. (Tak w ogóle, to ona i G.A. znają się od niepamiętnych czasów. Razem uczyli się w taszlińskiej średniej szkole pedagogicznej, a potem w wyższej szkole pedagogicznej w Orenburgu. On jest o trzy lata od niej starszy. Zdaje się, że ich ojcowie też razem dorastali i nawet razem gdzieś walczyli. Pewnie w Afganistanie. Zdumiewająco piękna kobieta. A jaka była trzydzieści lat temu?)

G.A. od razu przeszedł do sprawy. Powiedział, że przyszedł prosić najpokorniej, by złagodziła swoje stanowisko odnośnie Flory. Zwracał się do niej per Riwa i patrzył niemal błagalnie.

Chłodno zaproponowała, że rozmawiali o wszystkim ze sto razy i nie ma sensu oczekiwać, by złagodziła stanowisko. A może Flora przestała już być źródłem obyczajowej zarazy? A może G.A. wymyślił nowe argumenty zdolne uspokoić oszałałych z niepokoju rodziców? Albo G.A. wynalazł sposób, żeby odciągnąć uczniów o chwiejnych charakterach od niskich pokus Flory? Może wynalazł jakieś promienie? Albo mikstury? Nawiasem mówiąc, nazywała go Zora i była raczej ironiczna niż wroga.

G.A. nie przyjął ironii. “Zdajesz sobie sprawę, jak się to odbędzie?” - zapytał. “Tamtych chłopaków i dziewczęta powloką za nogi i za co popadnie, i powrzucają na ciężarówkę, będą ich bić, poleje się krew. A potem przeładują ich jak kloce do wagonów i powiozą w świat. Czy niczego ci to nie przypomina?”

Trochę zbladła i nasrożyła się, ale zaraz zaprotestowała: G.A. przejaskrawia, te okropności wcale nie są konieczne, wszystko zostanie przeprowadzone właściwie i humanitarnie.

G.A. powiedział: “Zdajesz sobie doskonale sprawę, że przy podobnej operacji nie ma mowy o właściwym załatwieniu sprawy. Nasi ochotnicy i nasza milicja to tylko i wyłącznie zwykli obywatele, dokładnie tacy sami szalejący z niepokoju rodzice, krewni i po prostu - wrogowie Flory. Przy najmniejszym odruchu sprzeciwu opanowanie pęknie i zaczną się represje. Później opamiętają się, zrobi im się wstyd nie do zniesienia i żeby uratować od owego wstydu swoje sumienia, zaczną jeden przez drugiego usprawiedliwiać się, aż w końcu najhानiebniejszą stronicę życia wyobrażą sobie jako najbardziej heroiczną, i w ten sposób na resztę życia okaleczą swoją psychikę”.

Rebeka, łamiąc zapalki, nerwowo zapaliła i powtórzyła raz jeszcze, że G.A.

przejaskrawia, że oczywiście nawet ona sama nic dobrego w tej akcji nie widzi, ale bynajmniej nie ma jej zamiaru rozpatrywać jako swojego rodzaju kryminalną tragedię. Rzeczą najważniejszą jest staranna i precyzyjna organizacja. Oczywiście uczestnikom akcji należy wpoić, że działają w imię dobra i powinni działać wyłącznie po dobroci.

G.A. nie dał jej skończyć. “Założę się - powiedział z naciskiem - że ty sama nie ośmielisz się asystować przy operacji. Wszystko starannie i precyzyjnie zorganizujesz, wygłosisz konieczne mowy i udzielisz najważniejszych wskazówek. Ale sama pozostaniesz w biurze, za tym oto stołem - z zatkanymi uszami i zaciśniętymi oczyma będziesz siedziała i czekała pełna niepokoju, aż ci zameldują, że mniej lub bardziej szczęśliwie wszystko się zakończyło”.

Z trudem hamując się, oznajmiła, że nie życzy sobie więcej wysłuchiwać podobnego krakania. Jest w zupełności przekonana, że nie będą miały miejsca żadne okropieństwa.

G.A. stwierdził ze smutkiem: “Usiłujesz przekonać samą siebie. Widzę przecież, niczego nie jesteś pewna. Nie wierzysz w żadne magiczne właściwości instrukcji i wskazówek. Przecież jesteś mądra, znasz ludzi. I oczywiście we właściwym czasie zatroszczysz się, żeby wszystkie szpitale w mieście zostały postawione w stan pełnej gotowości, wprowadzisz do akcji okoliczne bataliony medyczne i w ariergardzie twojej armii ruszy na Florę dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści karet pogotowia... Dziurkę w twoim sumieniu zrobiła już sama decyzja o zorganizowaniu operacji. Teraz zaczęłaś łątać tę dziurkę i będziesz łątała ją dalej...”

Tu Rebeka eksplodowała. “Przestań demagogizować! - niemal wykrzyczała. - Przestań wykręcać mi ręce! I nie wyobrażaj sobie, proszę, że zacznę dyskutować o moim dziurawym sumieniu, gdy chodzi o los dzieci, dzień w dzień zatruwanych przez tę zarazę...”

W tym miejscu, zupełnie nie w porę, znowu rozboleł mnie brzuch, i to tak bardzo, że oczy wyszły mi na wierzch i nieomal przestałem cokolwiek słyszeć, po prostu co innego mi było w głowie. (Nie wiem, czy to sprawa wieku; czy przyczyna jest somatyczna, czy psychiczna - kiedy złapie, nie czuję żadnej różnicy. Najgorsze, że nie mogłem przecież zerwać się z miejsca i wybiec, zresztą nawet nie wiedziałem, gdzie mają przybytek).

Siedziałem, trzymając się za swój nieszczęsny brzuch, i o jedno się modliłem: żeby moja twarz niczego nie zdradziła. Przychodziły mi na myśl różne rzeczy: harakiri, rak żołądka, lisek pożerający wnętrzności młodego Spartanina. Teraz odczuwam wprost dumę, że pomimo nieszczęścia jednak coś niecoś usłyszałem, zapamiętałem, a nawet zapisałem. Co prawda tylko słowa G. A. Jeśli chodzi o Rebeke, pozostał mi w pamięci wyłącznie ostry, prawie histeryczny głos, który sprawiał, że bóle wyraźnie się nasilały, jak gdyby wpadając w

rezonans. Co do G.A., to im bardziej na niego krzyczała, tym mówił ciszej i smutniej.

Człowieczeństwo jest pewną całością. Nie można go rozłożyć na części. A człowieczeństwo, które głosicie, składa się wyłącznie ze skrupulatnie rozparcelowanych zasad - nie ma już człowieczeństwa, jest jeden wielki katechizm. Twój uczeń prędzej spali swoje stare buty, niż odda je bosemu flowersowi. I będzie przekonany, że jest w najwyższym stopniu ludzki. Idź zapracować, powie.

(Przypomniałem sobie właśnie: w zeszłym tygodniu jakiś bydlak podrzucił Florze skrzynkę zepsutych konserw. Spróbujmy logicznie uzasadnić pozycję, z której takie działanie wygląda na wysoce humanistyczne. Teza pierwsza: ludzkość powinna mieć piachy... I tak dalej).

Człowieczeństwo to coś więcej niż wszystkie wasze zasady, powiedział G.A. Człowieczeństwo jest ważniejsze od wszystkich i wszelkich zasad. Nawet zasad wynikających z człowieczeństwa jako takiego.

Później okazało się, że nie wiadomo dlaczego, rozmawiają już o liceach. Jak się okazuje, istnieją dwa ekstremalne punkty widzenia. Jedni uważają, że licea pedagogiczne należy zlikwidować jako instytucje elitarne i sprzeczne z duchem demokracji, inni - że przeciwnie, sieć liceów wszelkimi sposobami należy rozszerzać i otwierać w kraju nie trzy licea rocznie, jak obecnie, ale trzydzieści trzy. Albo trzysta trzydzieści trzy. Najwspanialsze, że zarówno w pierwszym, jak i w drugim przypadku sama idea liceum pedagogicznego jako szkoły kształcącej przyszłych nauczycieli radośnie wali się w gruzy.

Nie wiem, czy G.A. zauważył, w jakim znalazłem się stanie, czy może wygasła konieczność kontynuowania rozmowy, ale w pewnej chwili (mnie wydało się, że ni z tego, ni z owego) wstał i oznajmił:

- Cóż, moja droga Riwo, czy nie czujesz się trochę paskudnie jako lady Machiavelli?

Powiedział to tonem tak osobliwym, że z miejsca ustąpiły wszystkie moje bóle. Szybko doszedłem do siebie i choć cały mokry, byłem poza tym świeżutki niczym ogóreczek.

Rebecce wystąpiły na twarz czerwone plamy, nagle zrobiła się zupełnie stara i brzydka, i oświadczyła wyzywająco:

- Nie mam pojęcia, o co ci chodzi.

Co zresztą było wierutnym kłamstwem. Wiedziała doskonale, o co chodziło G.A. W odróżnieniu ode mnie. I wówczas G.A. już zupełnie cicho powiedział:

- W twoim obliczu czytam wyrok na mnie i moją sprawę.

Wyszliśmy. Uprzejmie się przedtem pożegnawszy.

(Skręciliśmy korytarzem w prawo i wkrótce znaleźliśmy się przed drzwiami toalety.

Pytanie za sto punktów: czy do ubikacji zaszliśmy, bo potrzebował tego G. A., czy też w ten subtelny sposób dał mi możliwość skorzystania z niej? A w takim razie powstaje kolejne pytanie: co lepsze - okazać podobną subtelność, w konsekwencji jednak zmuszając go do łamania sobie głowy nad zagadką, czy owa subtelność nie zawiera próby poniżającego manipulowania jego, młodego człowieka, samodzielnością; może lepiej było powiedzieć wprost: ubikacja jest po prawej, ja poczekam - co w pierwszej chwili wyda się niemiłym brakiem taktu, ale za to nie pozostawi garbu wątpliwości i refleksji. Nie wiem. Nie wiem nawet, czy to ważne i warte rozmyślań. Sam G.A. pewnie o podobnych głupstwach nie myśli i w tego rodzaju sytuacjach działa całkowicie odruchowo. Z drugiej strony, tenże sam G.A. twierdzi, że jeśli chodzi o kontakty międzyludzkie, nic nie jest głupstwem).

Na schodach G.A. zacytował: "Szły ofiermy do domu i wzdychały. A jeden z nich ujął gęśle i zaśpiewał... Skąd to?" Zamiast odpowiedzi pociągnąłem dalej: "Nie szum, mateńko, dąbrowo zielona..." Nie odczuliśmy jednak zwykłej radości z wymiany replik. Przynajmniej ja nie odczułem. A kiedy wychodziliśmy na ulicę, G.A. zniecka zatrzymał się, spojrzał na mnie i poprzez mnie, i w zamyśleniu stwierdził: "Kiedy porządny obywatel cywilizowanego kraju nie ma już do kogo się zwrócić, zwraca się do milicji". I ruszyliśmy w kierunku komendy. Trzy przystanki autobusowe. Upał. Żadnego cienia.

Przy wejściu do Śnieżynki jak gdyby specjalnie na nas czekał jakiś bardzo młody obywatel. Dołączył do G.A. i niegłośnie, patrząc prosto przed siebie, powiedział: "Przygotowuj już autobusy". Poznałem go, to był tamten krzaczek, ale już bez rzepów we włosach, umyty i po cywilnemu przyodziany, jak wszyscy porządni obywatele.

G.A. nic nie odpowiedział, skinął jedynie głową na znak, że usłyszał i przyjął do wiadomości. Chłopak zaraz odstał, a G.A., nie wiedząc czemu, zwolnił kroku i szedł jak gdyby bez określonego celu, jak na spacerze, nawet ręce założył na plecy. Tak przespacerowaliśmy się do samej komendy milicji. G.A. milczał, ja - tym bardziej. Przed wejściem G.A. zdecydowanie się zatrzymał. "Nie", powiedział do mnie, "do tej rozmowy jeszcze nie jestem gotów. Chodźmy do domu, wasza kniaziowska wysokość".

Od deski do deski przeczytałem notatki z ostatnich dni. Nie podoba mi się, że:

1.G.A. tak aktywnie ujął się za Florą. Miłosierdzie miłosierdziem, ale w gruncie rzeczy idzie o wybór pomiędzy szczęściem bądź co bądź łobuzów a zdrowiem społecznym miasta.

2.G.A. najwyraźniej zostanie zupełnie sam. Skoro już nawet ja nie mam ochoty go poprzeć, to co mówić o takim, powiedzmy, Wani Drozdowie czy Sieriożce Sieńko?

3.Nie podoba mi się również to, co właśnie napisałem. Ludzie są niewymierni niczym

nieskończoność. Nie wolno twierdzić, że jedna nieskończoność jest lepsza od drugiej. To podstawa. Okazuję względy jednym kosztem drugich. To wielki grzech. Znowu się płaczę.

Mam chandrę. Zjem kolację - i spać.

17 lipca. Piąta rano.

Wydarzenia rozwijają się osobliwie.

Około północy zapukał G.A. i bez jakichkolwiek wyjaśnień polecił mnie i Michelowi ubierać się. (Ja przespałem trzy godzinki, a Michel w ogóle ledwie zdążył zmrzyć oczy). Ubraliśmy się i wsiedliśmy do samochodu - G.A. za kierownicę, my z tyłu.

Najpierw pomyślałem, że G.A. wreszcie zdecydował się nas puścić na nocną zmianę do rzeźni, ale pojechaliśmy w całkiem innym kierunku - w stronę uniwersytetu. Zatrzymaliśmy się w cieniu niedokończonego budynku, niedaleko trzeciego akademika, tego dla małżeństw. G.A. polecił Michelowi sięść za kierownicą i czekać, a sam poszedł - przeciął skwer i zniknął w piątej klatce.

“Cieka-a-awe” - zaśpiewał, fałszując, Miszka i zapytał, czy zauważyłem niecodzienny strój G.A. Odpowiedziałem, że owszem, zauważyłem i ze swej strony spytałem, czy Miguel dostrzegł, iż G.A. w swoim płóciennym chałacie jest dziwnie gruby i niezgrabny. Miguel zauważył również i to. Kazał mi wysiąść z wozu i zaczął sprawdzać światła, kierunkowskazy oraz resztę elektrycznego wyposażenia.

Podczas kiedyśmy się tym zajmowali, nie wiadomo skąd, pojawił się G.A. w asyście jakiegoś *hombre*. Był to bardzo przystojny *hombre* wzrostu koszykarza, o trzy głowy dłuższy od G.A. Liczył sobie lat dwadzieścia z dużym hakiem. Miał na sobie znoszony szykowny garniturek - dokładniej mówiąc, na sobie miał jedynie spodnie, marynarki w żaden sposób nie udawało mu się założyć. Widocznie był bardzo zdenerwowany, marynarka przekreśliła się na potężnych ramionach i nie mógł trafić w rękawy.

Zobaczywszy mnie, stanął jak wryty i spytał ochryple: “A ten po co?” Jakoś bardzo mu się nie spodobałem, przestał nawet walczyć z marynarką. G.A., mruknął mu coś uspokajającego, ale tamten się nie uspokoił i żałośnie jęknął: “A może nie trzeba, Georgiju Anatoliewiczu?” G.A. nie wdając się w dyskusję, kazał mu usiąść z tyłu i wielkolud usiadł, co wyglądało, jak gdyby włożył na siebie przez głowę naszą nieszczęsną małowitrazówkę. G.A. zajął miejsce obok niego, a ja z przodu - przy Michelu. *Hombre* na powrót zaczął biadolić w stylu, czy to trzeba i czy warto, ale G.A. wcale go nie słuchał. Polecił Michailowi: “Na uniwersytet” - i ruszyliśmy. *Hombre* z miejsca się zamknął, widać stracił nadzieję.

Podjechaliśmy pod uniwersytet i zaczęliśmy krążyć po parku pomiędzy budynkami.

G.A. komenderował: “W prawo, w lewo” - a *hombre* tylko raz wydał głos, mówiąc: “Od zaplecza byłoby lepiej, Georgiju Anatoliewiczu...” I zajechaliśmy od zaplecza. Było to podwórze budynku laboratoryjnego. Nic tajemniczego czy zagadkowego.

G.A. polecił nie odchodzić od samochodu i czekać, a sam ruszył z *hombre* wzdłuż tylnej ściany. Zniknęli za kontenerami. Gdzieś tam trzasnęły drzwi i na powrót zapanowała cisza.

“Cieka-a-awe” - powtórzył Michel, ale ani on, ani ja nie odczuwaliśmy ciekawości. Czuliśmy niepokój. Może właśnie dlatego, że jak się zdawało, żadnych podstaw do niepokoju nie było. (Wiem, co to jest przecucie. Stan, kiedy oddziałuje na nas niezwykle połączenie rzeczy zwyczajnych plus jakaś nieduża anomalia. Na przykład, atletyczny *hombre* wystraszony niczym pięciolatek. Koniec końców nie udało mu się założyć swojej marynarki, ponieważ się teraz na tylnym siedzeniu).

Przyszło nam czekać może z dziesięć minut, nie więcej. Z mrozącym krew w żyłach szczękiem huknęło dosłownie nad uchem żelastwo i w odległości jakichś dwu kroków od samochodu otworzyła się pokrywa towarowego wjazdu do piwnic. Z wnętrza, niczym z kiepsko oświetlonego grobu, wynurzył się *hombre*. Na jego szyi, trzymając się jedną ręką, dosłownie wisi nasz G.A. Druga ręka kołysała się martwo. Twarz miał G.A. całą w czarnej, lśniącej niczym lak krwi.

Skoczyliśmy, a G.A. wychrypiał na powitanie: “Stop, stop, nie tak gorączkowo, moje dziatki...” Po czym wyskrzeczwał do dygoczącego jak galareta *hombre*: “Żeby za dwie godziny nie było was w mieście. Zakneblujcie drania, zwiążcie i niech leży, a sami znikajcie. Żeby śladu po was nie zostało!...” I znowu do nas, dalej z trudem wyrzucając z siebie słowa: “Weźcie mnie do wozu, dzieci, ale powoli, powoli... Drobiazg, to nie złamanie, po prostu mnie uderzył...”

Ostrożniutko wcisnęliśmy go na tylne siedzenie, ja usiadłem obok jako oparcie i popędziliśmy. Tylko dwie myśli miałem wówczas w głowie: pierwsza - kto się ośmielił? I druga - dlaczego G.A. ma boki twarde niczym drewno?

Odpowiedź na pytanie drugie znalazła się szybko. Kiedy wzięliśmy razem z Michaeliem G.A. w obroty w licealnym gabinecie lekarskim, przede wszystkim rozcięliśmy na nim idiotyczny chałat, cały poplamiony z przodu krwią i w dwóch miejscach rozpruty od szyi po brzuch. I wówczas wyszło na jaw, że G.A. ma na sobie starożytną, jeszcze z czasów wojny afgańskiej, kamizelkę kuloodporną.

Okazało się, że G.A. odniósł następujące obrażenia: paskudne stłuczenie lewego

przedramienia (albo przyłożyli mu pałką, albo został kopnięty nogą w podkutym buciorze) i długie skaleczenie na prawej połowie twarzy - zdarta skóra na kości jarzmowej, naderwane ucho (według mnie uderzenie kastetem, na szczęście po stycznej). Stłuczeniem zajmował się Michel, ja obrabiałem skaleczenie. Ledwie sobie poradziłem - wszystko we mnie dygotało z wściekłości i żalu. Teraz doskonale rozumiem, dlaczego lekarze unikająkurowania swoich krewnych i przyjaciół.

G.A., jak się zresztą należało spodziewać, podczas wszystkich zabiegów zabawiał nas anegdotami. Anegdoty nie zapamiętałem żadnej, za to wręcz doskonale pamiętam, jak nagle z goryczą wyznał: "Refleks mam już nie ten co dawniej, dzieciaki. Zresztą przez całe życie miałem kłopoty z refleksem. A to w dodatku był profesjonalista. Pewnie były komandos". Zupełnie jak chłopczyk usprawiedliwiający się, że pokonano go w bójce. Szczerze mówiąc, było to dziwne i wzruszające zarazem. (Początkowo w ogóle nie miałem ochoty pisać o całej sprawie, nie wiadomo, kto to przeczyta, ale później postanowiłem: a właściwie czemu nie?)

Kończyliśmy zabiegi i w tej samej chwili mnie i Miszce przyszło naraz do głowy: co teraz nakłamać Serafimie Pietrownej i w ogóle wszystkim naszym? G.A. momentalnie wychwycił myśl i zdecydowanie nas przytemperował. Nigdzie nie należy dzwonić, nikomu niczego nie należy mówić. Tym bardziej nie należy kłamać bez rzeczywiście ważnej potrzeby. On z powodzeniem przenocuje w swoim pokoiku przy gabinecie. Książ Igor zrobi mu na dobranoc zastrzyk i rano on, G.A., będzie niczym nowo narodzony. A zanim nas zwolnił, całkiem już innym tonem, bez cienia żartobliwości, twardo i rozkazująco oznajmił:

- Pamiętajcie. Dzisiejszej nocy nie wychodziliście z łóżek i niczego nie widzieliście. Ja się pokaleczyłem, ponieważ poślizgnąłem się na schodach. I jeszcze jedno: żadnych prób dochodzeń, poszukiwań, zemsty *et cetera*. To jest rozkaz. I prośba. Nie wiem, co jest dla was ważniejsze. Zwłaszcza ciebie to dotyczy, Miguelu de Saavedra!

Wróciliśmy do siebie o drugiej w nocy. Teraz jest piąta. Przez ponad dwie godziny łamaliśmy sobie głowy: co to wszystko znaczy? Kim był ów *hombre*? Co G.A. miał do roboty w piwnicy? Zawczasu wiedział, że grozi mu niebezpieczeństwo, i dlatego założył kamizelkę. Dlaczego więc nie zabrał nas ze sobą? I co to za profesjonalista się tam objawił? Niepojęta sprawa. Jeden wielki stres.

Kładę się. Michael śpi już jak suseł.

Nie, nie śpi Michael. Odwrócił się do mnie i z rozmarzeniem powiedział:

- A tamten dalej poniewiera się związany. Z kneblem w gębie. He?

Co ja mu mogłem odpowiedzieć?

17 lipca. Wieczór.

Około południa G.A. wziął mnie ze sobą na komendę. Czuje się nieźle. Ręka na temblaku, prawie nie boli. A jeśli chodzi o skaleczenie... Teramidonowy plaster to wielka rzecz. Twarz wcale nie opuchła, może nieco tylko ściągnęło wewnętrzny kącik prawego oka.

Major Kromanow przyjął nas bezzwłocznie. Widzę go nie po raz pierwszy i za każdym razem się dziwię, do jakiego stopnia człowiek może nie być podobny do komendanta miejskiej milicji. Major jest tęgi, pulchny, przyciężki w ruchach i uwielbia pogawędzić o tym i o owym. Przez bite pół godziny opowiadali sobie z G.A. rozmaite historie o upadkach ze schodów. A także z trapów, pochylni i innych szlaków komunikacyjnych o znacznym kącie nachylenia. Potem G.A. przeszedł do rzeczy.

Jakie stanowisko zajmuje miejska milicja, jeśli chodzi o przygotowywaną akcję przeciwko Florze? Co sądzi na ten temat on, Michajła Tarasowicz, osobiście? Co by było słuszniejsze: uczynić milicję bezpośrednim uczestnikiem planowanej akcji czy przydzielić jej rolę swojego rodzaju czynnika powstrzymującego, neutralnego mechanizmu powołanego do zapewnienia porządku i dyscypliny? I czy w ogóle Michajła Tarasowicz pojmuje całą subtelność swojego położenia?

Michajła Tarasowicz subtelność swojego położenia pojmował nawet aż za dobrze. Flora to prawdziwa kupa gówna. Im mniej ją ruszasz, tym mniej śmierdzi. Takie jest osobiste zdanie Michajły Tarasowicza. Gdyby całą tę kupę można było załadować za jednym zamachem na łopatę i bez hałasu przenieść do, powiedzmy, sąsiedniego obwodu, byłoby to najlepsze rozwiązanie. Bez hałasu jednak nie da rady. Gdyby nadszedł rozkaz Wydziału Spraw Wewnętrznych, wówczas żadnych kłopotów by nie było i być nie mogło. W takim wypadku nie ma specjalnego znaczenia, czy rozkaz wykonuje się z hukiem, czy po cichutku. Rozkazu jednakże nie ma i nie zanoszą się na to, żeby go wydano. A mamy do czynienia z inicjatywą społeczną. Ruchem bezspornie silnym, jednomyślnym, aczkolwiek niepopieranym zbyt przez kierownictwo komitetu wykonawczego, a o komitecie miejskim chwilowo nie ma nawet mowy.

Niech no pan teraz popatrzy, drogi mój Georgiju Anatoliewiczu. Żadne prawa nie zakazują istnienia Flory. Masowa nieformalna organizacja młodzieżowa, niemająca żadnych przestępczych celów. Artykuł czterdziesty drugi kodeksu, punkty A, B i C. To z jednej strony. A z drugiej - masowy ruch społeczny dążący do starcia owej Flory z oblicza Ziemi - przejaw woli większości, przy czym większości przytłaczającej, tej samej większości, której i ja, i pan mój drogi nauczycielu, mamy obowiązek służyć. A z trzeciej strony - posadzili mnie tutaj, żebym ochraniał porządek publiczny. A co to jest porządek publiczny? To znaczy: żadnego mordobicia, żadnej przemocy, w ogóle żadnych ekscesów, a już szczególnie ekscesów na

skalę masową. I wychodzi na to, że mam obowiązek na wszystkie sposoby bronić Flory, na wszystkie sposoby przyczynić się do jej zniszczenia, a także nie dopuścić, żeby cokolwiek się przydarzyło - i wszystko za jednym zamachem.

G.A. przyznaje, że istotnie nastąpiły trudne czasy dla milicji.

M.T. (marzycielsko wznosząc oczy): Pamiętam na przykład, kiedy byłem jeszcze kursantem... (Opowiada porośniętą mchem historię, jak to mu przyszło brać udział w wielkiej bitwie onegdajszych, jeżozwierzy” z wymarłymi już obecnie rockersami. Milicja okazała się bezsilna, wezwano więc spod Orenburga kompanie piechoty zmotoryzowanej - i żadnych dyskusji. Wystarczyło dosłownie trzydzieści minut, według o, tego zegarka - przekonywająco stukając paznokciem w stareńkiego rolleksa).

G.A.: A gdyby teraz otrzymał pan rozkaz zachowania neutralności?

M.T.: Czyj rozkaz? Piotra Michajłowicza czy jak?

G.A.: Choćby nawet... Albo na przykład z Orenburga, po waszej linii.

M.T.: Miły mój, kochany! Wszystko, klnę się na Boga, rozumiem, ale jednego żadną miarą pojąć nie mogę. Na co ci ta cała Flora? Przecież to kupa brudu i nic poza tym. Co się tak o nią martwisz?

Usłyszawszy to, G.A. przez jakiś czas milczał, a później powiedział (cytując):

“Flora nie narusza żadnych praw. A więc to, co jest planowane, jest bezprawiem. Flora niczemu nie jest winna. Miasto chce ukarać niewinnych. To niesprawiedliwe. Niesprawiedliwe i zarazem bezprawne. Jak więc powinienem postępować?”

M.T. (w najwyższym stopniu wzburzony): Jak to niesprawiedliwe? Nasze dzieci uciekają tam jak do bandy! Narkotyki. Chuligaństwo. Promiskuityzm, proszę wybaczyć określenie. Próżniactwo z założenia! Cóż z tego, że nie ma na nich paragrafu! To znaczy, że zostajemy w tyle, nasze nauki prawne nie nadążają za biegiem wydarzeń... Przecież ja się waham tylko jako osoba urzędowa, gdybym był na emeryturze, zaraz jutro jako pierwszy ruszyłbym na pańską Florę i słuszność byłaby po mojej stronie! (Długo rozwodził się nad tematem, zapisał jedynie rzeczy najważniejsze, zrobił jeszcze cztery dygresje z dziejów starożytnych, kiedy to był szeregowym kursantem, a później sierżantem, i dwadzieścia cztery dygresje o ciotecznych wnukach i stryjecznych szwagierkach).

G.A. (próbując mu wytłumaczyć): Oni nie uciekają do Flory, oni Florę tworzą. I w ogóle nie uciekają “do czegoś”, tylko “od czegoś”. Uciekają od nas, z naszego świata uciekają do swojego, do świata, który zarazem tworzą - na miarę swoich słabych sił i zdolności. Ów świat nie jest podobny do naszego; nie może być podobny - dlatego że powstaje na przekór naszemu, wbrew naszemu i jako stawiany mu zarzut. Nienawidzimy tego ich świata i za

wszystko go winimy, a powinniśmy winić samych siebie.

Po M.T. wszystko służyło jak woda po gęsi. Wykrzyczał się i na powrót był życzliwy i kontent z siebie: To, kochaneńki, filozofia (mówi od siebie, w żadnym wypadku nie cytując!), co to ja chciałem szczególnego poradzić? Nie próbuj się komunikować z Orenburgiem. Orenburg milczy. "Działajcie w zależności od sytuacji" - to cała rozmowa. Doskonale ich rozumiem. I działam. W zależności od sytuacji. Jak niedawno w Nowosiergiejewce te brudasy wyroiły się z pociągu relacji Orenburg-Czerma, to kolejarze razem z milicją grzecznie zapakowali ich z powrotem do wagonów, sygnał odjazdu i hajda dalej... Orenburg oficjalnie słowa nie powiedział, ale dali do zrozumienia, że tak należy trzymać. "Przecież w Orenburgu, czcigodny Gieorgiju Anatoliewi-czu, nawet nie będą z panem rozmawiać! Owszem, przyjmą do wiadomości. Owszem, coś niecoś przyobiecają, jako że jest pan jednak posłem i zasłużonym pedagogiem. Ale sprawy nie będzie. Zrobią unik. Zresztą nie ma nawet takiej siły, która by ich zmusiła do wystąpienia przeciwko demokracji, przeciwko całemu społeczeństwu".

Przez jakiś czas G.A. milczał, kołyszając kontuzjowaną rękę, a później popatrzył na mnie. Natychmiast wstałem i spytałem, czy mogę wyjść. G.A. (z wdzięcznością) zezwolił i polecił czekać na siebie w bufecie. I wziąć mu bulion z pasztecikami - niech stygnie.

Rzecz załatwiono bardzo uprzejmie, aleja się oczywiście obraziłem. Nic na to nie mogę poradzić. Nie po raz pierwszy. Wszystko rozumiem, G.A. niepotrzebnie prosi mnie później o wybaczenie. A mimo to jest mi przykro. Kwestia wieku. Coś jak moje bóle brzucha.

Żeby czymś się zająć, zacząłem wymyślać dalszy rozwój konwersacji. Na przykład: No dobrze, Michajło Tarasowiczu. Nie udało mi się pana przekonać. Proszę więc pozwolić zaproponować sobie łapówkę. Oto na początek tysiąc rubli.

G.A. nie było piętnaście minut. Później przyszedł, bez słowa, jakoś tak automatycznie napił się bulionu, ugryzł pasztecik i dopiero wtedy nagle się spostrzegł i zaczął przeproszać. Przy czym, ku mojemu zdumieniu, uznał za słuszne wytłumaczyć się. Jak się okazuje, pod moją nieobecność wymieniali pewne informacje o charakterze ściśle służbowym.

Kiedy wróciliśmy do domu, w holu na G.A. czekał jakiś człowieczek. Piszę o nim z jednego jedyne powodu: nigdy nie widziałem równie dziwnej osoby, jak się zresztą okazało - nie ja jeden.

Zniknęli już z G.A. w gabinecie, a ja ciągle nie mogłem się połapać. Oblicze zupełnie bez wyrazu. Maniery - słodkie aż do wazeliniarstwa. Jedno ucho czerwone, drugie żółte. Na brzuchu guzik od marynarki wisi na ostatniej nitce. A kamasze! Skąd on wytrzasnął kamasze?

Nie pantofle, nie mokasyny, nie “kłacza”, a właśnie kamasze. Tylko Charlie Chaplin miał takie kamasze. W tym miejscu olśniło mnie: człowieczka żywcem przeniosło do naszego liceum z jakiejś antycznej komedii. Jeszcze czarno-bia-łej. Jeszcze niemej, z taperem... Żywcem, nawet się nie zdążył przebrać.

Po kolacji zapytałem G.A., kim był ów człowiek. Wydało mi się, że G.A. był mocno zakłopotany. “A czy nikogo ci nie przypomina?” - zapytał. Powiedziałem, że Charliego Chaplina. “Char-liego Chaplina? Dziwny pomysł” - stwierdził G.A. i na tym zakończyła się nasza rozmowa.

Dziesięć żegnam urażony, rozczarowany i zakłopotany.

RĘKOPIS OZ (10-14)

...To wszystko było nie tak, całkiem nie tak.

10. Johanaan Ewangelista przyszedł na świat w tym samym roku co Nazarejczyk. Ściślej, na świat nie przyszedł sam, urodziły się bliźnięta. Drugiego chłopca nazwano Jakubem Starszym, ujrzał bowiem świat o kilka minut wcześniej niż Johanaan. Nawiasem mówiąc, Johanaan (Johannes, Joann, Jan, Iwan, Jean) znaczy “Łaska boża” (“Jahwe łaskaw”). Trzeba by zerknąć, co oznacza Jakub (Jacob, Jaków, Jacques).

Nazwa położonej na brzegu Jeziora Galilejskiego rybackiej osady, gdzie bliźniacy ujrzeli światło dzienne, nie przetrwała, tak zresztą jak i sama osada, doszczętnie zburzona przez Rzymian podczas wojny judejskiej. Ocalało za to imię szczęśliwego ojca. Był rybakiem i handlarzem ryb, a zwano go Zebedeusz. W rodzinie Zebedeusza było jeszcze dziewięć córek, ale te w naszej opowieści nie odgrywają żadnej roli.

W dzieciństwie Jan i Jakub byli chuliganami i rozrabiakami. Zgodnie z legendą przydomkiem “Boanerges” (Synowie Gromu) nadał im Nazarejczyk, kiedy wszyscy trzej mieli około trzydziestki. Nieprawda. Przewalili ich tak sąsiedzi, kiedy młodzi hultaje wchodzili w okres dojrzewania. Należy podkreślić, że jedynie współczesne tłumaczenie wzbudzającego respekt przydomka “Boanerges” brzmi groźno-szlachetnie. Dla swoich sąsiadów bracia Boanerges byli nie Synami Gromu, ale prawdziwymi sukinsynami, biczami bożymi i rozbójnikami.

Czasy były niespokojne - czasy oczekiwań na wielkie zmiany, czasy wielkich prorocstw i drobnych buntów. Boanerges jak cała galilejska młodzież owej epoki nie mieli ochoty stąpać ścieżką pokory. Nie mieli ochoty śladem ojca łowić ryb i kornie oddawać dochodów poborcy. W ogóle nie mieli ochoty pracować. Z jakiej niby racji? Chcieli żyć wesoło, zuchwale i z przytupem - zabawiać się nożami, bałamucić dziewczki, tańczyć z jawnogrzesznicami i pijać co mocniejsze trunki. Zarazem pożąдали wielkich czynów w imię

starożytnego boga i starożytnego narodu. Marzyły im się głosy potężnych proroków i komendy wybitnych dowódców, huk walących się murów Jerycha i żałosne jęki konających innowierców. Krótko mówiąc, stanowili doskonały surowiec, z którego doświadczona ręka mogła ulepić wszystko - od fanatycznych zabójców po fanatycznych męczenników.

Kiedy jednak na ich drodze stanął Jan Chrzciciel, ścieżki braci Boanerges rozeszły się. Jakub, wysłuchawszy pierwszego wykładu słynnego proroka, splunął prymką w kurz, zacisnął mocniej pas z rzymskim mieczem i niegłęboko spytał: "Co, idziemy na panienki?" Ale Jan nie poszedł na panienki. Został. W osobliwy sposób porwała go paradoksalna idea miłości do ludzi i ogólnego braterstwa.

"Nie przynudzaj!" - mówiono mu. "Rzuć w diabły starego pierdołę i chodź wypić efezkiego". "Sami jesteście pierdoły - odpowiadał. - W jednym pierdnięciu mojego pierdoły jest sto razy więcej sensu niż w całej waszej gadaninie". "Ale przecież ta nauka jest całkiem bez sensu! - przekonywali go. - Jak możesz wierzyć w podobne brednie?" "Właśnie dlatego wierzę, że to bez sensu" - odpowiadał, wyprzedzając o kilka wieków świętego Augustyna. "Powinieneś przecież zrozumieć, że jego nauki przeczą zdrowemu rozsądkowi!" - tłumaczyli..*£ish mir im toches* ze swoim zdrowym rozsądkiem - odszczekiwał się - *und zeig gesund*" (Oczywiście po aramejsku brzmiało to inaczej, ale sens był ten sam: pocałujcie mnie w dupę ze swoim zdrowym rozsądkiem i do widzenia).

Potem pojawił się Nazarejczyk (ten, którego podówczas i później wszyscy nazywali Nazarejczykiem) i Jan oddał mu się całą duszą. Został jego uczniem i jego ochroną osobistą, i zaopatrzeniowcem, gdy to było potrzebne - inaczej mówiąc, został apostołem, jednym z dwunastu i jednym z dwóch najbardziej umiłowanych. Drugim był Piotr.

Zgodnie z tradycją Piotr reprezentuje egzoteryczny, ogólnoludzki aspekt chrześcijaństwa - wyznanie wiary dane wszystkim i każdemu z osobna. Jan zaś - aspekt ezoteryczny, to znaczy mistyczne przeżycie dostępne tylko nielicznym wybrańcom. Dlatego Kościół dążył zawsze do uzupełnienia pierwiastka Piotrowego pierwiastkiem Janowym, a heretycy - gnostycy wieku II, katarzy od XI po XII - zawsze przeciwstawiali Jana Piotrowi. Wszystko to są domysły i wszystko jest najzupełniej nieważne. Głównym i jedynym ziarnem prawdy jest wspomniany antagonizm.

Istotnie nie lubili się nawzajem. Jan nie lubił Piotra, ponieważ mu nie ufał (jak dowiodły późniejsze wydarzenia - słusznie). Piotr był zwyczajnie zazdrosny. W żaden sposób nie mógł pojąć, dlaczego Nauczyciel na równi z nim, pokornym, pogodnym i bezgrzesznym Piotrem stawia gwałtownego, niepohamowanego w mowie, nierozstającego się z bronią grzesznika.

Piotr był solidny i stateczny. Jan - gwałtowny i zuchwały.

Piotr był krasomówcą i gadułą. Jan - kpiarzem i człowiekiem skorym do przekleństw.

Przy Piotrze Nauczycielowi żyło się łatwo. Przy Janie - pewnie.

To właśnie Jan spoczął podczas Ostatniej Wieczerzy na piersi Nauczyciela i nie było to bynajmniej przejawem sentymentalizmu - po prostu nagle mu się wydało, że jeszcze chwila i w zaroślach za oknem cieniutko brzęknie cięciwa, i w serce ukochanego człowieka wbije się strzała. Zasłonił więc to serce własnym ciałem i słuchając jego bicia, z przerażeniem odkrył, że straszliwa świadomość przyszłych mąk przelewa się w niego, Jana, bolesnym przecuciem odbierającym siły i niepozostawiającym nadziei.

I właśnie on, Jan, jako jedyny, z mieczem w ręku stanął u wejścia i nie odstępując ani na krok, walczył ze strażnikami. Okrwa-wiony, z obcięтым uchem, ślizgał się we krwi chlustającej z niego samego i z porąbanych wrogów, aż oniemiały od krzyku Nauczyciel nie podbiegł doń od tyłu i nie wyrwał mu miecza. Wówczas Jan gołymi rękami utorował sobie drogę na wolność i uciekł, nie chcąc widzieć tego, co nastąpi. Ponieważ już wiedział, co nastąpi.

Powinien był umrzeć owej nocy, najzwyczajniej w świecie wykrwawić się na śmierć, ale znaleźli go dobrzy ludzie, zabrali z przydrożnego rowu i Jan jakimś cudem przeżył. Słowo "cud" nie zostało tu użyte w przenośni, Jan jest całkowicie przekonany, że uratował go właśnie cud, mistyczna interwencja - pierwsza mistyczna interwencja w jego życie. (Historia zawsze łączyła z imieniem Jana motywy mistyczne. Bizantyjscy autorzy obdarzali go epitetem *mist*, a cerkiewno-słowiańscy - *tainnik*).

W dwa miesiące po śmierci Nazarejczyka, kiedy Jan po raz pierwszy wypełził na czworakach pogrzać się na słończku, znalazł go Jakub Starszy. "Dobra" - powiedział urodzony rozbójnik. "Starczy tego łażenia. Chodź, bryka czeka". Od tej chwili Jan na jakiś czas przestał być chrześcijaninem. Prawdopodobnie należałoby go nazwać odstępcą. W rzeczywistości nie miało miejsca żadne odstępstwo w ścisłym znaczeniu tego słowa. Po prostu utracił ze smutku i rozpacz jakakolwiek perspektywę i zszedł na manowce.

W parę lat później, kiedy Boanerges, rozkoszując się zasłużonym wypoczynkiem, w towarzystwie dziwek i kompanów przepuszczali łupy w jednym z szynków na obrzeżach Aleksandrii, Jakub znienacka szturchnął brata w bok.

- Popatrz, kto nas odwiedził - rzekł.

Jan spojrział i zobaczył długiego i suchego jak tyka żebraka. Żebrak stał w progu i chciwie i spiesznie połykał nieapetyczne jadlo, wybierając je brudnymi palcami z

wyszczerbionej glinianej miski.

- Toż to Ahaswer we własnej osobie! - powiedział Jakub. - Buttadeus, "Ten, który uderzył Boga!"

- Nie znam - odrzekł Jan - i nie chcę znać. Według mnie to Bóg uderzył jego, a nie na odwrót.

-

Tu Jakub opowiedział mu z żarem, co zaszło w dzień kaźni pomiędzy Nauczycielem a Ahaswerem w drodze na Golgotę - kiedy to Jan u dobrych ludzi konał z upływu krwi.

Jan z uwagą wysłuchał całej historii do końca. Nagle poczuł wielką ulgę. Jak się okazuje, niczego nie zapomniał. Jak się okazuje, przez wszystkie te lata dręczyła go myśl, że Judasz uniknął zemsty. Również Kajfasz dawno wyciągnął kopyta. Piłat pozostaje nieosiągalny. Są jeszcze tysiące widzów. Oni nie zabijali Nauczyciela, oni Go tylko lżyli. Ale są ich tysiące i nie mają imion. I oto w końcu pojawił się ktoś z imieniem. Długi, chudy, ponury, żywiący się odpadkami. Ten, który uderzył Boga.

- Ów człek winien zostać surowo ukarany - powiedział głośno Jan. Nie wiedział, że tamten został już ukarany wystarczająco surowo, tak surowo, jak nie są w stanie karać śmiertelnicy. A już w żaden sposób nie mogło mu przyjść do głowy, że karząc ponurego zjadacza odpadków, nieodwołalnie narusza wolę jedynego człowieka, którego kochał, jedynego spośród żywych i jedynego spośród martwych.

Nikt nie zwrócił uwagi na jego słowa. Jan zsunął z kolan nieprzytomną Greczynkę, z łatwością podniósł się, podszedł do żebraka, stanął z nim twarzą w twarz i tym samym długim nożem, którym dopiero co haratał baranią łopatkę, dźgnął pod wyszczerbioną miskę - od dołu, po samą rękojęść.

Exit Ahaswer, onże *Espera Dios*, onże Buttadeus. Ten, który uderzył Boga.

I braci Boanerges dalej poniosło po ziemiach Wielkiego Imperium, i policje dwudziestu już miast i szesnastu prowincji miały ich w swoich wykazach *listed and wanted*. Trzy razy dorabiali się majątku i trzy razy wielkie bogactwa przepuszczali. Czterokrotnie brali udział w buntach wymierzonych przeciwko rzymskim władzom i niezliczoną ilość razy dokonywali zbójceckich napadów na kupców, na właścicieli ziemskich, na lichwiarzy, na poborców, na przypadkowych przechodniów, a raz nawet na bazę morskich piratów - aż znaleźli się w Rzymie i wpadli przy najgłupszym z możliwych skoków.

Ponieważ sprawa była niewielkiej wagi (zarznęli obywatela wracającego na gazie z łaźni i zostali schwytani *in flagranti*), wyrok zapadł na pierwszym posiedzeniu. Oczywiście bracia podali fałszywe imiona. Jakub Starszy podszył się pod zbiega z Pergamonu, a Jan, jak

gdyby pod wpływem natchnienia, przedstawił się jako Ahaswer, garncarz z Jerozolimy. Panu sędziemu rejonowemu, zawziętemu żydofobowi, w dodatku od samego rana cierpiącemu z powodu ostrego kaca, było wszystko jedno. “Per-gamończyk! - stwierdził z bolesnym sarkazmem. - Z takimi pejsami! Powtórz no: «Na górze Ararat rosną czerwone winogrona!...»” Sprawa była całkowicie jasna. Dwóch włóczęgów z kolonii zuchwale pozbawiło życia rzymskiego obywatela. Skazać łotrów na śmierć przez otrucie.

W noc przed kaźnią Jana nie wiadomo dlaczego zadreślało pytanie: czemu to nagle przyszło mu do głowy przedstawić się akurat jako Ahaswer z Jerozolimy? Co to było? Przypływ bandyckiej fantazji? Zawadiacki przedśmiertny żart? Zimna kalkulacja? Podam imię nieboszczyka, niech szukają? Albo, być może, podświadome pragnienie, by raz jeszcze zhańbić zhańbione imię?

Że było to przeznaczenie, Janowi dane było domyślić się o wiele później.

Jakub, wypiwszy truciznę, umarł dosyć szybko, chociaż oczywiście pocierpiał - dokładnie w takim stopniu, w jakim przewidywał to imperialny wymiar sprawiedliwości. Jan nie umierał. Związaniem, trzykrotnie wlewano w usta śmiertelny napój i trzykrotnie zwracał wszystko, zwijając się w konwulsjach. Chociaż był to wypadek rzadki, to jednak bynajmniej nie pierwszy w historii i zgodnie z precedensami Jana należało dogotować we wrzącym oleju.

W ten sposób przypadła mu jeszcze jedna noc życia. Widocznie jednak trucizna zdołała przemknąć do organizmu, ponieważ Jana do samego świtu męczyły wizje i dręczyły głosy. Była to tortura. Nie mógł w żaden sposób pojąć, kto z nim rozmawia i co właściwie mówi. Nie, to nie był Nazarejczyk. Był to ktoś Jemu równy, ale niewzbudzający miłości ani nieofiarowujący radości. Jego słów Jan nie pojmował. Zrozumiał tylko, że oto ponownie wydawany jest nań wyrok i że ponownie zostanie ukarany.

Zabijając Ahaswera, naruszyłeś wolę Nauczyciela - powiedziano mu jakby.

Przyjmując imię Ahaswera, sam wybrałeś rodzaj kary - dano mu do zrozumienia.

Odtąd aż po dzień Sądu Ostatecznego będziesz wędrował po Świecie - powiedziano mu.

I będziesz czynił, czynił, czynił - oświadczone.

Ale co będzie czynił, Jan owej nocy nie pojął.

Rankiem poprowadzono go pod Porta Latina i w obecności niewielkiego tłumku gapiów zanurzono w wielkiej kadzi z wrzącym olejem. Ból był straszliwy i Jan zemdłał. Ale znowu nie umarł.

Ocknąwszy się, odkrył, że leży na kamiennej podłodze w znanej mu izbie sądu, a nad

nim w pięćgąb ciska obelgami starszyzna rzymskiego kolegium prawniczego. Okazuje się, że żadnego przestępcy nie wolno tracić trzykrotnie. Okazuje się, że tracenie po raz trzeci wystawia cierpliwość bogów na próbę. Nikt nie miał ochoty wystawiać na próbę boskiej cierpliwości - nikt poza panem sędzią rejonowym, który w ten sposób znalazł się w mniejszości. Jednakże z drugiej strony - żadnego przestępcy nie wolno puścić bezkarnie. Dlatego kolegium prawnicze ogłosiło wyrok: dożywotnio zesłać Ahaswera z Jerozolimy do jednej z najbardziej zapyziałych rzymskich kolonii, do Azji. Dokładniej - na wysepkę Patmos. Co też uczyniono.

(INFORMACJA. Patmos, maleńka wysepka na Morzu Egejskim, położona około czterdzieści kilometrów na południe od linii łączącej wyspy Ikarię i Samos. W opisywanych czasach zamieszkiwało ją parę dziesiątków zupełnie dzikich Frygijczyków władających językiem o słowniku składającym się z około dwóch tuzinów słów i żywiących się kozim serem, suszoną rybą i wodorostami. Z większych ssaków, oprócz Frygijczyków i kóz, zamieszkiwali tam również zesłańcy).

Jan spędził na Patmos czterdzieści lat.

Niezwykle ważną okolicznością okazał się fakt, iż przez cały ten czas nie odstępował go uczeń i sługa o imieniu Prochor. Ów Prochor to postać w najwyższym stopniu zasługująca na uwagę. W dzień wrzącego oleju u Porta Latina Prochor miał szesnaście lat. Był Grekiem z pochodzenia, a z przekonań kryptochrześcija-ninem. Przypadkiem znalazł się na miejscu kaźni i z narastającym zachwytem i ubóstwieniem przyglądał się i słuchał, jak wystająca z bulgoczącego oleju głowa z wywróconymi oczyma ochryple głosi słowa Nauki przemieszane z osobliwymi wyznaniem i opisami cudownych wizji. Do chwili, gdy kaci stracili nadzieję, że uda im się spełnić obowiązek i zużyli cały wyfasowany olej, a wokół kadzi zgromadziło się pół Rzymu, Prochor zrozumiał, że oto jest człowiek, którego królestwo nie jest z tego świata. Owego poranka rozstrzygnął się jego los i pełny przecucia wielkich czynów Prochor ruszył w ślad za Janem na Patmos. Zabrał ze sobą duży zapas pergaminu i atramentu oraz worek suszonych fig na początek. Oczywiście wszystko to ukradł swemu poprzedniemu pracodawcy, w którego sklepiku pełnił obowiązki ucznia pisarza.

Tu kończy się prehistoria Jana-Ahaswera. Na wyspie Patmos zaczyna się jego historia.

11. W całkowitym milczeniu wspięliśmy się na nasze jedenaste piętro i stanęliśmy przed drzwiami bez numeru. Łapiąc oddech, Misza powiedział:

- A więc tak, Sierioğa. Ja będę mówił, ty lepiej siedź cicho.

Nic nie odpowiedziałem, trzęsły mną dreszcze. Dopiero na schodach, minutę wcześniej, zrozumiałem nagle, że swojego starego przyjaciela wciągam w skrajnie dlań

niebezpieczne przedsięwzięcie. A fakt, że pracuje tam, gdzie pracuje, i sam nalegał na wizytę, w najmniejszym stopniu mnie nie usprawiedliwia. Miałem wielką ochotę powiedzieć: Wiesz, Miszka, nie warto. Do diabła z nimi wszystkimi! Ale tak przecież postąpić również nie mogłem! Trzeba było spróbować jakoś rozerwać błędne koło...

W przedpokoju pomogłem Miszy zdjąć płaszcz i powiesiłem go na wieszaku, a mokry beret położyłem przed lustrem. Miszka niespiesznie przyczesał mocno już przerzedzone jasne kędziory. Wydawało mi się, że jest zupełnie spokojny, jak gdyby przyszedł w gości - popijając koniaczek i zakąsać cytrynką.

- Gdzie mam iść? - spytał półgłosem, dmuchnął na grzebień i schował go do kieszeni.

- Zaraz, poczekaj chwilę - powiedziałem.

Nie chciałem, żeby mój Misza prowadził rozmowę z fotela dla parszywych petentów. I w ogóle niech wszystko zobaczy na własne oczy.

- A z resztą, na co czekać? Chodźmy - powiedziałem i ruszyłem wprost do Pokoju.

- Spokojnie, Sierioga, spokojnie - wymruczał za moimi plecami Misza. - Wszystko w porządku...

Pokój był pusty. Odsunąłem się na bok, przepuszczając Misze, żeby wszystko mógł zobaczyć: i kretyńską ławę pod ścianą, i dwa lśniące metalowe pasma ciągnące się od okna do drzwi Gabinetu, i owe drzwi, jak zwykle otwarte na czarny bezdenny mrok przeszywany niewyraźnymi pulsującymi światełkami. Misza błyskawicznie omiół całość spojrzeniem i na jego twarzy pojawił się nieznan mi wyraz. Jak gdyby nagle coś go zasmuciło, jak gdyby natychmiast i bezwzględnie musiał przełknąć szklankę rycyny.

Demiurg zagrział:

- Klienta do Pokoju Przyjąć! Co to za samowola!

Zacisnąłem zęby i gniewnie wycodziłem:

- To nie jest klient. Prosiłbym, żeby pan wyszedł i porozmawiał z nim.

- Wykonać polecenie!

Misza ujął mnie mocno za łokieć i powiedział w stronę Gabinetu:

- Nazywam się Michaił Iwanowicz Smirnow. Jestem majorem służby bezpieczeństwa.

Chciałbym z panem porozmawiać.

Demiurg najwyraźniej wcale się nie zdziwił.

- Porozmawiać czy przesłuchać? - zapytał.

- Przychodzę nieoficjalnie - odparł Misza. - Chcę po prostu zadać parę pytań.

- Dlaczego mnie?

- Chciałbym się zorientować, czy pańska działalność nie wchodzi w zakres zainteresowań mojej firmy. Muszę uściślić: ma pan teraz prawo nie odpowiadać na moje pytania.

- Może pan nie uściślać. Ja zawsze mam takie prawo... Siergieju Korniejewiczu, ja tak czy owak nie wyjdę, proszę się nie łudzić. Niech pan zaproponuje gościowi, żeby usiadł.

- Proszę się nie kłopotać. Siedziałem dzisiaj przez cały dzień. Ale, uczciwie mówiąc, miałbym ochotę pana zobaczyć.

- Dobrze sobie... W porządku, przemyślę to. Zobaczymy, jak się pan będzie sprawował. A na razie może pan zadawać swoje pytania.

Z napięcia złapał mnie skurcz w łydce. Jakoś dokuśtykałem do ławy, usiadłem i zacząłem rozcierać nogę. A tamci dwaj już rozmawiali, i to z takim ożywieniem, jak gdyby znali się przez całe życie, a teraz postanowili się zabawić w "pani przysłała toaletę". - Kim pan jest?

- Mam wiele imion. Nazywają mnie Garncarz, Kowal, Tkacz, Cieśla, Hefajstos, Gu, Ilmarinen, Chnum, Wiszwakarman, Ptah, Jahwe, Mulungu, Morimo, Mukuru... Wystarczy, jak sądzę?

- Nie pytam o imię, pytam, kim pan jest.

- Jestem garncarzem, kowalem, cieślą, tkaczem... Czy to mało? I na koniec - jestem Demiurgiem.

- Ale, jak sądzę, jest pan człowiekiem?

- Oczywiście! Między innymi również człowiekiem.

- A kim poza tym?

- Cóż to, nie wie pan, kto to jest demiurg? Proszę więc sprawdzić w słowniku.

- Dobrze. Sprawdzę. A od jak dawna przebywa pan tutaj?

- Ponad pół roku... Chociaż... Koniec końców to zależy od sposobu liczenia. Proszę posłuchać, czy to nie wszystko jedno?

- Dla mnie nie. Ale jeżeli panu trudno odpowiedzieć, odłożmy na razie to pytanie. Skąd pan przybył?

- Jedna rzecz, majorze. Chcę pana uprzedzić. Zapewniam, że jeśli zacznę odpowiadać na pytania dotyczące czasu czy przestrzeni, nie dozna pan ani satysfakcji, ani przyjemności.

- Dobrze, wezmę to pod uwagę - powiedział cierpliwie Misza. - A więc skąd pan przybył?

- Znikąd nie przybywałem. Byłem tu zawsze.

- W tym pokoiku?

- Ten pokój nie istniał zawsze, majorze. Ja owszem. W pewnym sensie. Tutaj i nie tylko tutaj.

- Ciekawe. O ile mi wiadomo, człowiek podobnymi możliwościami nie dysponuje. Pozwolę więc sobie wyciągnąć wniosek, że jednak nie jest pan człowiekiem?

- Człowiek podobnymi możliwościami nie dysponuje, to prawda. Za to ja dysponuję możliwością bycia człowiekiem. I nie tylko.

- No cóż, pańskie prawo. Nie zakazują tego żadne ustawy. A teraz proszę mi powiedzieć, o ile to oczywiście możliwe, jaki jest cel pańskiego pobytu w naszym kraju.

- Odnoszę wrażenie, że przywykł pan miewać do czynienia z obcokrajowcami.

- Z czego pan to wnioskuje?

- Niezwykle poprawny język. Bardzo swobodne maniery. I najwyraźniej przywykł pan do zadawania tego pytania - o cel pobytu.

- Nawiasem mówiąc, przywykłem również otrzymywać odpowiedzi na moje pytania. A więc?

- Szukam Człowieka.

- Kogo konkretnie?

- Szukam człowieka przez wielkie C.

Przez cały czas trwania tej szybkiej wymiany pytań i odpowiedzi Misza nie zatrzymał się ani na chwilę. Odniosłem nawet wrażenie, że niezbyt się zastanawia nad swoimi pytaniami i nie za bardzo wsłuchuje w odpowiedzi. Stąpając bez szmeru, obszedł Pokój, uważnie obserwując i obmacując ściany. Z zadartą głową postął pod sterczącym z sufitu czarnym kablem, przyglądając się mu przez zmrużone powieki, następnie podszedł do okna i spojrzał w dół. Później, przykucnąwszy, obejrzał metalowe pasma i nawet postukał w nie paznokciem - w jedno i w drugie. Z rozpaczą i bezsilnym rozczarowaniem obserwowałem, jak na jego twarzy coraz wyraźniej rysuje się żal z powodu traconego na próżno czasu. Jak gdybym czytał jego myśli: tak, marnuję tu czas na kompletne głupstwo, zadzwonię na komisariat, niech przyślą dzielnicowego i szlus...

Usłyszawszy o Człowieku z wielkiej litery, wyprostował się, puścił do mnie oko i zrobiwszy w kierunku Gabinetu kilka bezdźwięcznych kroków, oświadczył z komiczną powagą:

- Proszę wziąć mnie.

Po raz pierwszy odpowiedź nie nastąpiła. Misza zdążył zrobić jeszcze dwa ostrożne kroki - i oto z mroku wynurzył się mu naprzeciw Demiurg. Stał w progu i skierował na

Misze wściekle gałki oczu. Zerwałem się z ławy. Przeraziłem się nieomal do utraty przytomności. A Misza odstał o krok i prawą ręką wykonał dziwny, urwany ruch - czy to chciał się nią zasłonić, czy też (pomimo zapewnień) coś jednak miał w kaburze pod lewą pachą. Pobladł, na czoło wystąpiły mu nagle grube krople potu. I wówczas Demiurg wyłskotał:

- Przemyśle pańską propozycję.

Powiedział i wślizgnął się z powrotem w mrok.

12. W przedpokoju spróbowałem podać Miszce płaszcz, ale odebrał mi go ze słowami: "Dawaj, dawaj! Po co te chińskie ceregiele!" Podczas gdy się zapinał i nakładał przed lustrem beret, ja ciągle czekałem, czy powie mi coś od razu tutaj, czy może porozmawiamy na schodach. Ale znienacka tuż za ścianą zaszumiła spuszczana woda, szcęknęła zasuwka i z łazienki wypadł do przedpokoju Ahaswer Łukicz. Oburącz starannie zapinał rozporek, starając się przy tym przytrzymywać trzema palcami prawej ręki swoją ukochaną teczkę.

- *Pardon, pardon, pardon!* - zawołał radośnie, obdarzając Misze Smirnowa profesjonalnym spojrzeniem. - Pozwoli pan, że się przedstawię: Ahaswer Łukicz Prudkow, Pe-zet-u, do usług. Nie podaję ręki - ze względu na miejsce niedawnego pobytu. Jednak nie mogę nie skorzystać z okazji. Pe-zet-u, szanowny Michaile Iwanowiczu, oferuje panu...

I z fenomenalną prędkością (nawiasem mówiąc nieodbijającą się bynajmniej na czytelności i zrozumiałości) Ahaswer Łukicz rozpostarł przed oszołomionym Miszą luksusowy wachlarz wszelakich usług oferowanych porządnemu obywatelowi przez nasz system państwowych ubezpieczeń.

Zdumiało mnie, że Misza najwidoczniej doszczętnie zapomniał wszystko, co mu mówiłem o Ahaswerze Łukiczu. Najwyraźniej był dla niego zwyczajnym, natrętnym agentem ubezpieczeniowym, od którego nie wiadomo jak się uwolnić, nie okazując jawnego grubiaństwa i chamstwa. Misza uśmiechał się niezręcznie, czynił oburącz gesty odpychania, przyciskał do piersi dłoń ze słowami: "Dziękuję panu, ja już..." Ogólnie zachowywał się nie jak Isajew-Stirlitz, ale jak zakichany docencik upolowany w pobliżu ojczystej kasy z wypłatą w rękę. Kiedy w końcu wydostaliśmy się na klatkę schodową i zatrzasnąłem za sobą drzwi, Misza z komiczną ulgą otarł z czoła wyimaginowany pot i powiedział:

- Uff... Ledwie się wyrwałem.

Zaczęliśmy schodzić.

- No i jak? - niecierpliwie zapytałem z obawą.

-

Tu wyszło na jaw coś takiego, co nawet teraz wspominam ze zjeżonym włosom. Chociaż - czego właściwie mogłem się spodziewać? Było to tak.

Przez pierwsze cztery piętra Michał mówił niechętnie i jak gdyby na siłę, mówił nie dlatego, że chciał mówić, ale dlatego, że czuł się zobowiązany coś mi powiedzieć. Jest mi wdzięczny. Zuch ze mnie. Słusznie postąpiłem, zwracając się do niego. Kroci się poważna sprawa. Zajmą się nią ci, co trzeba, a ja zupełnie nie mam po co dalej tu tkwić. Być może jest to nawet niebezpieczne... Co cię właściwie trzyma? Może potrzebna pomoc? Więc powiedz! Najlepiej wynieś się jeszcze dzisiaj, natychmiast... O mieszkanie się nie martw, wszystko da się załatwić...

Na ósmym piętrze Misza wziął mnie pod rękę i zaczął konfidencko opowiadać, że miał już do czynienia z analogiczną sytuacją - z piętnaście lat temu. Moi kanciarze są, trzeba przyznać, sprytni, ale jak wiadomo - nie ma nic nowego pod słońcem. Wystarczyło, że zobaczył metalowe prowadnice i od razu wszystko zrozumiał. Żadne z nich prowadnice - to szyny. A w Gabinetach trzymają generator. Co prawda niektórych rzeczy na razie nie jest w stanie wyjaśnić, ale to nie jego rzecz... To w ogóle nie nasza rzecz. Dzielnicowy przegapił sprawę, jasne jak słońce. Popatrzcie no, ma w rejonie taką bandę aferzystów, grasują przy - najmniej od miesiąca, a on się wachluje uszami. Jednego nie mogę zrozumieć: czym cię trzymają? Czyżbyś był aż tak łatwowski? Mateczko moja, przecież jesteś doktorem, nieomal docentem... Doczekasz się jeszcze, że zwiną cię razem z nimi! Artykuł taki to a taki, współudział w szalbierczych machinacjach... Przecież chyba cię nie kupili! Rozumiem, rozumiem: oszukali. Sam z początku diabli wiedzą co pomyślałem, a przecież z niejednego pieca chleb jadłem... Drobiazg, nie bój się, wstawię się za tobą, przejdiesz przez sprawę jako świadek... Wracaj do obserwatorium, zajmij się swoimi ukochanymi gwiazdami, o tym zapomnij, diabli cię tu przywiali!...

Na drugim piętrze objął mnie mocno w ramionach i kontynuował całkiem już po przyjacielsku poruszonym tonem. Chociaż z drugiej strony - coś ty miał w tym swoim obserwatorium? Pokój w hotelu? A tutaj mieszkanie, że zazdrość bierze, słowo honoru. Sypialnię po prostu z nóg mnie zwałiłeś, mojej Basieńce nawet nie zaczę opowiadać, bo mnie pożre żywcem... Gdzież to ludzie takie meble wynajdują! A w ogóle, gdzie zdobywasz książki? Znajomości masz czy jak? Ja przez całe życie zbieram *Pamiętniki wojenne*, ale takiej kolekcji... Szkoda, że twoja So-nia była w pracy, że sto lat się nie widzieliśmy. Posłuchaj, co to za zwyczaj zapraszać w środku dnia? Spotkajmy się po ludzku, z żonami, z dziećmi, poznamy moją Sańkę z twoją Ta-nieczką... (W tym miejscu zarechotał). Jak to ci ona

wyskoczyła z łazienki... Zarumieniła się niby maczek... Nawiasem mówiąc, piękna dziewczuszka z niej rośnie. Tak, bracie, starzejemy się, dzieci nam rosną, jeszcze pięć latek i przyjdzie pora potomków żenić... Koniaczek miałeś dobry, reprezentacyjny. Ale jak przyjdiesz do mnie, zaserwuję ci taki, jakiego nigdy nie piłeś i pić nie będziesz, o ile ja się o to nie zatroszczę. No dobra, dzięki za zaproszenie, dzięki za poczęstunek, dzięki za gościnę... Nie, nie musisz odprowadzać, wiem - tam niedaleko staje "szóstka".

Uścisnął mnie przelotnie, poklepał po plecach i zbiegł po stopniach. A ja dalej stałem, przytrzymując się mokrej, lodowatej betonowej ściany, i spoglądałem w ślad za nim, patrzyłem, jak zwinnie przeskakuje z cegły na cegłę, pokonując pas błota, a później rozejrzawszy się na prawo i lewo, przechodzi przez ulicę, kierując się w stronę przystanku autobusowego.

13. Demiurg powiedział:

- Ma pan jeszcze pytania?

- Nie - odpowiedział Misza. - Dziękuję.

Przyszedł już całkowicie do siebie, na twarz powrócił mu rumieniec, ale pot ciągle jeszcze spływał po policzkach z czoła na szyję i Misza co i rusz ścierał go zmiętą chusteczką.

- A więc teraz ja zadam panu pytanie - powiedział Demiurg. - Tylko jedno. Czego pragniecie?

- Teraz pragnę tylko jednego - powiedział, uśmiechając się krzywo Misza. - Żeby pan zniknął. I żeby nigdy pana nie było. Żebym się teraz szczęśliwie obudził. Żebym mógł się obudzić, a pana nie ma i nigdy nie było.

- Zaiste niezwykła odpowiedź - powiedział Demiurg. - Nie spodziewałem się po panu, majorze... Zresztą wcale nie miałem na myśli osobiście pana.

-

- A, miał pan na myśli... Wie pan, wszystko, czego pragniemy, zostało wyłożone w programie Partii. Proszę przeczytać, tam jest wszystko napisane.

Demiurg zagrział:

- Dziękuję! Jest pan wolny, majorze. Siergieju Korniejewiczu, proszę odprowadzić majora. Palto i kapelusz proszę podać.

A kiedy niczym ciągnięta do rakami stara klacz przywlokłem się na swoje miejsce w Pokoju Przyjęć, powiedział:

- Na przyszłość proszę nie sprowadzać swoich przyjaciół bez specjalnego uprzedzenia. To nie salon, tylko miejsce pracy... Zresztą w tym konkretnym przypadku jestem nawet wdzięczny. Wszak wasza epoka jest epoką potężnych organizacji, a ja po staremu dalej

zabawiam się z pojedynczymi pionkami. Nasunął mi pan pomysł, dziękuję.

14. INFORMACJA. Od wielu już lat nie jestem żonaty, rozwiedliśmy się. Moja pierwsza i ostatnia żona miała na imię Aleksandra. Misza Smirnow nigdy jej nie widział. Dzieci nie miałem i nie mam. Pośród moich krewnych, przyjaciół czy też znajomych nie ma i nie było kobiety o imieniu Sonia, Sofia czy coś koło tego. Później jeszcze dwukrotnie dzwoniłem do Miszy Smirnowa. Za pierwszym razem powiedziano mi, że przebywa na długoterminowej delegacji. Po raz drugi porozmawialiśmy parę minut przez telefon. Był życzliwy i w pełni przyjazny, ale od propozycji spotkania uchylił się, tłumacząc się nawałem zajęć. Żegnając się, z zadowoleniem wspomniał “wspaniały wieczorek”, który spędził u mnie w gościach, i poprosił, żeby przekazać pozdrowienia “Sonieczce i Taniuszce”.

Innych znajomych w “potężnych organizacjach” nie posiadam. Zwrócenie się do nich wprost, kanałami oficjalnymi, nie wróży w perspektywie niczego poza domem wariatów.

Zostałem sam. Teraz już zupełnie sam.

15. Był już późny wieczór. Właściwie nawet noc. Leżałem...

DZIENNIK. 18 lipca.

(Uzupełnienie do siedemnastego)

Podobnie jak Michajła Tarasowicz w żaden sposób nie mogę jasno sobie wytłumaczyć, dlaczego G.A. z takim zapalem występuje w obronie Flory.

“Wołał o łaskę dla upadłych?”

To nie to. Całkiem nie to. Najzupełniej dokładnie wiem, widzę, czuję, że on ich wcale nie uważa za upadłych. To my wszyscy uważamy flowersów za coś w rodzaju ludzi upadłych, jak nie w tym, to w innym sensie, on - nie. On w ogóle nie uznaje pojęcia “upadły”. Wszystko, co zrodziło społeczeństwo jest pochod-najego praw, a więc jest praworzędne, a więc - nie podlega w ścisłym znaczeniu tego słowa podziałowi na dobro i zło. To my wszystkie zjawiska społeczne dzielimy na dobre i złe - również kierując się przy tym jakimiś regułami społecznymi. (Właśnie dlatego rzecz dobra w wieku XIX zasługuje na surowy osąd w wieku XXI. Na przykład tępe czczenie rang. Albo, powiedzmy, ślepe wypełnianie rozkazów).

Zrozumienie i miłosierdzie.

Zrozumienie to dźwignia, narzędzie, przyrząd, którym posługuje się w swojej pracy nauczyciel.

Miłosierdzie to etyczna pozycja nauczyciela w stosunku do obiektu jego pracy, sposób postrzegania.

Tam, gdzie istnieje miłosierdzie, mamy do czynienia z wychowaniem. Tam, gdzie miłosierdzia nie ma, gdzie jest wszystko, czego dusza zapragnie poza miłosierdziem, tam mamy do czynienia z tresurą.

Człowiek wychowywany jest poprzez miłosierdzie.

Gdy brak miłosierdzia, ma miejsce produkcja półfabrykatu: śrubkoklepa, robola, specjaliści od łopaty. No i oczywiście bere-ciarzy wszelkiej maści. Maszyn do zabijania. Profesjonalistów.

Zdumiewa fakt, że ludzkość osiągnęła prawdziwy sukces w produkcji półfabrykatów. Czyżby taki proces był mniej skomplikowany?

A może na wychowanie Człowieka zawsze brakowało czasu? Albo środków?

Nie, widocznie nie było potrzeby.

A teraz się pojawiła? “Jeśli z chłodną uwagą rozejrzysz się wkoło...” A więc jednak

pojawiła się!

W innym przypadku teoria PWP nigdy by się nie przebiła przez reliktowe dżungle Akademii Nauk Pedagogicznych. I nie stworzono by systemu liceów. I G.A. w najlepszym wypadku byłby teraz wybitnym nauczycielem przeciętnej szkoły średniej numer 32 w Taszlińsku.

Oczywiście byt określa świadomość. To reguła. Jednak na szczęście - w charakterze wyjątku, ale jednak dość często - zdarza się, że świadomość wyprzedza byt. Inaczej do tej pory siedzielibyśmy w jaskiniach.

Zbudził się Mikael. Świntuszy, jak zawsze z rana.

18 lipca. Wieczór.

Dopiero co wróciliśmy z jadalni. Dyskutowaliśmy. Gardło piecze, jak gdybym komenderował defiladą. Nastrój superobrzydli-wy. Mówiłem do niczego. Nie potrafię. Ale Askold!

Nie chcę teraz o tym pisać.

G.A. nie czuje się najlepiej. Zdjąłem mu plaster, ale ręka boli dalej. Miska jest przejęty i zerka z poczuciem winy. Robiliśmy ręce masaż falowy. Serafima Pietrowna poprosiła Michela do swojego gabinetu, poczęstowała merengami i urządziła przesłuchanie trzeciego stopnia.

Od jedenastej do czternastej byłem w szpitalu. Pomagałem Borysyczowi przy historiach chorób, wynosiłem baseny (na najwyższym profesjonalnym poziomie) i przeprowadziłem gimnastykę leczniczą we wszystkich salach drugiego piętra.

Od piętnastej do dziewiętnastej przygotowywałem się do egzaminu dyplomowego, konspektowałem madame Tepfer. Ależ ciężko! Czyżbym rzeczywiście musiał się zabrać na poważnie za tę diabelskąpsychogeometrię? Wyższa pedagogika, pal jęlichu! Nie wierzę w nią... A jeśli człowiek nie ma zdolności do abstrakcyjnego myślenia? Żyjemy jednak w szalenie okrutnym świecie.

Wydarzenia.

Z rana na miejskim kanale wystąpił Michajła Tarasowicz i otrąbił wielkie zwycięstwa. Nasza bohaterska milicja zdemaskowała i rozgromiła zakonspirowaną fabrykę narkotyków. Wytwórnia mieściła się w piwnicach budynku laboratoryjnego uniwersytetu. (Ha, pomyśleliśmy jednocześnie z Michelelem i w milczeniu popatrzyliśmy na siebie). Zatrzymano sześć osób: jednego kuriera,

trzech dystrybutorów i dwóch z ochrony. Aresztowano głównego mafiosa naszego miasta. Którym to mafiosa okazał się być obywatel Tiutiukin, zajmujący stanowisko szefa wydziału kultury komitetu miejskiego. ("Ha!" - powiedziałem sam do siebie i z powodu nieobecności G.A. wymieniłem spojrzenia z Askol-dem). Pod zarzutem współudziału zatrzymano jeszcze kupę luda, w szczególności kierownika magazynu odczynników chemicznych, właściciela kawiarni Śnieżynka, jednego z uniwersyteckich ogrodników i innych szacownych obywateli. (Co charakterystyczne: ani jednego studenta). Śledztwo trwa. Są podstawy, by sądzić, że w najbliższym czasie nasze miasto zostanie wreszcie całkowicie oczyszczone z narkotykowej mafii.

Wymknęliśmy się z Miską i błyskawicznie przedyskutowaliśmy, jak całą rzecz należy rozumieć. Doszliśmy do dziwnego wniosku. Wychodzi na to, że G.A. wiedział już od pewnego czasu i o zakonspirowanej fabryce, i o ojcu chrzestnym z miejskiego komitetu, i najwidoczniej o wielu innych rzeczach, ale z jakiegoś powodu milczał. Przedwczorajszej nocy wkroczył do akcji, przy czym cokolwiek osobliwie. Jest faktem niemal oczywistym, że to właśnie on wyciągnął spod młota atletyczne-go *hombre* i pozostałych żaków. Pytanie: dlaczego? Dlaczego mieliby być lepsi od reszty narkopaskudztwa? I skąd G.A. mógł wiedzieć, że Michajła Tarasowicz zacznie swoją operację właśnie tej nocy?

W czasie tej pospiesznej rozmowy przyszła mi do głowy pewna dość niezwykła myśl, która wiele tłumaczy. Michaelowi postanowiłem o niej nie mówić. I powstrzymuję się przed wyłożeniem jej tutaj. I tak zapamiętam.

G.A. wie, co robi - na tym z Miśkiem stanęliśmy.

Dzisiejsze gazety pełne są Flory. Jak się okazuje, przedwczoraj (przegapiłem!) Rebeka wystrzeliła artykułem w "Miejskich Wiadomościach" i teraz we wszystkich gazetach pobrzmiwają echa. Trzysta trzydzieści trzy ryki żalu, bólu, nienawiści, wołania o zemstę. Włos się jeży na głowie. Oczami duszy zobaczyłem mojego Sańkę Jeżyka, jak poniewiera się w ostygniętym popiele przy ognisku, jasne oczy patrzą martwo, usta niedomknięte, cieknie ślina; z niczego sobie nie zdając sprawy, raz po raz tnie się brzytwą, a tamte półwierzęta spoglądają na niego nawet bez szczególnego zaciekawienia. Nie wytrzymałem i zakląłem. Przy wszystkich. Na głos. Działo się to przy obiedzie. Przy kobietach. I nawet nie przeprosiłem. Nikt zresztą nie zwrócił uwagi, a Bory-sycz ponuro warknął: "Już dawno pora skończyć z tą dżumą. Na ginekologii leżą dwie dziewczuszki stamtąd - jedna ma dwanaście, druga trzynaście lat. Wiecie, jak same siebie nazywają? Młodniki!"

Nigdy nie widziałem czegoś podobnego: na mieście pojawiły się pikiety. Starsi ludzie, na oko emeryci, stoją po dwóch, trzech przed drzwiami tanich knajpek i przekonują turystów,

żeby nie wchodzili. Przed Niejadkiem tkwi dwóch siwobrodych z plakatami domowej roboty. Na jednym plakacie stoi: TUTAJ MÓJ WNUK WPADŁ W SZPONY NARKOMANII. Na drugim: PORZĄDNI LUDZIE NIE ODWIEDZAJĄ TEJ DZIURY. Poza tym plakaty (na płotach, na bulwarze przed radą miejską, w poprzek ulicy) - czarno na czerwonym: TWOJE DZIECI W NIEBEZPIECZEŃSTWIE! URATUJ JE! RZUĆ ROBOTĘ! ZNISZCZ GADZINĘ! OCZYŚĆMY NASZE MIASTO Z ZIELONEJ ROPY!...

Na ulicach pełno ludzi. I milicji. Nigdy w życiu nie widziałem tylu milicjantów naraz, może tylko na stadionie. Panuje niecodzienna atmosfera ogólnego ożywienia, nerwowego, gorączkowego, niezdrowego, jak gdyby wszyscy sobie chlapnęli - czy to dla kurażu, czy może na pokrzepienie: rozlegają się podniesionym tonem wygłaszane okrzyki powitalne, łomoczą w plecy solidne poklepywania silnych dłoni, wszyscy mówią jeden przez drugiego. Odnosi się wrażenie, jak gdyby nikt dzisiaj nie poszedł do pracy. Atmosfera ni to dworca kolejowego, ni to bankietu. Atmosfera wyczekiwania.

(Ogólnie rzecz biorąc, nie podoba mi się to. Niedobrze robi się na samą myśl o chirurgu, który czując przedsmak operacji usunięcia guza, chciwie zaciera ręce, klepie asystentki po tyłeczkach i chichocze podniecony).

I oczywiście ani jednego flowersa. Nic dziwnego. Gdybym był flowersem, przy takiej atmosferze nawet ślad by po mnie nie pozostał. W promieniu trzystu kilometrów od miasta. Może jednak obędzie się bez przemocy? Przecież to nie durnie, powinni zrozumieć, że trzeba brać nogi za pas, w dodatku jak najszybciej i jak najdalej?

Przy końcu bulwaru piknęło mi serce: na drzewie kołysał się wisielec. Kombinezon maskujący, zielone łapcie, wszystko jak Bóg przykazał. Ale oczywiście okazało się, że to jedynie kukła. Pod kukłą krzątała się w skupieniu dwójka chłopaczków, może dwunastolatków, z zapalkami i zapalniczkami. Przykróciłem ich: po pierwsze kombinezony desantowe nie palą się; po drugie rzeczą obrzydliwą jest palenie choćby kukły człowieka; po trzecie - są teraz podobni do członków Ku-Klux-Klanu podpalających powieszonego Murzyna. Oddalili się na trzecim biegu, a ja poszedłem swoją drogą, ponuro rozmyślając nad tym, że oto atmosfera polowań na potwory już poczęła potwory rodzić.

(Teraz zresztą wydaje mi się, że jak to często bywa z pedagogami, przypisuję swojanieczystą wizję dzieciakom niemyślącym o niczym takim. Działanie, któremu ja przydałem znaczenie symboliczne, dla nich nie miało nic wspólnego ani z flowersami, ani ze strasznymi pomysłami dorosłych w ogóle. Obejrzeli we wczorajszej kronice jak demonstranci palili przed parlamentem kukłę premiera, a dzisiaj trafiła im się kukła na bulwarze i zapragnęli, żeby trzaskał ogień, buchał dym, żeby wszyscy dokoła zaczęli biegać w panice, a

jak dopisze szczęście, może nawet przyjedzie straż pożarna... Coś w tym rodzaju. Tak że mój pedagogiczny ładunek o mocy dziesięciu kiloton nie tknął ich i tylko zdziwił, a dali nogę, ponieważ mundurowa kurtka licealisty cieszy się wśród uczniów dużym szacunkiem, może zresztą w ogóle znają mnie osobiście, może prowadziłem z nimi w zeszłym roku jakieś lekcje i przestraszyli się, że i ja ich rozpoznałem. Pedagogika. Nauka).

Dyskusja przy kolacji zaczęła się od tego, że Irenka opowiedziała nam z oburzeniem absolutnie obrzydliwą historię. Miała dzisiaj rano dyżur w internacie specjalnym Wisienka. Po obiedzie zjawił się tam instruktor z kuratorium, towarzysz Andriej Maksymowicz Lutikow. Wezwał do pokoju nauczycielskiego cały personel i wystąpił z genialną propozycją: na jutrzejszą demonstrację pod radą miejską wyprowadzić całą Wisienkę w pełnym składzie, łącznie ze sparaliżowanymi, niewidomymi i przypadkami beznadziejnymi. Kolumna pójdzie pod hasłem "Oskarżamy Florę!" To zrobi wrażenie. To znajdzie rezonans.

Wrażenie zrobiło. Wszyscy w pokoju nauczycielskim osłupieli. Znalazło rezonans. Towarzysza Andrieja Maksymowicza Lutikowa tak naprano ze wszystkich stron po pysku, że posiniał niczym wampir i nienaturalnie cieniem głosem zaczął krzyczeć, że wszyscy obecni już od jutra wylecą na bruk, że on ten rozsadanik obrońców Flory rozdepcze osobiście, a internat rozpędzi na cztery wiatry. Wtedy Siergiej Fiodorowicz wziął słuchaweczkę, zadzwonił do Riwy i wyjaśnił w dwóch słowach, czym się zajmuje jej inspektor. Riwa poleciła wyłączyć ekran i przekazać słuchawkę Lutikowowi. "I wampir przekłety zadygotał..."

W pokoju nauczycielskim nastąpiły trzy minuty wielkiego milczenia. W wielkim milczeniu towarzysz Lutikow wysłuchał tego, co mówiła Riwa, w wielkim milczeniu ostrożnie odłożył słuchawkę, w wielkim milczeniu pozbił swoją aktówkę i wyszedł. A był przy tym już nie siny, tylko szary, co, nawiasem mówiąc, również nie dawało mu urody. Trudno wymyślić coś obrzydliwszego, niż kiedy dorośli usiłują wmieszać dzieci w swoje dorosłe sprawy. Zwłaszcza jeśli chodzi nie o sprawy, ale sprawki, zaś dzieci nie są zwyczajnymi dziećmi, lecz istotami nieszczęśliwymi od urodzenia. Niezależnie od tego, jakich pięknych słów użyliby przy tym dorośli, nie ma na to usprawiedliwienia i być nie może. Przyznaję, poczułem do Rebeki niewytłumaczalną sympatię, chociaż, zdawałoby się, cóż takiego szczególnie wspaniałego uczyniła? Na jej miejscu każdy normalny człowiek powinien był postąpić identycznie. Zwłaszcza na jej miejscu. Widocznie wszystko jest kwestią kontrastu. Na tle złośliwego kretyna nawet najzwyczajniejszy człowiek robi wrażenie rozczulająco sympatycznego anioła.

Nie pamiętam już, w jaki sposób wywiązała się dyskusja. Przecież z początku, zaraz

po opowieści Irenki, wszyscy całkowicie zgadzaliśmy się ze sobą. I nagle - gwałt, wymachiwanie rękami, nikt się nie cofnie ani o krok. Najważniejsze, że w liceum zostało nas teraz sześcioro. Strach pomyśleć, jak by to wyglądało, gdyby krzyczały i wymachiwały rękoma całe dwie setki.

Obrazek: w jadalni wygaszono prawie wszystkie światła, trzydzieści nienakrytych stołów, cała nasza szóstka na nogach, krzesła przewracane, kolacja niedojedzona, a w drzwiach kuchni zastygł w zdumieniu i przerażeniu Herakliusz Samsonowicz. Biała czapa zjechała mu na bok, w oczach ma strach, a w ręku - nieodebrany biały sos do bitek.

Co ciekawe: jeśli odrzucić eksplozje emocji, feerie licealnej błyskotliwości stawiające sobie za cel starcie w proch przeciwnika za wszelką cenę, a także wybuchy wzajemnych oskarżeń nie-mających w ogóle nic wspólnego z tematem sporu... tak więc jeśli odrzucić to wszystko, pozostanie zdumiewająco niewiele. Zaledwie parą twierdzeń.

Wówczas zdawało nam się, że toczymy spór o szeroki wachlarz problemów. W rzeczywistości sprzecaliśmy się o jedno: czy G.A. ma rację, czy nie? I jak powinniśmy się do jego racji czy też braku takowej ustosunkować. (Boże! Gdzie się podziały wszystkie lekcje retoryki i kultury dyskusji? Herakliusz Samsonowicz świadkiem: szóstka małpisonów obrzucających się odchodami i skórkami bananów).

Co jeszcze ciekawe: przecież łączy nas więcej, niż dzieli. Wszyscy jesteśmy uczniami G.A. i wszystkich nas nauczono kierować się święcie naszymi przekonaniem. Wszyscy nienawidzimy Flory i tym samym nie jesteśmy niczym szczególnym - całkowicie i do końca podzielamy zdanie przytłaczającej większości. Wszyscy kochamy G.A. i żadne z nas nie rozumie jego obecnego stanowiska. I dlatego poczucie winy wobec niego łączy się z uczuciem pewnej agresji.

Ja i Michel wymachujemy rękoma głównie dlatego, że nie mamy ochoty znaleźć się w jednej gromadzie z większością. Usiłujemy się odseparować, choć nie mamy żadnych ważkich podstaw, żeby się odgradzać od tłumu, i to nas straszliwie drażni. Nie znajdujemy również żadnych poważnych argumentów, żeby całym sobą stanąć po stronie G.A., i to nas straszliwie niepokoi. Albowiem jest jasne, że jeśli ktoś się tutaj myli, to z pewnością nie G.A. To znaczy, jest to jasne dla mnie i Michela. A już całkiem nie mamy z Michele pojęcia, jak postępować dalej. Kierowanie się przekonaniem oznacza wyjście na idiotów i w dodatku zdradę G.A. A pójście ślepo za nim oznacza podeptanie przekonania, co jak wiadomo jest rzeczą złą.

Dla takiej Irenki sprawa jest prosta. Bardzo kocha G.A. i bardzo jej G.A. szkoda. To jej zupełnie wystarcza, żeby bez reszty stanąć po jego stronie. Co wcale nie znaczy, że depcze

swoje przekonania. Takie właśnie są jej przekonania: do łez żal jej kochanego G.A., a reszta furda. Flory i fauny przychodzą i odchodzą, a G.A. powinien istnieć, i będzie istniał, po wiek wieków. Amen! A jak będziesz na mnie ryczeć, to ta oto owsianka wyląduje ci na twarzy.

Kiryłowi dobrze: ma bilet do domu na jutro, na trzynastą dwadzieścia. Zresztą jest teoretykiem. "Wierzę, bo jest to absurdalne". Nauka o człowieku nie jest żadną nauką, to rodzaj wiary. Niczego nie można ani dowieść, ani odrzucić. Wiara w człowieka. Po prostu albo wierzysz, albo nie wierzysz. Wybieraj, co ci bliższe. Albo serdeczniej sze... G.A. jest Bogiem. On zna prawdę. A jeśli nawet wasza parszywa praktyka pokaże, że G.A. nie miał racji, ja mimo wszystko będę wierzyć w G.A. i śmiać się z waszej praktyki, i litować się nad wami w godzinie waszego żalosego triumfu. A później, być może, pozwolę wam przenie-wiercom wyplakać mi się na piersi - kiedy wreszcie wasza żalosna praktyka obróci się w popiół w płomieniu prawdy.

Zoja najmniej ze wszystkich krzyczała i wymachiwała rękami. Widać było gołym okiem, że sama rozmowa o Florze wywołuje w niej atak wręcz fizycznych mdłości. Zoja z tą swoją duchową czystością, nieomal na granicy oziębłości seksualnej, organicznie nie znosi Flory. (I wcale nie jest temu winien podwyższony poziom wstrętu. Pamiętam, podczas epidemii pracowała razem z nami i lepiej niż wielu z nas - od rana do nocy i od wieczora do rana poplamione ropą prześcieradła, żółto-czerwone wrzody, krwawe wydaliny umierających...) Dla niej Flora znajduje się poza nawiasem. To przecież już nie są ludzie. To nawet nie są zwierzęta. To jakieś wstrętne oślizgłe grzyby pieniące się na padlinie. Znajdują się poza moim światem. Znajdują się poza naszymi prawami. W ogóle znajdują się poza... G.A. jest święty, a wy nie. A już zupełnie, ani trochę, nie jestem święta ja. I zamknijcie się, na Boga, starczy na ten temat, mamy przecież w końcu kolację...

Ogólnie rzecz biorąc, nikt mnie specjalnie nie zadziwił. Zadziwił mnie Askold. Zawsze, od pierwszej klasy, cokolwiek załatywał supermanem, i zawsze mu się to podobało. Dawniej myślałem, że to poza. Image. Pamiętam, G.A. zażartował: z takimi manierami, Askoldzik, masz przed sobą prostą drogę na stanowisko wykładowcy w szkole kadetów. Jednakże dzisiaj wyszło na jaw, że nie są to tylko maniery. Próźniactwo powinno zostać starte z powierzchni ziemi. Stoimy przed wyborem: albo świat pracy, albo świat rozkładu. Dlatego każdy nierób nie może mieć przed sobą perspektywy życia, może mieć tylko perspektywę zagłady; jedynie przy wyborze sposobu zagłady możemy sobie pozwolić na niejakie miłosierdzie. I każdy próżniak powinien to sobie uświadomić. A my powinniśmy postępować tak, żeby każdy potencjalny pasożyt, któremu się nie poszczęściło z genotypem, ze środowiskiem rodzinnym, ze szkołą i całą resztą, żeby taki pasożyt został w najbardziej

przekonywający sposób uprzedzony o nieuchronnej zagładzie. Żadnego roztkliwiania się, mazgajenia, żadnych rozterek czy poświęceń. Stalowa nieugiętość, bezlitosna konsekwencja, absolutna bezwzględność. G.A. bezspornie jest geniuszem. Zresztą żaden idiota nie zamierza tego negować. Po prostu należy pamiętać, że geniusze również się mylą. Newton... Tołstoj... Einstein... i tak dalej. A my, chociaż geniuszami nie jesteśmy, powinniśmy mieć głowę na karku. Powinniśmy zachować chłodny rozsądek i nie pozwalać, żeby zachwyty i uwielbienie przesłoniły oczy naszemu rozumowi.

Jak to zwykle bywa, w chwili potrzeby nie znalazłem argumentów. Całą moją argumentacją było gniewne ciskanie odchodów i skórek od banana. Jakże wspaniale byłoby wykonać następujący duecik:

JA: Załóżmy, że jesteś lekarzem. Nowa straszna epidemia poraża jedynie łotrów. Co robisz?

ON (lekceważąco): To już było. Najpierw choroby weneryczne, później AIDS. Stara śpiewka.

JA: Nie, nie stara. Tamte choroby atakowały rozmaitych ludzi, niewinni również cierpieli. Ale wyobraź sobie, że choroba dotyka tylko i wyłącznie drani. Ty oczywiście w podobnym przypadku będziesz nieugięty jak stal, bezlitośnie konsekwentny i absolutnie bezwzględny?

ON: Czegoś się do mnie przyczepił? Nie jestem lekarzem!

JA: Owszem, nie jesteś lekarzem. Nie składałeś przysięgi Hi-pokratesa. Ale składałeś przyrzeczenie Janusza Korczaka! Osobników twojego pokroju zawsze korciło, żeby ludzkość dzielić na owce i kozły. A lekarz może dzielić ludzkość jedynie na chorych i zdrowych, a chorych - jedynie na przypadki cięższe lub lżejsze. Dla lekarza nie może istnieć żaden inny podział. A pedagog przecież też jest lekarzem. Powinieneś leczyć - z niewiedzy, z dzikości uczuć, ze znieczulicy. Leczyć! Wszystkich! Ale ty, jak widzę, masz tylko jedno lekarstwo - garrotę! Człowiekowi wychowanemu nie jesteś potrzebny. Niewychowany - nie jest potrzebny tobie. Czym się masz więc zamierzać zajmować przez całe życie? Organizowaniem akcji?

(W bezsilnej wściekłości zaczyna miotać we mnie odchodami i łupinami bananów).

To prawda: nasze najbardziej przekonujące zwycięstwa nad przeciwnikiem odnosimy w wyobraźni.

Przyszło mi teraz do głowy, że przecież również podopieczni Askolda, Sieriożka Kogut i Achmetbogatur, w zauważalny sposób różnią się od reszty ich klasy. Zimne zabijaki.

Kadeci. Małe askoldziki. To już niekontrolowane rozmnażanie! Słowo daję, jeden Askold wystarczy. Nastrój, i tak niezbyt promienny, zepsuł mi się do reszty. Lekarzu, ulecz samego siebie. Pedagogu, wychowaj sam siebie i dopiero później bierz się za wychowywanie innych. Inaczej wyedukujesz takie okazy, że setka G.A. nie da rady ich zredukować.

Dla podniesienia nastroju zaszedłem do pokoju moich dzieciaków. Pusto i już zaczyna zalatywać kurzem. Ale na ścianach wiszą miłe sercu rysunki. Na parapecie leży niedokończony model Termokratora, na stoliku - wybebeszony komputer. Na oparciu krzesła wisi zapomniana koszulka Jeżyka z nadrukiem IT'S TIME OF TOTAL TRUTH... Przysiadłem przy oknie, wprawiłem Termo-kratorowi brakujące oko i ulżyło mi na duszy. Trzeba żyć prościej. Prościej! Szczęście leży w tym, co nieskomplikowane.

Zdaje się, że rozumiem, jaki związek pomiędzy tym starym rękopisem a mojąpracą miał na myśli G.A., ale to długa historia, a ja jestem za bardzo zmęczony, żeby teraz o tym pisać.

(UWAGA PÓŹNIEJSZA. Zupełnie nie pamiętam, co wówczas miałem na myśli. Niestety).

RĘKOPIS OZ (15-18)

16. Był już późny wieczór. A właściwie noc. Leżałem pod kołdrą w mojej izdebce i do poduszki czytałem *Prekanon* Ahaswe-ra. Tamci rozmawiali w Pokoju. Widać też do poduszki. Nie przysłuchiwałem się. Rozmawiali - jak zawsze pomiędzy sobą - w jakimś wyjątkowo egzotycznym języku, którego w żaden sposób nie mogłem opanować, w języku gardłowym, pełnym przy-dechów i spółgłosek szumiących. Nagle głosy spotężniały. Nie zdążyłem mrugnąć okiem, kiedy już krzyczeli na siebie. Zaniepokojony spuściłem nogi z tapczana i w tejże samej chwili Demiurg ryknął niczym trąba jerychońska, a Ahaswer zaniósł się nieznośnym, kaleczącym duszę skowytem. W życiu nie słyszałem czegoś podobnego. Nie był to głos zwierzęcy, nie był też mechaniczny ani elektroniczny. Był w ogóle nie z tego świata. Tak mógłby rzeć Koń Biały, depcząc w gniewie zastępy grzeszników. I zaraz w ścianę uderzyło coś ciężkiego, i to z taką siłą, że ze szczękiem runęła cała wisząca na niej broń.

W samych spodenkach wpadłem do Pokoju. W głowie tłukła mi się jedna jedyna niedorzeczna myśl: "Przecież poderwą na nogi całą dzielnicę, potwory!"

Potwory prezentowały się następująco:

Rozchełstany Ahaswer Łukicz, błyszcząc spoconą łysiną i wylewającym się spod paska spoconym brzuszkiem, naskakiwał na Demiurga, dziwacznie przy tym podrygując i wymachując kończynami - czy to usiłował wdrapać się nań niczym na Słup Kra-snojarski, czy też próbował przyczynić przeciwnikowi fizycznego uszczerbku chwytami sztuki walki

będącymi w użyciu przed dwoma tysiącami lat.

Demiurg natomiast, osłaniając się przed Ahaswerem uskrzydłym ramieniem, szarpał się z osławioną teczką. Po raz pierwszy zobaczyłem ręce Demiurga. Były czarne z zielonkawym odcieniem, zakończone nieokreśloną liczbą palców. Owe długie palce o wystających stawach poruszały się odrażająco i zawile, jak łapy pająka unieruchamiającego muchę.

Na moich oczach Demiurg otworzył teczkę (Ahaswer Łukicz ponownie wydał apokaliptyczny skowyt) i przytrzymując ją lewą ręką, włożył prawą w buchające żarem wnętrze. Włożył głęboko, nieprawdopodobnie głęboko, jak się wydawało - piętro niżej. Przez kilka długich sekund szperał w rozpalonych przestworach, rycząc donośnie i wywracając nalany krwią gałkami oczu.

Wytrzymał tylko kilka sekund - teczka poleciała w kąt, a oswobodzona ręka wystrzeliła pod sufit. Ręka była niewiarygodnie długa, z mnóstwem łokci. Rozpalona dłoń mieniła się wszystkimi odcieniami barw nalotowych, a z czubków oślepiająco białych palców odrywały się i rozsypywały po pokoju dymiące iskry i krople. Potem Demiurg chwycił prawicę w lewą rękę, wyrwał ją chrzęstem i rzucił w kąt. Oczy zrobiły mu się wielkie niczym arbuzy. Rozwarł paszczę, bluznął niezrozumiałym, choć niewątpliwym przekleństwem - wielopiętrowym i starożytnym. Szczu-paczymi zębami wpił się w pierwszy nadarżający się łokieć lewej ręki, szarpnął wściekle miedzianą głową, aż stanął dęba kucyk peruki, z identycznym chrzęstem wyszarpnął sobie również lewą rękę i wypluł jajak niedopałek papierosa w bezdenny mrok za drzwiami Gabinetu.

Natychmiast uciszyło się. Demiurg dumnie pokręcił głową i płynnie uniósł na przemian to jedno, to drugie ramię-skrzydło, jak gdyby demonstrując bynajmniej niepomniejszoną potęgę i bojową gotowość swej osoby. Ahaswer Łukicz siedział w kucki koło ławy i miłośnie gładził, oglądał, a nawet obwąchiwał odzyskaną szczęśliwie teczkę. W kącie wiła się jeszcze, stygnąc, straszliwa ręka - soplami nadtopionych palców drapała zwęglony parkiet. Śmierdziało potem, spalenizną i miedzianą zgorzeliną.

Później Ahaswer Łukicz, jak gdyby nagle w czymś się zorientowawszy, stanął na czworakach i z przejściem zaczął oglądać podłogę wokół siebie. Nie znalazłszy tego, czego szukał, ruszył na trzech kończynach wzdłuż ściany, czwartą przyciskając do mokrego gołego boku teczkę. W końcu zrozumiałem: w ogniu potyczki Ahaswer Łukicz zgubił swoje lewe ucho.

Demiurg zagrzmiął:

- Przecież jest tam, pod kaloryferem. Co ty tak, istny Hiob na stercie gnoju!

Ahaswer Łukicz, nie wstając, szybko podbiegł do kaloryfera, namacał skarb i radośnie się uśmiechając, umocował go na swoim miejscu.

- Dzięki ci, Jahwe! - powiedział wesoło.

Tak zakończyła się jeszcze jedna sprzeczka pomiędzy nimi. Co prawda dawniej nie dochodziło do rękoczynów. Czegóż to rym razem nie podzielili? Czy to Demiurg chciał coś zabrać Ahas-werowi Łukiczowi, czy to Ahaswer Łukicz wyszabrował coś Demiurgowi... Bóg Bogu zwędził onuce.

17. Ten akurat klient mnie dobił. Odniosłem wrażenie, że rozmaitych już widywałem, ale on... Coś niedającego się opisać. Chudy, stary, bladezielony, ze spieczonymi ustami, z płonącymi oczyma fanatyka, rozwlekle i niezrozumiale, stale powtarzając się i myląc, wykladał swój sposób uratowania ludzkości. Jego myśl niczym skład wagonów metra poruszała się niezmiennie po tym samym zamkniętym kręgu. Można mu było przerwać, ale niesposób było odciągnąć od tematu. I ten przerażający, małomiasteczkowy akcent!...

Wszystko jest bardzo proste. Chrześcijaństwo zdeformowało naturalny tok stosunków międzyludzkich. Nauki Chrystusa o tym, że należy miłować nieprzyjaciół swoje i podstawiać im coraz to nowy policzek - owe nauki doprowadziły ludzkość na krawędź katastrofy. Szlachetne starożytne hasło "oko za oko, ząb za ząb" spotwarzono, obrzucono błotem, napiętnowano jako wrogie człowiekowi. Stąd wzięły się wszelkie nieszczęścia. Zło stało się bezkarne.

Krzywdziciele i agresorzy hulają swobodnie po świecie, depcząc swoje ofiary. Temu, kto jest gwałtowny, silny i zły, wolno wszystko. Nie ma na nich prawa, nie licząc ludzkich kodeksów, które są warte tyle co kozie bobki. Chuligan bezkarnie znęca się nad słabszym. Urzędnik bezkarnie pastwi się nad nieśmiałym. Brutal bezkarnie depcze skromnego. Oszczyca bezkarnie szkaluje prawdomównego. Władca bezkarnie bierze pod but wszystkich.

Oczywiście hasło "oko za oko", samo z siebie będąc formułą ludzką, nie jest w stanie niczego na tym świecie zmienić. Ale teraz, kiedy może je opromienić blaskiem mistyczna moc, jeśli hasło zapłonie na sztandarze niesionym przez potężne dłonie...

Czterokrotnie Demiurg wydawał mi polecenie odprowadzenia gościa. Czterokrotnie orędownik krzywdzonych milkł na chwilę, żeby zaraz zacząć wszystko od nowa. Musiałem go dosłownie wyłuskiwać z fotela, następnie odrywać od szafy, do której przywarł, po czym odklejać jego palce od futryny drzwi. Przez cały ten czas klient, jak gdyby nie zauważając moich wysiłków i swojego poniżającego położenia, wbijał nam do głów, że jedynym i ostatecznym sposobem obrony krzywdzonych, poniżanych, hańbionych jest obdarzenie ich mocą porażania krzywdzicieli czymś w rodzaju wyładowania elektrycznego.

Ledwo mi się udało go wyprowadzić. Kiedy wróciłem do Pokoju Przyjęć, wycierając z obrzydzeniem o ubranie dłonie lepkie od zimnego potu orędownika, Demiurg zapytał:

- Jak pan sądzi, Siergieju Korniejewiczu, dlaczego trzecia zasada dynamiki Newtona nie obowiązuje w sferze stosunków międzyludzkich?

Zastanowiłem się.

- W rzeczywistości pewnie obowiązuje. W końcu wszyscy wiedzą:, jaką miarką mierzysz, taką ci odmierzą”. Po prostu w stosunkach międzyludzkich nie istnieją jasne pojęcia akcji i reakcji.

Demiurg nic na to nie odparł, więc odczekawszy chwilę, poszedłem do kuchni. Zbliżała się pora obiadu.

18. Z siatką szedłem Bałkańską do nabiałowego i rozmyślałem o jakichś głupstwach, gdy miało miejsce niezwykle zdarzenie. To znaczy zaczęło się całkiem zwyczajnie. Gruhocząc i zgrzytając, przejechała cuchnąca wywrotka i w biegu ochlapała mnie błockiem z dziury w asfalcie. Z normalnymi przekleństwami na ustach zatrzymałem się i zacząłem z grubsza strzepywać z płaszcza i spodni zimną cieczą, kiedy nagle rozległ się za mną stukot przybliżających się butów i ochryply zdyszany głos prosząco wysapał:

- Pozwoli pan, że ja! Pozwoli pan!

Nie zdążyłem pisnąć, gdy roste, zupełnie mi nieznane chlapi-sko w waciaku runęło u moich stóp na kolana i czerwonymi, rozdygotanymi łapskami zaczęło ostrożnie, niczym najcenniejsze dzieło sztuki, wycierać poły mojego płaszcza, nogawkę spodni i zachlapany but. Mamrotało przy tym gorączkowo:

- Chwileczkę! Momencik!... Jeszcze tylko sekundkę!

Rozejrzałem się przerażony. W pobliżu nie było nikogo i tylko ze dwadzieścia kroków dalej smrodziła na jałowym biegu stojąca w poprzek ulicy wywrotka. Szarpnąłem się, czułem obrzydzenie i strach, ale facet nie wypuścił poły, szybko przebierając kolanami, podreptał za mną i zaglądając mi psim wzrokiem w twarz, wychrypiał z rozpaczą:

- Językiem wyliżę! Żeby błyszcząły...

A ja nie mogłem wydobyć głosu. Szarpnąłem z całej siły, w końcu udało mi się uwolnić i odszedłem szybkim krokiem, z trudem powstrzymując się przed puszczeniem się biegiem. Do samego rogu obawiałem się, że mnie dogoni i skręcając w aleję Pracy, ukradkiem zerknąłem za siebie przez ramię. Szaleniec dalej klęczał, tyle że opuścił zad na pięty i ze spuszczoną głową powoli wycierał ręce w waciak. Sprawiał wrażenie człowieka skazanego na śmierć.

Moja duchowa równowaga przysła. Zrobiwszy kilka kroków aleją, wpadłem na emeryta najbardziej szacownego rodzaju - w kapeluszu i z trzcinką. Właściwie do zderzenia nie doszło, w ostatniej chwili zdołałem przyhamować i tylko lekko otarliśmy się ramionami. Mruknąłem coś w rodzaju: "Do diab... Przepraszam..." Emeryt z oszłamiającą żwawością odstąpił o krok, zerwał z głowy kapelusz i trzymając laseczkę w wysuniętej w bok ręce, przemówił niczym w teatrze:

- Szanowny panie! Proszę pozwolić mi złożyć najszczerze przeprosiny. Ośmieliłem się zamyślić i byłem w najwyższym stopniu nieuważny.

- A-ss... - powiedziałem. - Ss... Właściwie to ja byłem nieostrożny... To właściwie moja wina... Jeszcze raz przepraszam.

- Obaj byliśmy nieuważni - stwierdził z widoczną ulgą emeryt i uśmiechnął się, jak mi się wydało - fałszywie. - W ogóle czasy teraz takie, że oczu lepiej w domu nie zostawiać.

- Ma pan rację - zgodziłem się, żeby nie przeciągać sceny, i ruszyłem dalej do nabiałowego.

Gdzieś pod żebrami z prawej strony, drgnęło we mnie nieprzyjemne przecucie. Wszystko dokoła było znajome do obrzydzenia. Upstrzony pęknięciami nierówny asfalt z wiecznymi kałużami; zeszlóroczna plama rozlanej farby przed sklepem gospodarstwa domowego, podobna do rysunku człowieka z Cro-Magnon. Żałosne mokre patyczki drzewek wzdłuż tróruaru, dziwacznie łączące się nieprzyjemnym kontrapunkcie z gigantycznym oblazłym plakatem NIECHAJ ROZKWITA ZIELEŃ! na brandmurze dawnej kamienicy z apartamentami do wynajęcia. Odgradzona od nieba lśniącymi parasolkami cierpliwa kolejka po tapety. Przechodnie, przechodnie, przechodnie, coraz więcej kobiet z koszykami, z torbami, z bańkami, z psami. I auta, auta, auta, Boże, ile teraz mamy w mieście aut!...

Na pozór wszystko jak zwykle, ale im dalej szedłem, tym większy ogarniał mnie lęk. Coś się działo w mieście, tyle że nie mogłem uchwycić, co konkretnie, i nie wiedziałem, jak o to zapytać.

...Z całą pewnością zbyt wolno poruszają się samochody. Co prawda na całej długości alei Pracy obowiązuje ograniczenie prędkości do czterdziestki, ale przecież wczoraj również obowiązywało, a połowa kierowców starym zwyczajem nie zwracała na nie najmniejszej uwagi... Wszystkie samochody mają włączone światła mijania. Dosłownie wszystkie!...

...Czego się oni tak do mnie uśmiechają? Pierwszy raz w życiu widzę kobietę, a ona kłania mi się i cała rozplywa w uśmiechu równie sztucznym jak jej zęby... Tamta również...

- Dzień dobry panu... I panu... Witam, witam...

Mam! Przecież oni wszyscy odwracają wzrok... Chowająwa-rze...

Jeden przysłania się parasolką, inny patrzy pod nogi, jak gdyby zgubił piąta, ktoś gapi się w witrynę, chociaż w witrynie nie ma nic poza remontem... Ale jeśli tak się już zdarzy, że oczy spotkają się, wtedy natychmiast gęba od ucha do ucha, pokłon nieomal unizony i - "dzień dobry, dzień dobry panu! miłego dnia!" Początkowo myślałem, że to moja sława osobistego sekretarza Demiurga rozprzestrzeniła się nagle na całą ludność pobliskich osiedli. Ale nie zdążyłem nawet rozważyć konsekwencji podobnie oszałamiającego przypuszczenia, gdy odkryłem, że wszyscy kłaniają się wszystkim, wszyscy szczerzą się do wszystkich w uśmiechu, wszyscy wszystkim życzą miłego dzionka.

...Nie, oczywiście nie wszyscy. Wyraźnie nie mieli na te rewe-rencje ochoty, postępowali tak pod przymusem. Tylko w ostateczności, kiedy spotykały się oczy i kiedy koniecznie musieli (a właściwie dlaczego?) okazać sobie nawzajem uprzejmość, niczym starzy dobrzy znajomi. Można było pomyśleć, że dzisiejszego ranka, podczas gdy ja męczyłem się na służbie, władzę w mieście przejęli zagorzali "poczwiennicy" i wezwali rodaków (pod groźbą kary cielesnej), by sobie przypomnieli, skąd wszyscy rodem, by przylgnęli do czystego źródła starożytnych tradycji, by zanurzyli obie ręce w skarbnicy patriarchalnych obyczajów i - chociażby na ulicach - właściwie się zachowywali.

Nie widziałem w tym nic śmiesznego. Wolałbym teraz wrócić do siebie, choćby nawet bez kefiru i masła, i zasięgnąć informacji u Ahaswera Łukicza lub w ostateczności włączyć telewizor. Ale masła nie było w domu ani odrobiny, to po pierwsze, a po drugie - do diabła, trzeba było chociaż spróbować zorientować się w sprawie.

W nabiłowym na pierwszy rzut oka nie spostrzegłem niczego niezwykłego. Kolejka do kasy była nieduża, z dziesięć staruszek stało po śmietanę, ale śmietana akurat mnie nie interesowała.

Włożyłem do torby cztery butelki kefiru, obszedłem ladę, wziąłem trzy dwustugramowe kostki masła i stanąłem na końcu ogonka do kasy.

Nie, tutaj również było niedobrze. Kolejka zachowywała się nie jak kolejka, ale niczym goście na światowym raucie (tak jak ja sobie podobny raut wyobrażam). Konwersowali. Wszyscy. Nie stali jeden za drugim, jak to jest przyjęte od zarania dziejów - starali się ustawić bokiem, żeby, broń Boże, nie stanąć do nikogo plecami.

Twarz kasjerki sprawiała wrażenie ściągniętej skurczem od permanentnego uprzejmego uśmiechu. Ręce jej śmigwały - wystukiwały, odrywały, liczyły, wydawały. Z każdym kupującym kasjerka witała się i każdemu dziękowała. (Zazwyczaj mówi w ten

sposób: “Czego mi tu pchacie dziesiątki? Nie mam drobnych, ślepi jesteście czy jak?” Na imię jej Aelita).

W sklepie byli również pomagierzy. Nie od razu ich zauważyłem, ponieważ nie hałasowali. Dwóch napuchniętych osiłków w brudnych czarnych fartuchach toczyło i rozładowywało swoje wózki z towarem, poruszając się jak gdyby na paluszkach, momentalnie zamierając w miejscu, jeżeli przecinał im drogę przypadkowy klient. Nie było słyhać ani zgrzytania, ani łomotania, ani charakterystycznych okrzyków: “Wątek! Po cholereżęś to przywlókl, palancie?... Ej, mamuśka, weź no przesuń ciałko!...”

Do kasy stało osiem osób, góra dziesięć minut czekania. W kolejce toczyła się rozmowa:

- Tylko deszcz i deszcz, a śniegu ciągle nie ma...
- Śnieg jest bardzo potrzebny. Dla plonów.
- Ma pani najzupelniejszą rację. Śnieg zimą to najważniejsza sprawa.
- To się Reagan cieszy!
- Tamci mają tajfuny. Powiem pani, że lepsze deszcze niż tajfuny...

Sześć osób do kasy. Stojący przede mną brudny siwy dziadek odwrócił się do mnie, sprężył i wydusił drogocenne:

- Ależ jesień mamy tego roku. Ciągnie się i ciągnie... Ja wysiliłem się i odpowiedziałem:

- Tak. Już pół roku się wlecze.
- Szkoda gadać. Kiedy się to wreszcie skończy!
-

Do kasy zostały tylko cztery osoby, ale z kolejki po śmietanę przycwałowała baba i rozsypując się w wykrętnych tłumaczeniach, wepchnęła się jako druga. Miała, okazuje się, zajętą kolejkę, stara jędza. Staruszek przede mną wysilił się raz jeszcze i zaczął od nowa:

- Zawsze pada, kiedy jest jesień. Nie pamiętam wypadku, żeby jesień była bez deszczów.

Nie zdążyłem przygotować odpowiedzi, kiedy za moimi plecami podchwycono:

- Dobrze to pan mówi. Tylko w Afryce jest inaczej.
- W Australii też! - oświadczył staruch z nieoczekiwanym tupetem, ale zaraz się zmitygował. - Chociaż z całą pewnością zapewnić nie mogę. Możliwe, że w Australii nie. To jednak w końcu południowa półkula...

Byłem już trzeci do kasy, ale oto podeszła persona w kapeluszu i ze słoikiem śmietany w ręku i oświadczyła mojemu staruszkowi:

- Chyba stałam przed panem...

- A proszę - powiedział ochoczo staruszek i przysunął się do mnie.

Persona wcisnęła się do kolejki. Obejrzałem się. Za mną stały tylko dwie osoby. Ale nie, ona koniecznie musiała skorzystać ze swojego prawa. No dobra, jestem czwarty, przeżyję... I już znowu jestem trzeci...

Nagle rozległ się niezwykle dziwny dźwięk, coś w rodzaju przytłumionego beczenia. Trzask. Słoik ze śmietaną upadł na kafelkową podłogę i rozprysnął się w białą wieloramienną gwiazdę. Staruszek cofnął się i nadepnął mi na nogę, a persona w kapeluszu, łapiąc powietrze palcami w czarnych nicianych rękawiczkach, powoli zaczęła padać na bok. Na chwilę wszystko zamarło. Rozległ się krótki wrzask. Stałem jak słup w typowym dla mnie w podobnych sytuacjach stuporze. Persona w kapeluszu miękko niczym siatkarz upadła na plecy i zaraz po tym jej ciało nienaturalnie wyprężyło się w łuk, a głowa po kilkakroć mocno uderzyła potylicą o kafelki.

Ciągle stałem osłupiały, wlepiając wzrok w miotającą się w konwulsjach kobietę, ale już zaczynałem rozumieć, że to jakiś atak, napad choroby; trzeba ruszyć na pomoc i ja zaraz ruszę, tylko muszę gdzieś odstawić przeklętą torbę z kefirem... Najstraszniejsze jednak było to, że ludzie dookoła, zamiast rzucić się kobiecie na ratunek albo choćby jakja stać niczym słup soli, runęli do ucieczki - gdzie kto mógł, byle dalej, zbijając się nawzajem z nóg, z trzaskiem łamiąc stoiska i przegrody, wydając nieartykułowane okrzyki i lamentując w panice.

W tejże samej chwili coś mi eksplodowało przed oczami i na jakiś czas zostałem wyłączony.

Pierwsze, co usłyszałem, ocknąwszy się, to przejmujący, rozdzierający duszę krzyk Aelity:

- Co żeś nawyprawiał, tępą pało? A żeby cię tak pokręciło!

Toż to przecież uczony z tego nowego bloku, co dzień tu zachodzi!

Leżałem z policzkiem na kafelkach i ktoś ostrożnie zdejmował mi beret.

- Takie znamię powinni mieć łyse za uchem... - mruczał ze skrucą i obawą nieznamy, chrypliwy basik.

- A za którym to uchem? Za prawym? Za lewym? - dopytywał się drugi głos, również chrypliwy i spięty.

Ostrożnie odwrócono mi głowę i położono na kafelki drugim policzkiem.

- Za cholerę nic nie ma - z wyraźną ulgą i już gniewnie powiedział drugi głos. - Ani za lewym, ani za prawym... Dureń jesteś, bosmanie, i durne żarty się siebie trzymają.

- Przecież mówię! - zakrzyczała ponownie Aelita. - To uczony, z nowego bloku na Bałkańskiej!

- No to czego on tak, rozumiesz... - agresywnie i zarazem ze skruchą chrypiał bas.

- Czego, czego... Stał człowiek w kolejce i tyle!

- No to czego się na nią gapił? Wlepił gały jak ten...

- Dobra, posadźmy go chociaż, czy jak...

Wzięli mnie pod pachy i starannie usadzili, opierając plecami o ladę chłodniczą. Przed moją twarzą pojawiły się dwie zapuchnięte sinawe fizjonomie. Osiłki przyglądały mi się uważnie i ze współczuciem.

- Wybacz, przyjacielu - wychrypiał stojący po lewej. - Wzięliśmy cię za tego... ciskającego gromy... wiesz, co to kopie człowieka prądem... Strasznie żeś się na tamtą babę wytrzeszczył... Ciąłeś gapy jak ten...

W sklepie nie było ani jednego kupującego. Porażona atakiem persona spokojnie leżała z głową w kałuży śmietany. Mrugała już.

- Ile to towaru nadeptali! - zakwiliła Aelita z nową energią. - Ladę znów zniszczyli!... Czego sterczycie, pijusy? Wezwijcie milicję! Pogotowie!

19. Oświadczyłem Demiurgowi:

- Bardzo proszę nie czynić mnie na przyszłość uczestnikiem pańskich eksperymentów.

Demiurg nic nie odpowiedział, a Ahaswer Łukicz łagodnie przypomniał:

- Sierioża, przecież mówiłem: nie potrzeba kefiru, obejdziemy się! Mówiłem!

- Ale w domu nie było ani odrobiny masła - powiedziałem z konsternacją.

20. Wyspa Patmos w rzeczywistości okazała się...

DZIENNIK. 19 lipca. Rano.

Jest u Lema opowiadanie o tym, jak wynaleziono środek powodujący, że kopulujący człowiek cierpi nieznośne męczarnie. Idea wynalazcy: akt seksualny powinien mieć znaczenie wyłącznie funkcjonalne. Jaki tytuł ma opowiadanie? Nie pamiętam. Michel też nie pamięta.

19 lipca. Godzina 20.30.

Rano zadzwonił trener: dzisiejsze zajęcia z subaksu zostały odwołane. W ogóle odwołane zostały wszystkie dzisiejsze treningi w Pałacu Sportu. Pytanie: "Dlaczego?" Odpowiedź: "Wy co, sami nie rozumiecie?"

W gazetach ciąg dalszy wczorajszego. Dalej gniew, jęki, przekleństwa, rozdzierające duszę fakty. Pojawiły się jednak pewne próby teoretycznych uzasadnień.

"Miejskie Wiadomości". Kierujący wydziałem zatrudnienia W. Kriwoszapkin: Zasadniczo nie jesteśmy przeciwni tak zwanym niejadkom, których jednakże poprawniej trzeba by określić jako "osoby o dobrowolnie zredukowanych potrzebach" (OZP). Jesteśmy wystarczająco bogaci, żeby ich nakarmić, ubrać, obuć, a nawet zapewnić dach nad głową. Tym bardziej że poziom potrzeb mają trzy do pięciu razy niższy od średniej w naszym mieście i tym bardziej że duża część grupy OZP tak czy inaczej bierze udział w pracach społecznie użytecznych, przy czym bierze na siebie (choćby tylko dorywczo) czynności najmniej atrakcyjne i prestiżowe. Nie mówię już o tym, że niebezinteresowny eksperyment niektórych rodzin OZP poświęcających się całkowicie wychowaniu własnych dzieci nie może nie zwracać jak naj-bacniejszej i najzyczliwszej uwagi. Jednakże jesteśmy zdecydowanie przeciwni wszelkim skrajnościom. A Flora - czego by nie mówili jej litościwi obrońcy - jest właśnie najohydniejszą skrajnością, na pojednanie z którą nie możemy sobie pozwolić...

"Goniec Uniwersytecki". Profesor N. Mikawa przedstawia wstępne wyniki pierwszych socjologicznych badań Flory w naszym regionie. We Florze jest więcej osobników rodzaju męskiego niż rodzaju żeńskiego. Piętnastolatków jest więcej niż szes-nastolatków. (I co z tego?) Przynajmniej raz narkotyków próbowało 96,2 procent ankietowanych. (To i tak wszyscy wiedzą). Alkohol spożywa 30 procent. (I co z tego?)

Żadnych wniosków, żadnych zaleceń, nic. Jedynie dumne wyznanie na końcu: przegapiliśmy skomplikowane obiektywne procesy w społeczności, procesy, które doprowadziły do powstania Flory i teraz my, socjologowie, powinniśmy okupić swoją winę, zabierając się na serio do owego zdumiewającego socjologicznego zjawiska. I zaraz uwaga grupy studentów: czegoście się do nich przyczepili? Przypomnijcie sobie hipisów, przypomnijcie beatoików, metalowców, karakanarów, akutagai, skinheadów... Wyszaleją się i

wrócą do normalnego życia. Dwie osoby spośród podpisanych same były flowersami.

Za to artykuł prorektora - ho-ho! Okazuje się, iż to Flora jest winna temu, że w uniwersyteckich piwnicach produkowano narkotyki. Rozpalonym żelazem! Brzozową miotłą! Azotoksem ich, azotoksem!

“Tasziński Agronom”. Jeden wielki mrok. Średniowiecze. Noc. I płonie miejskie wysypisko śmieci.

“Spółdzielca”. Wszyscy autorzy bez wyjątku przestrzegają współobywateli przed ekstremizmem - głównie przed pikietowaniem instytucji - tudzież biją się w piersi pod hasłem “To nie moja wina!” i na dowód absolutniej lojalności wzywają do puszczenia na Florę kawalerii. Wszyscy przy tym żądają kategorycznie, by nie łączyć Flory ze spokojnymi niejadkami, przytaczając mniej więcej te same argumenty co “Miejskie Wiadomości”.

“Młodzieżowe Nowiny”. Również demonstrują dumne wyznanie swoich win. To nie tylko nasze nieszczęście, to także nasza wspólna wina. Gdzie spoglądał miejski komitet Komsomołu? Gdzie patrzyły komsomolskie organizacje zakładów pracy i uczelni? Oto one, owoce nadmiernego zbiurokratyzowania komsomol-skiej roboty z jednej strony i zbytniego przytakiwania najbardziej niewybrednym gustom z drugiej. Jednym słowem: Go Ty Osobiście Zrobiłeś, Żeby Twój Przyjaciół Nie Odszedł Do Flory? Wspaniała gazeta. Jesteś komsomolcem? Owszem. Czy już nie zmądrzejesz, chłopcze?

Nawiasem mówiąc, wszystko to małe piwo. Duży kaliber zaczyna się w “Taszińskiej Prawdzie”. Cała szpalta. Trzy artykuły. Dyskusja, jeśli się tak można wyrazić.

Pierwszą rakietę odpala niejaki K.P. Pluchin. Z tekstu wynika, że nigdy się do Flory nie zbliżał, zna ją jedynie ze słyszenia i z opowieści znajomych, tak że cały jego patos bazuje głównie na wyglądzie zewnętrznym flowersów spotykanych przypadkiem na ulicy oraz na niezwykle rozumnym twierdzeniu, że praca uczyniła z mały człowieka, a próżniactwo ten proces odwraca. Dzisiejsza młodzież zupełnie nie zna prawdziwych kłopotów życiowych. Daleko im do tych, którzy zagospodarowywali Tiumeń i Surgut, budowali BAM i wypełniali internacjonalistyczny obowiązek. I chociaż młodzież w swojej masie “wyrosła na zdrowych drożdżach”, nie mamy najmniejszego prawa zamykać oczu na wynaturzone odchylenia od normy w jej środowisku.

Tutaj, zdawałoby się, nadeszła pora na okrzyk: “Wyplenić ogniem i mieczem!” - ale nie. Okazuje się, że powinniśmy jedynie wykorzystać wszelkie sposoby oddziaływań wychowawczych, ideologicznych i politycznych, sposoby oparte na zaleceniach naszych pedagogów i socjologów. Na czele ruchu reedukacji powinien stanąć Komsomoł. Organa ochrony prawa powinny się znaleźć na wysokości zadania i ani na chwilę nie tracić czujności.

Co się zaś tyczy indywidualnych tendencji ekstremistycznych, które w ostatnim czasie dały o sobie znać w mieście, należy je rozpatrywać jako panikarskie, woluntarystyczne i równie niebezpieczne, co skłonności do pasywnego godzenia się z zaistniałą sytuacją. Społeczna pasywność i społeczna agresja to dwie strony tej samej wyświechtanej fałszywej monety taniego polity-kierstwa.

Takie buty.

Dalej na dwie kolumny leci nasz G.A. Gorzki, wspomniały artykuł. Bardzo G.A., bardzo osobisty. Czytasz i przez cały czas słyszysz jego głos.

(UWAGA PÓŹNIEJSZA. Artykuł się nie zachował. Nie znalazłem go nawet w Bibliotece Publicznej. Można tylko żałować, że owej lipcowej nocy nie przepisałem go w całości do mojego dziennika, a jedynie ograniczyłem się do wyłożenia wybranych tez, które najbardziej mnie poruszyły).

Flora podgatunkiem świata przestępczego? Bzdura. Żadnych cech wspólnych. Świat przestępczy pasożytuje na naszej cywilizacji, a Flora formuje swoją własną cywilizację. W ogóle przestępca jest nam bliższy niż Flora - i ze względu na system materialnych wartości, i ze względu na hierarchię zewnętrznego prestiżu. Duch cywilizacji Flory jest zupełnie inny. Nasze wartości są dla nich zerem. Zaś dla nas ich wartości leżą poza granicami zrozumienia, jak koci język.

Flora to dzikusy niedorośle do naszej cywilizacji? Nieprawda. Flora wyrosła z naszej cywilizacji jak z warstwy próchnicy. Owszem, są to dzikusy. Ale dzikusy zupełnie szczególnego rodzaju - plemię, które zaczerpnęło pokarmu z naszej cywilizacji i ze wstrętem zwróciło to, co połknęło.

Istota sprawy polega na tym, że nikt Flory nie rozumie. A co gorsza, nikt nawet nie próbuje jej zrozumieć, ponieważ wszystkim wydaje się, że nie ma po co próbować, sprawa i tak jest jasna.

Flora nie jest fenomenem niezależnym od nas - niczym jakieś wstrętne i niebezpieczne zwierzę z dżungli, które należy albo zniszczyć, albo przepędzić na koniec świata. (Nawiasem mówiąc, gdzie je chcecie przepędzić? Do sąsiedniego obwodu, do sąsiedniego regionu? Do sąsiedniej republiki?)

Flora jest naszym bólem, naszym cierpieniem. Możliwe, że to choroba. Możliwe, że ropiejąca rana. Ale w takim razie potrzebny jest lekarz, profesjonalista, źródło wiedzy i miłosierdzia. I żadnych prób znachorstwa! Żadnych szamańskich płasów! Żadnych domorośłych uzdrawiaczy - z wódką zamiast narkozy i piłą do drzewa w miejsce lancetu.

A może na naszych oczach żywiotowo tworzy się zupełnie nowy składnik ludzkiej

cywilizacji, nowy styl życia, nowa, samoistna kultura? Wtedy cała ta krew, ból, brudy - to poród! Noworodek nie jest ładny, jest wręcz brzydki, krzyczy i robi pod siebie, ale jego przeznaczeniem jest rosnąć i, w dającej się przewidzieć przyszłości, jego przeznaczeniem będzie zająć swoje miejsce w strukturze ludzkości. A jeśli tak, to chroń nas Boże przed niedomytymi akuszerkami i rzeczowymi specami od skrobanek!

Kto w naszym mieście krzyczy najgłośniej? Rozejrzyjcie się dokoła, przypatrzcie, posłuchajcie, pomyślcie!

Bardzo głośno, ogłuszająco, krzyczą (starym zwyczajem) najbardziej winni - ci, którzy nie umieli wychować, nie potrafili porwać i oderwać, nie byli w stanie do siebie przyciągnąć. A zwłaszcza ludzie, których to było obowiązkiem, których uważano za specjalistów, którzy dostawali za to pensje i nagrody: kiepscy pedagodzy w szkołach, obojętni opiekunowie w zakładach pracy, mierni pracownicy kulturalno-oświatowi. Zanoszą się krzykiem, żeby zagłuszyć własne sumienia i ogłuszyć tych, którzy próbują się zorientować, kto zawinił.

Tubalnie ryczą osoby odpowiedzialne, ci, którzy umieszczali na stanowiskach, awansowali, hołubili wspomnianych partaczy; teraz próbują zwalić winę na swoich podwładnych, na trudności obiektywne, na mitycznych kusicielu i - już całkiem starym zwyczajem - na zgubne wpływy z zewnątrz. A obok nie mniej donośnie ryczą ludzie odpowiedzialni na razie tylko troszeczkę. Tacy, co szybko się zorientowali, że lada chwila zaczną się zwalniać stołki i że nadeszła najwłaściwsza pora, by zbić polityczny kapitał, demonstrując swój obiektywizm, rzeczowość i gotowość do zdecydowanej naprawy sytuacji. Wieczne plemię powołane do odpowiedzialności za wszystko i dlatego nieodpowiadające za nic!

I już zatokowali, zabalgotali, zakaszleli nasi rodzimi krzykacze, wielbiciele starej, dobrej przeszłości, butni świadkowie "czasów oczakowskich i podboju Krymu", przez ostanie pół wieku poznający życie jedynie ze wstępniaków gazet i telewizyjnych programów informacyjnych, starzy drabanci pierestrojki. Zdawałoby się, że pora im hołubić w pokoju prawnuki i strzec ciepła domowych ognisk - ale nie, gdzież tam! Prą naprzód, dzierżąc antyczne sztandary, na których jeszcze można odczytać na wpół zatarte hasła: **PRECZ Z HEAVY ROCKIEM! PRECZ Z OBCĄ KULTURĄ! WYRWAĆ Z KORZENIAMI MAŁOWANE WŁOSY! WYRWAĆ Z KORZENIAMI SYNCHRO-LIGHTINGI! SYSTEMKI WON NA ŚMIETNIK! KOMPAKTY POD OBCAS!**

I stalowymi głosami szcęknięli rzeczownicy absolutnego porządku, apologeci szyków i szeregów, święcie przekonani, że istnieje tylko jedno lekarstwo na wszelkie komplikacje

społeczne: zbiórka i naprzód marsz z pieśnią bojową na ustach. Stojący poza szykiem stoją poza prawem. A ze stojącymi poza prawem należy postępować jednoznacznie: krótko i z góry.

I czując przedsmak radosnego polowania, z każdą chwilą coraz głośniejszymi ryczącymi, szczującymi, gardłującymi znużonymi dźwiękami. Już poczuli, że zbliża się czas, kiedy będzie można sobie pofolgować, pohulać bezkarnie, podrapać swędzące pięści, pójść na całość, nie lękając się organów ochrony prawa. I choćby tylko za tę zgraję nie będzie wybaczenia dla ludzi, którzy teraz, nadymając się, miotają gromy demagogicznych słów, zamiast milczeć i zastanowić się.

Nie wymieniałem nazwisk, chociaż mógłbym je wymienić. Byłem ostry i prawdopodobnie nawet grubiański, ale nie przepraszam. Wszystko, co tu powiedziałem, mówiłem do ludzi, których dobrą połowę stanowią moi uczniowie i uczniowie moich uczniów. Wszystkie wypowiedziane tu słowa są skierowane do nich w takim samym stopniu, w jakim kieruję je do siebie samego. Ostatnimi dniami nękał mnie wstyd i ból, winą bowiem za to, co się dzieje, w pełni obarczam również siebie - w takim stopniu, w jakim może się nią obarczać pojedynczy człowiek. I proszę was tylko o jedno: pomilczcie i zastanówcie się. Albowiem nastał czas, kiedy na razie nie wolno uczynić niczego innego.

Cykl zamyka dziekan wydziału socjologii. Jego artykuł poświęcony jest głównie roli pasożytnictwa, a zwłaszcza Flory, jako zjawiska socjologicznego w społeczeństwie początków drugiej rewolucji naukowo-technicznej. Całość bardzo rozsądna, akademicka i na mój gust oczywista. Wyraźnie wolał nie polemizować z G. A. (nie mam pojęcia z jakich względów), jednakże można wyczuć, że się z G. A. nie zgadza we wszystkich właściwych punktach. Ani co do treści, ani co do formy.

Ale jeden jego wywód wydaje mi się godny uwagi. Wypowiedziawszy coś w tym rodzaju, że Flora byłaby niemożliwa, gdybyśmy nauczyli się każdemu młodemu człowiekowi oferować odpowiadające mu zajęcie, zauważył: Mamy jeszcze na razie moralne prawo do osądzania Flory. Brakuje rąk do pracy, jest bardzo dużo robót niepełnych i pozbawionych prestiżu, robót, które wypominamy Florze. Ale bliski jest czas, kiedy dokona się druga rewolucja naukowo-techniczna (orientacyjnie w ciągu 40-50 lat). Niepociągające i niskoprestiżowe prace przejmie całkowicie cybernetyka i co wówczas odpowiemy Florze, kiedy powie nam: no dobrze, dajcie waszą robotę? Już teraz musimy zrozumieć, że z naszego punktu widzenia będzie to bardzo dziwny czas - czas, w którym praca raz na zawsze przestanie być społeczną koniecznością. Możliwe, że dzisiejszą Florę istotnie należy

rozpatrywać jako swoisty model ogólnej sytuacji społecznej wcale nie tak bardzo odległej przyszłości?

Co z tego wszystkiego zrozumiałem?

Pod publikacjami nie ma komentarza redakcji. A więc komitet miejski jeszcze nie podjął decyzji w sprawie zapowiadanej akcji. I w ogóle widać, że stanowisko komitetu przychyliła się raczej ku uśmierzeniu niż podkreśnianiu nastrojów. Z drugiej strony - podpisy. Wydaje mi się znaczące, iż o K.P. Pluchinie wszystko dokładnie wyszczególniono: i że weteran, i że zasłużony emeryt, i honorowy pedagog, i zasłużony pracownik RFSSR. Tak samo o dziekanie: profesor, członek-korespondent, laureat, delegat... O G.A. zaś napisali zwyczajnie: G.A. Nosów. Można to oczywiście pojmować tak, że wszyscy w mieście wiedzą, kto zacz G.A. Nosów i nie ma żadnej potrzeby go rekomendować.

Ale jeżeli się chce, można się również dopatrzeć niejakiego ostrzeżenia: popatrz no, dzisiaj jesteś i zasłużonym pedagogiem, i laureatem, i delegatem, i członkiem rady miejskiej, a jutro - G.A. Nosowem i kropka. Kirył wyciągnął z tego cyklu wnioski w najwyższym stopniu optymistyczne: komitet miejski nie dopuści do żadnych ekstremistycznych akcji - pohałasują, po wrzeszczą i uspokoją się. Vide ton artykułu weterana, tudzież nieobecność pośród autorów wielebnej ślicznotki Rebeki. Również do roli arbitra wybrano jajogłowego, a nie praktyka, nie osobę urzędową.

Wyłożył nam to wszystko w westybulu, z walizką na podorędziu. Mówił z przekonaniem, tyle że w jego sytuacji dziwnie by brzmiało cokolwiek innego. Na przykład: owszem, staruszkowie, macie przefajdane, ale cóż, wywiniecie się jakoś, mnie pora ruszać w rejs dookoła Afryki.

Ledwo go odprowadziliśmy przywołał mnie G.A. i oznajmił: "Idziemy". Poszliśmy. Przez całą drogę zgadywałem, dokąd to maszerujemy, i oczywiście nie domyśliłem się. A zawędrowaliśmy do ośrodka telewizyjnego i od razu na górę, do naczelnego. Naczelnny okazał się osobnikiem długim, przygarbionym, spoconym i kudłatym (niesympatycznym); od razu wyszło na jaw, że znajduje się na granicy hysterii. Ledwie do niego weszliśmy, krzyknął szlochającym głosem: "Czego chcesz, Gieorgij, czego jeszcze chcesz?"

Owszem, jest starym i wiernym przyjacielem G.A. Owszem, do grobowej deski będzie G.A. wdzięczny za swoją córkę. Zdaje się, że nieraz już okazywał swoją wdzięczność i słowem, i czynem. Ale teraz nic nie może zrobić. Czy tej prostej myśli nie wyraził jasno przez telefon? Nie, w radiu również nie można. Nie, nie ma żadnych tajemnic, żadnych sekretnych nacisków i on nie boi się nikogo. Ale dosłownie goni resztkami sił. Nie ma zamiaru plamić na

starość swojego sumienia, a najdrobniejsza interwencja w to, co się dzieje, nieuchronnie doprowadzi do tego, że zaplami się od stóp do głów. Nie, wielką pomyłką jest twierdzenie, że jakoby “gorzej nie będzie, a może być tylko lepiej”. Będzie gorzej, i to o wiele gorzej! Ileż wysiłku kosztowało go wymiganie się od honoru udostępnienia eteru pani inspektor wydziału oświaty, przedstawicielowi Rady Weteranów, naczelnemu redaktorowi “Taszińskiego Agronoma”... Jeżeli teraz wyjdzie w eter G.A., wówczas on (kudłaty, niesympatyczny naczelny) zgodnie ze zwykłą logiką głośności będzie musiał udostępnić eter wszystkim wymienionym osobom oraz jeszcze dwóm dziesiątkom niewymienionych, którzy jak psy z łańcucha rwą się, żeby wezwać obywateli do mioteł, rozpalonego żelaza, i brania za mordę...

Skończyło się na tym, że G.A. musiał kudłatego i niesympatycznego pocieszać, wycierać mu nos i przypominać o jakichś sytuacjach, kiedy to sznur zaciskał się jeszcze bardziej, a wszystko skończyło się pomyślnie. W końcu zarośnięty niesympatyczniak całkiem się rozplakał - już nie w przenośni, ale w dosłownym tego słowa znaczeniu - i G.A. spojrzeniem przykazał mi wyjść.

W drodze powrotnej zapytałem G.A., co sądzi o artykułach w “Taszińskiej Prawdzie”. G.A. odparł: “Mogło być znacznie gorzej”. Później pomilczał i dodał: “Zresztą może jeszcze będzie znacznie gorzej. Zobaczymy”. Następnie znowu pomilczał i wymruczał jakby do siebie: “W każdym razie nigdzie więcej się nie zwrócę. Za późno”. To było słowo kluczowe.

“Za późno, za późno! - krzyczał Wolf” - zadeklamował, ożywiając się G.A. - Piana i krew ciekły mu po brodzie”. Jak zwykle cytat wprowadził go w dobry humor. Popatrzył na mnie poweselałymi oczyma i zapytał znienacka: “Nie wydaje się czasem waszej kniaziowskiej wysokości, że żyjemy na zakręcie historii? Czy nigdy jego ekscelencja nie ma takiego odczucia? Na zakrętach historii bywa okropnie nieprzytulnie: przeciągi, smrody, strachy, obawy, niepewność, ale z drugiej strony - szczęśliwy ów, który nawiedzi świat w dziejowej chwili... Co, kniaziu Igorze?”

Faktycznie, jak to jest - żyć na zakręcie historii? Trzeba się zastanowić. Co to właściwie takiego jest zakręt historii? Kiedy na skrzyżowaniach stoją pojazdy opancerzone i dymią ogniska, w których dopalają się stare prawdy - to już nie jest zakręt historii, to już się zaczęła nowa historia. A zakręt to jest pochodna czasu. Mówi się, że sercowcy nie reagują na złą pogodę, tylko na zmianę dobrej. Dookoła jeszcze świeci słońeczko, ciepłutko, pięknie, ale ciśnienie zaczęło się zmieniać i sercowiec łapie się za serce. Może tak samo bywa z historią? Może G.A. ze swoją wrażliwością reaguje na zmiany, które dopiero się zaczynają? Nie zdziwiłbym się, chociaż sam osobiście żadnych zmian nie wyczuwam.

Pikiet jeszcze więcej niż wczoraj. Hasła mniej więcej te same. Zagranicznym turystom wydaje się to bardzo ciekawe, bez przerwy błyskają flesze i szumią kamery wideo.

Zapytałem Micheja, co on, komsomolec Michej, osobiście takiego uczynił, żeby jego przyjaciel, książę Igor, w końcu również komsomolec, nie odszedł do Flory. Odpowiedzią były mi reliktywne odgłosy.

RĘKOPIS OZ (19-22)

21. Wyspa Patmos w rzeczywistości okazała się dość ożywionym zakątkiem. Widocznie leżała na skrzyżowaniu paru jeśli nie dróg to przynajmniej drózek żeglugi przybrzeżnej. Prawie co dzień w zacisznej południowej zatoczce zarzucał kotwicę jakiś statek - żeby uzupełnić zapasy świeżej wody, zaopatrzyć się w suszone koźle mięso albo też wysadzić na brzeg kolejnego zesańca.

Okazało się, że na Patmos przebywa mnóstwo zesańców.

Określali siebie żargonowym wyrażeniem "prikachtowie", co mniej więcej odpowiada naszemu pojęciu "chrześniak". Byli tam chrześniacy Kaliguli, chrześniacy Klaudiusza, chrześniacy Ty-beriusza. Uważający się za Bóg wie kogo senatorowie, artyści, którzy coś przeszkrobali, cudzoziemscy książęta, mistrzowie i miłośnicy pięknych słów, pechowi reformatorzy - jedni z rodzinami i manatkami, inni bez uszu, bez języka, czasem bez genitaliów.

Była to elita, nawet ci pozbawieni genitaliów. Ludzie bliscy sobie społecznie. A na wpół nagi, obsmażony we wrzącym oleju, liniejący zawodowy bandyta był człowiekiem społecznie obcym. Mówiąc uczciwie, wręcz nie zasługiwał na zesłanie: jeżeli nawet tak się zdarzyło, że zabrakło na niego oleju, to bez najmniejszej wątpliwości jego miejsce było na krzyżu, a nie w szanującym się towarzystwie. Z tego powodu pierwsze tygodnie pobytu Jana-Ahaswera na wyspie przyćmiły ponure incydenty.

Przyćmiły - należałoby właściwie uściślić - z punktu widzenia dumnych prikachtów. Próbowali naprawić niedopatrzenie władz - i nie zdołali.

Najpierw zginęły trzy psy - próbowano poszczuć ich psami. Zabił je i wraz z Prochosem zjadł upieczone w żarze. Następnie zostali okaleczeni czterej niewolnicy senatora Warrona. Wyślano ich, by pomścili psy. Bandyta pozbawił niewolników genitaliów, by na przyszłość w niczym nie przewyższali swojego pana. Wówczas urządzono prawdziwą obławę, której przewodzili odsunięci od łask oficerowie 14. Legionu. Obława skończyła się niczym: spalono pustą rudę, w której Jan-Ahaswer gnieździł się z Prochosem, rozbito ich jedyny garnek z wczorajszą polewką i porwano kilka kóz, które kręciły się w pobliżu i

wątpliwe, żeby do nich należały.

Tej samej nocy osada prikachtów stanęła w ogniu, podpalona z czterech stron przez frygijskich pastuchów, a obladowany dobytkiem senatora Warrona bandyta uciekł w góry ze swoim Pro-chorem. W ten to sposób arcywesoła przygoda konających z nudów chrześniaków trzech cesarzy przemieniła się w ciężką i bezsensowną wojnę z aborygenami. Wojnę, zakończoną dopiero w miesiąc później kapitulacją na dosyć upokarzających warunkach.

Jan-Ahaswer zamieszkał w górach. Z punktu widzenia postronnego obserwatora była to roślinna wegetacja. Nic nie robił, jedynie jadł i spał. Wodę przynosił i zdobywał żywność Prochor. Czasem przychodzili pastuchowie. Nie witając się, siadali przy ognisku i pili kwaśne wino przyniesione ze sobą w skórzanych worach. Wówczas Jan upijał się. Czasami miał ochotę na kobietę. Na wyspie nie było wolnych kobiet i Jan zadowalał się kozami. Żadnych innych pragnień nie miewał. W istocie był najszczęśliwszym człowiekiem swoich czasów: nie musiał pracować, a wszystko, czego pragnął, miał pod ręką.

Wokół niego nic się nie działo.

Za to wewnątrz niego działy się rzeczy zaiste wstrząsające. Ze strachem i zdumieniem wchłaniał je, całymi godzinami wylegując się na skórkach w ubogim szałasie. Zaczęło się bez wątpienia od rzymskiej trucizny, kiedy to w charakterze nieboszczyka leżał w kałuży własnych wymiocin na podłodze katowni. Trwało poprzez nieznośny ból, gdy smażono go przy Porta Latina. I od tamtej pory nie ustawało. Czy były to głosy, teraz już zupełnie otwarcie i zrozumiale opowiadające o prawach i zasadach bytu? Możliwe. Możliwe, że były to właśnie głosy. Czy może wizje, oślepiające i potężne wizje tego, co było, tego, co będzie, i tego, co jest? Owszem, bardzo możliwe. Jan-Ahaswer widział. Widział, czuł węchem i dotykiem, bał się i zachwycał.

Ale nie brał udziału.

Przez długi czas sądził, że rozmawiają z nim bogowie, że przy-gotowują go do jakiegoś wielkiego czynu i z tego powodu obdarzają nieczłowieczą wiedzą - szczerze wyposażają go we wszechwiedzę. Ale w miarę jak zapełniała się jego świadomość, w miarę jak wszechświat wokół niego i w nim samym stawał się coraz większy, coraz bardziej rozumiały, coraz jaśniejszy w swoich niezliczonych powiązaniach rozciągających się w przeszłość i przyszłość, coraz prostszy w swojej niewypowiedzianej złożoności - w miarę jak działo się to wszystko, coraz bardziej utwierdzał się w myśli, iż żadnych bogów nie ma i nie ma demonów, nie ma magów i czarowników; że nie istnieje nic oprócz człowieka, świata i historii. I że wszystko, co go teraz olśniewa, nie pochodzi z zewnątrz, ale z wewnątrz, z niego

samego.

I że nie sążone są mu jakieś specjalne czyny, czeka go po prostu tylko wieczne życie z całym wszechświatem we wnętrzu.

Ciekawe, że w chwilach świadomości, kiedy pożerał pieczoną rybę, pił zsiadłe mleko albo też dobierał się do lubieżnej kozy - pozostawał dawnym Janem-Ahaswerem, a nawet nie Janem-Aha-swerem, ale po prostu Janem Boanergesem - dzikim, drapieżnym, prostodusznym Galilejczykiem, niepiśmiennym i żyjącym jedynie pięcioma zmysłami i trzema żądzami. Nawet pamięć o Nauczycielu przybladła, pozostawiając jedynie mgliste wrażenie trudnego do określenia czułego ciepła.

Nigdy się nie mógł poszczycić dobrą pamięcią, o ile rzecz nie dotyczyła zemsty i nienawiści. W chwilach przytomności jego superwiedza drzemała w nim niczym Lewiatan w bezmiarze wód i gdyby w podobnej chwili na przykład zapytano go, dlaczego wschodzą i zachodzą ciała niebieskie, po prostu nie zrozumiałby pytania. A gdyby jemu samemu przyszło do głowy zadać pytanie, dlaczego na przykład dzieci podobne są do rodziców, zdumiałby się jedynie nieoczekiwanymi figlami myśli, dostrzegających problem w naturalnym porządku rzeczy. Odpowiedzi nawet nie próbowałby znaleźć.

Wiedza budziła się w nim nieoczekiwanie i zawsze wbrew woli. Zdarzało się to z reguły w chwilach skrajnego rozdrażnienia, gdy dosięgały go napady gwałtownej niechęci do ludzi, do ich głupoty, do ich zarozumiałego gadulstwa, do niewolniczego napawania się własną nicością wobec sił wyższych - bogów, kapłanów czy władz - do tego, co w nich zwierzęce.

Po raz pierwszy zdarzyło się to upalnego letniego wieczoru, kiedy słońce już zaszło i przy żarzącym się ognisku, pod młode wino własnej roboty, toczyła się niespieszna, specyficznie męska rozmowa. Zwykłym biegiem rzeczy rozmowa przeszła z kobiet na kozy i pasterze z dużą znajomością materii zaczęli objaśniać Janowi i Prochorowi wszystkie subtelności owej miłej rozrywki: według jakich cech należy dobierać zwierzę, w jaki sposób przygotowywać je do użycia, a przede wszystkim - jakie środki należy przedsięwziąć, żeby i z przyjemności nic nie utracić, i żeby nie przydarzyło się nieszczęście - by nie począć potwora.

Jan-Ahaswer nic nie miał przeciwko męskiej rozmowie ani też przeciwko skierowaniu jej na kozy. Ale kiedy pasterze zaczęli pleść bzdury o kozłoludach, o ich straszliwym wyglądzie, o podstępnych narowach; kiedy łgarstwo poczęło piętrzyć się na łgarstwie, kiedy jeden przez drugiego i bez najmniejszych zahamowań tamci zaczęli autorytatywnie powoływać się na bogów i przodków, kiedy przy trzasku rozdzieranych na piersiach kozich skór poszły w ruch opowieści naocznych świadków i bezpośrednich winowajców - wówczas

Jan-Ahaswer nie wytrzymał. Zaczął mówić. Powiedział krzykliwym idiotom, że ludzie nie mogą mieć potomstwa z kozami. (Właśnie zrozumiał z całkowitą jasnością, że wie to i, co więcej, z całkowitą dokładnością wie, dlaczego rzecz jest niemożliwa). Próbował wytłumaczyć, dlaczego jest to niemożliwe. Po raz pierwszy w życiu poczuł, jak boli, kiedy się wszystko rozumie, ale brakuje słów. Lingwistyczne zadławienie.

Nie zrozumieli go. Zaczął krzyczeć. Tłukł pięściami w kamienistą ziemię. Próbuje zademonstrować mechanizmy, splatał i rozplatał palce. Jąkał się niczym paralytyk. Opluł sobie całą brodę. Pasterze rozbiegli się w panice; został sam - tylko Prochor ze zwykłą wprawą smarował obok stylem po pogniecionej karcie brudnawego pergaminu. Jan zapłakał, cisnął w Prochora głownią i padł twarzą na ziemię.

Zmuszony był uczyć się opowiadać. Okazało się, że jest zdolnym opowiadaczem. I bardzo szybko doszła do głosu jego czwarta namiętność: pragnienie dzielenia się wiedzą. To było jak miłość. Tu również nie można się było spieszyć, należało (jeśli chciało się doznać rozkoszy w całej jej krasie) być dokładnym, przypochlebnym, miłym i czułym dla słuchacza. Ataki nagłej irytacji ludzką tępotą, zarozumiałstwem i ciemnotą nie ustały, ale super-wiedza już ich nie potrzebowała, żeby całkiem swobodnie się rozprzestrzeniać. Wystarczał mu teraz uprzejmy sprzeciw. Zmuszało to Jana do poszukiwania partnerów.

Poważnie zmienił swój stosunek do inteligencji. Zaczęli mu się podobać ludzie czytający i przepelnieni ciekawością otaczającego świata. Oczywiście z jego wysokości odczytanie ich było jedynie usystematyzowaną niewiedzą, mniej lub bardziej złożonym zestawem nieprawdziwych, mylnych lub niedokładnych obrazów świata, ale wykształcenie wyposażyło ich w logikę, sceptycyzm i zrozumienie odwiecznej niemożliwości objęcia tego, co nieobjęte.

Stał się swoim człowiekiem w kolonii prikachtów.

A Prochor wszystko zapisywał.

Błędem byłoby stwierdzenie, że Prochor zapisywał każde słowo umiłowanego proroka, chociaż sam Prochor był szczerze przekonany, iż nie przepadło ani jedno słowo. Zaczął spisywać jeszcze pod Porta Latina. Na galerze wiozącej ich na Patmos notował majaczenia miotającego się w malignie Jana, z którego skóra schodziła niczym z węża. Póki na Patmos dojrzewała w nim nadwie-dza, Jan-Ahaswer mówił przez sen. Prochor zapisywał te majaczenia, gorączkowe rozmowy Jana z wyimaginowanymi bogami.

Notował, gdy rozjuszonego Jana wiedza szarpała przed wystraszonymi pastuchami. Zapisywał dysputę Jana z Pliniuszem Starszym, który zawitał na Patmos przejazdem, by zabrać ułaskawionego wodza Germanów. I dysputę z Justusem z Tyberia-dy, który na Patmos

przybył specjalnie, żeby się spotkać z niezwykłym uczonym. Zapisał jeszcze wiele, wiele dysput, nim nauczył się zręcznie formułowanymi pytaniami pobudzać do erupcji wulkan wiedzy swojego proroka.

Tak rodziła się *Apokalipsa, Objawienie według św. Jana*, słynny pomnik światowej literatury, którą sam Jan-Ahaswer określał nie inaczej niż *keszer* (słowo z aramejskiej grypsery oznaczające mniej więcej to samo, co współczesny balach, historia opowiadana pod celą dla ugaszenia sensorycznego głodu odsiadujących wyrok przestępców). Albowiem to, co mówił Jan, i to, co w końcowym rachunku powstawało pod stylem Prochora, nie miało ze sobą nic wspólnego, poza, być może, pasją by opowiedzieć i przekonać.

Jan-Ahaswer naturalnie mówił, bredził i opowiadał po aramejsku. Prochor był w stanie po aramejsku dogadać się na targu i nic poza tym. Pisał i myślał oczywiście po grecku, a dokładniej - w klasycznym koine.

Dalej. Janowi-Ahaswerowi co chwila brakowało słów, by przekazać składające się na jego nadwiedzę pojęcia i obrazy, i ciągle musiał się uciekać do gestów i wykrzykników. Jego świadomość mieściła w sobie cały kosmos od plus do minus nieskończoności w czasie i przestrzeni: jak miał wytłumaczyć młodemu (a choćby nawet wiekowemu!) synowi iberyjskiej niewolnicy i wyzwolenca, rodem z Cheronei, co to takiego piszczal, grawilot, element paliwowy, pitekantrop, mutant, homunkulus, partenogeneza, Linia Dostaw, protuberancja, przestrzeń wielowymiarowa, inkunabuł, Moskwa, papier, pojazd opancerzony, kapitalizm, T-zero, kościół rzymskokatolicki, pole magnetyczne, miasto w chmurach, laser, inkwizycja...

Nawet on sam, Jan-Ahaswer, nie tylko nie potrafił wytłumaczyć, ale nawet zwyczajnie nazwać owych pojęć, przedmiotów i zjawisk. On jedynie o nich wiedział, miał zaledwie ich wyobrażenie - ich i związków pomiędzy nimi. Jednakże Prochor był wielkim pisarzem i jak wszyscy wielcy pisarze - urodzonym twórcą mitów. Miał wspaniale rozwiniętą wyobraźnię i z nieopisaną prostodusznością i pewnością siebie na własną modłę zapełniał wszystkie luki w opowieściach i wyjaśnieniach proroka.

Dalej. Prochor był od początku przekonany, że ma przed sobą najprawdziwszego wieszczącego proroka. Jan-Ahaswer dzielił się wiedzą, Prochor spisywał proroctwa. Splątanie, niezrozumiałość i brak powiązań w Janowych opowieściach tylko go umacniały w przekonaniu, że są to właśnie i bez wątplenia proroctwa. Swoje zadanie widział w wyjaśnianiu, usystematyzowaniu, rozmieszczeniu i powiązaniu w całość. Wyróżniał rzeczy najważniejsze, bezlitośnie odrzucał podrzędne, szukał i odnajdywał dostępne dla wszystkich obrazy, odkrywał i ujawniał sens, a kiedy to uznawał za konieczne - ukrywał go.

Dobudowywał fabułę, wykuwał rytm, przerażał, wywoływał zachwyty, ofiarowywał nadzieję, wtrącał w rozpacz...

W rezultacie stworzył dzieło literackie mające zupełnie samoistną wartość ideowo-artystyczną. Jak większość wielkich utworów nie ma ono nic wspólnego z bodźcami, które popchnęły autora do pisania. Dlatego powstały ostatecznie *keszer* można tłumaczyć na mnóstwo sposobów, zależnie od nastawienia ideologicznego, a nawet estetycznych gustów interpretatora.

O ile wiadomo, żaden z interpretatorów nie wziął pod uwagę ważnego, być może nawet decydującego faktu, iż Prochor największą, a do tego twórczą część swojego życia (bądź co bądź czterdzieści lat) spędził w otoczeniu prikachtów, w bulgoczącym kotle opozycjonistycznych namiętności, gdzie ramię w ramię pich-cili się i zajadli wrogowie Rzymu, i przesadni jego paladynowie; tacy, którzy Rzym uważali za więzienie narodów, i tacy, którzy byli zdania, że najwyższy czas ostatecznie skończyć ze zgniłym liberalizmem. W owym wrzącym kotle smażyły się i odsmażały najnowsze plotki, pogłoski, teorie, przepowiednie, obawy, anegdoty, nadzieje. Prochor niewątpliwie był za pan brat z całym tym wrzeniem. Nie mógł, jak nie mógłby żaden inny wielki pisarz, nie odczuć na sobie intensywnego oddziaływania podobnego otoczenia.

W ten sposób pojawia się jeszcze jedna *interpreta.C)a Apokalipsy* - tym razem jako wysoce współczesnego, superaktualnego politycznego pamfletu, w którym elementy przepowiedni powinny być rozpatrywane co najwyżej jako chwyt literacki, za pomocą którego do współczesnych docierała myśl o nieuchronności bolesnego i straszliwego końca Cesarstwa Rzymskiego. Największej przyjemności człowiek owych czasów powinien doznawać, rozpoznając w poczwamych obrazach Bestii, żelaznej szarańczy i całej reszty znajome atrybuty rzymskiej hierarchii, rzymskich personaliów, rzymskiej infrastruktury. W każdym razie, gdy w końcu lat sześćdziesiątych Prochor, tłumacząc na żywo, czytał Janowi-Ahaswe-rowi wybrane fragmenty swej *Apokalipsy*, prorok klepał się z zadowolenia po udach i chichocząc, przygadywał: "Tak, synku, dobrze im tutaj dałeś, nie ma co, zuch jesteś..." A kiedy zakończyło się odczytywanie, zrobił parę czysto stylistycznych uwag i przepowiedział: "Wiedz, Prochorze, że twemu dziełu sądzony jest bardzo długi żywot i wiele głów będzie się nad nim łamało..."

Oczywiście teraz, dwa tysiące lat później, nikt już nie jest w stanie odbierać Prochorowej *Apokalipsy* jako politycznego pamfletu. Ale wszak również inne wielkie dzieło światowej literatury, *Boska komedia* Dantego, nie jest odbierane jako pamflet polityczny, chociaż tak zostało obmyślane i zrealizowane.

Wiele lat później, gdy nie było już ani Prochora, ani prikach-tów, ani samego Cesarstwa Rzymskiego, przyszła raz Janowi-Ahaswerowi do głowy dziwna myśl, że *Apokalipsa* Prochora nie była ani mistycznym prorocstwem o losach ekumeny, ani politycznym pamfletem. W rzeczywistości *Apokalipsa* była starannie i genialnie zaszyfrowanym w formę dzieła literackiego potężnym planem powszechnego powstania kolonii-prowincji przeciwko Rzymowi, tytanicznym rozkazem bojowym typu: “*die erste Kolonne marschirt...*”, w którym wszystko miało wyraźny i jednoznaczny wojskowo-polityczny sens - i trąbienie poszczególnych aniołów, i barwa koni, na których wdzierali się do historii Jeźdźcy, i powodująca klęskę Smoka Niewiasta... Po raz pierwszy ów plan bitwy został (w pewnej części) użyty podczas wojny judejskiej, i - według L.N. Tołstoja - w zderzeniu z rzeczywistością bez reszty obnażył całą swoją nieprzydatność.

22. Jak się okazało, najtrudniej było wtaszczyć przeklęty obraz na nasze piętro. Ręce mi odpadały, spościłem się jak ruda mysz, dwa razy zgubiłem czapkę, powalałem ją całą błotem i kurzem. Podrapałem policzek o złoconą ramę. Gdzieś w połowie wspinaczki chrupnęło szkło i serce zamarło mi ze strachu, ale wszystko zakończyło się szczęśliwie. Zasapany, resztką sił przeniosłem obraz przez korytarz, wtargałem go do pokoju i oparłem o ścianę: półtora na półtora, w ciężkich ramach i pod szkłem.

Podczas gdy łapałem oddech, ocierałem pot i otrzepywałem czapkę, ledwie poruszając omdlałymi rękoma, z jadalni wynurzył się Ahaswer Łukicz - cmokając, prosto od stołu. Ze smakiem kończył coś żuć, zalatywało odeń smażoną cebulką, octem i kolendra.

- Hm-m-m - stwierdził, stając przed obrazem i wyjmując z kieszonki kamizelki wykałaczkę. - Całkiem niezłe, całkiem... Wiesz, Sierioża, to go może zainteresować. Drogo zapłaciłeś?

- Ani kopiejki - powiedziałem, odsapując. - Z jakiej niby racji! A nuż się nie spodoba?

- Jak się to wszystko razem nazywa?

- Nie pamiętam... Coś z motocyklem... Tam jest przecież napisane, na odwrocie. Tylko naturalnie po niemiecku.

Ahaswer Łukicz żwawo wcisnął się za obraz; wszedł tam cały i na wierzchu zostało jedynie wyświecone siedzenie.

- Aha... - oznajmił, na powrót się prostując. - Wszystko jasne. *Das Motorrad unter dem Fenster am Sonntag morgen*. - Popatrzył na mnie z miną egzaminatora.

- No, motocykl... - wybąkałem - w słoneczny ranek... Chyba pod drzwiami...

- Nie - powiedział Ahaswer Łukicz. - To malowidło jest zatytułowane *Motocykl pod oknem w niedzielny poranek*.

-

Nie sprzeczałem się. Jakiś czas w milczeniu przyglądaliśmy się obrazowi.

Obraz przedstawiał pokój. Okno było otwarte. Za oknem, jak można się domyślić, poranne słońce. W pokoju znajdują się: po lewej - rozbebeszone łóżko z nienormalną liczbą poduch i pierzyn; po prawej - poczwarna komódka z wysuniętą szufladą, na komórcie widać masę porcelanowych bibelotów. Pośrodku - człowiek w bieliźnie. Przedstawiono go w osobliwej pozie, najwidoczniej podkrada się do okna. W prawej ręce, wyciągniętej do tyłu, w stronę widza, zaciska granat ręczny. I tyle. Podsumowując, rzecz jest jasna: alegoryczna scenka na temat: "Strzeż snu swych współobywateli".

- Ze wszystkiego najbardziej powinien mu się spodobać granat - z przekonaniem oświadczył w końcu Ahaswer Łukicz, operując na całego wykałaczką.

- "Cytrynka" - powiedziałem bez szczególnego przekonania. - Jak mi się wydaje, dawno już je u nas wycofano z wyposażenia.

- Zgadza się, "cytrynka" - potwierdził z zadowoleniem Ahaswer Łukicz. - Taż sama "limonka". A w Ameryce nazywają ją *pineapple*, co oznacza co?

- Nie wiem - powiedziałem, zabierając się do zdejmowania palta.

- Co znaczy "ananas" - powiedział Ahaswer Łukicz. - A Chińczycy nazywali go *szouliudań*... Chociaż nie, *szouliudań* to granat w ogóle, a jak nazywali F-1? Nie pamiętam. Zapomniałem. Wszystko zaczynam zapominać... Proszę zwrócić uwagę, ma nawet zapalnik... Bardzo utalentowany artysta. I obraz dobry...

Zostawiłem go, żeby się ponapawał dziełem sztuki, a sam wróciłem do przedpokoju powiesić palto. I w ogóle przebrałem się w domowy strój. Kiedy wróciłem, Ahaswer Łukicz nadal stał przed obrazem i przyglądał mu się przez dwie zwinięte dłonie, tak jak dzieci udające, że patrzą przez lornetkę.

- Ale, po pierwsze - powiedział - po pierwsze nie widzę motocykla. Cóż z tego, że napisze taki *dasMotorrad*, kiedy faktycznie ma tam na przykład kataryniarza. Albo, strach powiedzieć, dzieciaki z gitarą... To po pierwsze. A po drugie... - wywrócił oczy, głos zabrzmiał cierpiętniczo: - Wszystko jest statyczne!

Statyczne! Powietrze jest, światło, przestrzeni można się domyślić, a gdzie ruch? Możesz mi, Sierioża powiedzieć, gdzie się podziewa ruch?

- W kinie - odparłem na odczepnego. Bardzo chciało mi się jeść.

- W kinie... - powtórzył z niezadowoleniem. - W kinie, w kinie... A zobaczymy, jak to leci dalej!

Człowiek na obrazie poruszył się. Po tygrysiemu podkraść się do okna, kocim ruchem cisnął na zewnątrz “cytrynkę” i padł na podłogę pod parapetem. Za oknem błysnęło. Na mnie i na Ahas-wera Łukicza posypał się tynk z sufitu. Zadzwończyły szyby - w naszym oknie. A za oknem przedstawionym na obrazie buchnął dym, posypały się jakieś strzępy i błyskając wesoło w słońcu licznymi szprychami, wyleciało w górę koło od motocykla.

- O! - zakrzyknął Ahaswer Łukicz i obraz ponownie zastygł. - Teraz jest tak, jak powinno być. Jasne, że to jest motocykl. - Ponownie zrobił z dłoni lornetkę.

-1 nie motocykl w ogóle, ale motocykl marki Zundap. To był kiedyś dobry motocykl...
- Podniósł głos. - Kowalu! Ilmarine-nie! Przyjdź tu na chwilę! Zobacz, cośmy ci przygotowali... Tutaj, tutaj, bliżej... No i jak? *Motocykl pod oknem w niedzielny poranek*. Zrealizowane za pomocą granatu F-1, onże “cytrynka”, onże “ananas”. Granat niestety się nie zachował. Sam rozumiesz, jedno z dwojga: albo granat, albo motocykl. Naradziliśmy się z Sierioża i zdecydowaliśmy, że motocykl będzie ciekawszy... Prawda, że interesujący obraz?

Przez jakiś czas Demiurg milczał.

- Mogło być gorzej - burknął na koniec. - Tylko czemu wszyscy uważają go za pejzażystę? Dobrze. Biorę. Siergieju Korniejewiczu, proszę mu wydać dwieście... nie, sto pięćdziesiąt reichsmarek, życzliwie przygarnąć. Na przyszłość proszę mnie nie niepokoić, po prostu brać wszystko, co zaproponuje... Jaki on jest?

Wzruszyłem ramionami.

- Blady... Pyszczaty... Nalana twarz. Młody, na czole czarna grzywka...

- Wąsy?

- Wąsów nie ma. Brody również. Bardzo pospolita twarz.

- Twarz pospolita, malarstwo przeciętne... Nazwisko ma nieprzeciętne.

-

- A jak brzmi jego nazwisko? - drgnął Ahaswer Łukicz i nachylił się do samej podłogi, usiłując przeczytać podpis w prawym dolnym rogu. - Przecież tutaj są tylko inicjały, drogi Ptahu. Łacińskie A i S.

- Adolf Schickelgruber - mruknął Demiurg. Już odchodził do siebie w mrok. - Wątpię zresztą, czy coś wam to nazwisko mówi...

Popatrzyliśmy na siebie z Ahaswerem. Ahaswer boleśnie się skrzywił i ze smutkiem rozłożył ręce.

23. -... Trudno mi zrozumieć, Ahaswerze Łukiczu - oświadczyłem w końcu fałszywemu agentowi ubezpieczeniowemu. - Wciąż mówisz o swojej wszechwiedzy, a o co bym nie zapytał - nie pamiętasz. Imion apostołów nie pamiętasz. Gdzie stał posiłkowy pułk

Dymitra - nie pamiętasz, chociaż twierdzisz, że osobiście brałeś udział... Byłeś bibliotekarzem Joanna Groźnego, a gdzie znajdowała się biblioteka - nie możesz wskazać. Jak to mam rozumieć?

Ahaswer Łukicz wyduł dolną wargę i napuszył się.

- Cóż w tym niezrozumiałego? Wiedzieć to jedno, a pamiętać - to zupełnie inna sprawa. To, co wiem - wiem. A wiem istotnie wszystko. Ale to, co widziałem, słyszałem, wahałem i czego dotykałem - to mogę pamiętać albo nie pamiętać. Podam analogię, umyślnie bardzo prostą. Blokada Leningradu. Wiesz, że miała miejsce. Wiesz, kiedy. Wiesz, ilu ludzi umarło z głodu. Słyszałeś o Drodze Życia. Zarazem byłeś tam osobiście, ciebie samego ową drogą wywożono. No i dużo teraz pamiętasz? Ty, który tak się chełpisz swoją młodą pamięcią przed, delikatnie mówiąc, starszawym człowiekiem!

- Dobrze, dobrze, nie gorączkuj się - powiedziałem. - Tylko znowu ci się poplątało. Nie byłem w Leningradzie podczas blokady. W ogóle mnie jeszcze nie było wtedy na świecie.

24. Na dnie płytkich ciepłych mórz oraz w czystych rzekach Północy żyją dobrze wszystkim znane ze słyszenia mięczaki z gromady małży (*Bivalvia*). Mowa o tak zwanych perłopławach. Perłopławy morskie bywają wielkie - do trzydziestu centymetrów średnicy i dziesięciu kilogramów wagi. Śludkowodne są znacznie mniejsze, ale za to żyją nawet sto lat.

Ogólnie rzecz biorąc, są to stworzenia dosyć zwyczajne i niepozorne. Nie zaleca się ich wykorzystywać jako pokarmu, chyba że w ostateczności. I nie byłoby z perłopławów żadnego pożytku, gdyby nie to, że z ich muszli można robić guziki do gaci, i gdyby nie fakt, iż od czasu do czasu powstaje w ich wnętrzu (oczywiście we wnętrzu muszli, a nie gaci) tak zwana perła. Uczciwie mówiąc, pożytek z pereł jest niewielki, o wiele mniejszy niż z guzików, tak się już jednak od wieków utarło, że owe białe, różowe, żółtawe, niekiedy nawet matowoczarne kulki węglanu wapnia są cenione niezwykle wysoko i zalicza się do kamieni szlachetnych.

Perły powstają w fałdach ciała mięczaka, w najintymniejszym, można by rzec, miejscu jego organizmu. Jeżeli przez niedopatrzenie lub nieszczęśliwy przypadek dostanie się tam jakiś obcy drażniący obiekt - kłujące ziarnko piasku, jakiś okruszek, a nawet, strach powiedzieć, odrażający kleszcz-pasożyt, małż broni się, pokrywając uwierającego intruza warstwą po warstwie masą perłową - powstaje i rośnie perła. Z grubsza biorąc, jedna perła przypada na tysiąc muszli. Jeśli chodzi o perły godne uwagi - występują jeszcze rzadziej.

Gdzieś pod koniec lat osiemdziesiątych, w trakcie procesu nieustającego poszerzania

się zakresu gigantycznej superwiedzy, Jan-Ahaswer nieoczekiwanie odkrył, że pomiędzy małżami z gatunku *Pteria margaritifera* a osobnikami z gatunku *Homo sapiens* istnieje pewne podobieństwo. Tylko że to, co u *P. margaritifera* nazywało się perłą, u *Homo sapiens* owego wieku zwykło się określać jako cień. Cienie przewoził Charon z jednego brzegu Styksu na drugi. Na zawsze. Stopniowo zapełniając prawy (a może lewy?) brzeg, cienie snuły się, jęcząc i skarżąc się, tonąc w słodkich wspomnieniach o brzegu lewym (a może prawym?) Były nieśmiertelne, ale nieśmiertelnością niewartą zazdrości i dlatego cena cieni jako towaru była podówczas niezbyt wysoka. Uczciwie mówiąc, była równa zeru. W odróżnieniu od ceny pereł.

Ludziom owych czasów wydawało się, że cieniem dysponuje każdy. (Być może tak samo małże *P. margaritifera* sądzą, że wszystkie zawierają perły). Jan-Ahaswer bardzo szybko odkrył, że jest to nieprawda. Owszem, potencjalnie rzeczywiście każdy *Homo sapiens* mógł posiadać cień, ale bynajmniej nie każdy dostępował tego zaszczytu. Oczywiście niejeden na tysiąc. Częściej. Mniej więcej jeden na siedmiu-ośmiu.

Przez jakiś czas Jan-Ahaswer zabawiał się tym nowym dla siebie aspektem rzeczywistości. Nagle obudził się w nim zapal klasyfikatora i kolekcjonera. Cienie okazały się być cudownie zróżnicowane, a w owym zróżnicowaniu można się było zarazem domyślać rysunku zdumiewającej urody i harmonii, przedziwnej struktury - zmiennej i wielowymiarowej. Jan-Ahaswer zagłębił się w analizowanie owej struktury. Musiał stworzyć to, co znacznie później zostanie nazwane teorią prawdopodobieństwa, statystyką matematyczną i teorią grafów. (Odkrył dla siebie świat matematyki. Odkrycie wstrząsnęło nim).

Odkrywszy roje cieni, z początku ucieszył się tak, jak cieszy się poszukiwacz, gdy trafi na złotą żyłę.

Jeszcze nie pojmował, komu i jak będzie je dostarczał, jednakże jako człowiek praktyczny i pozbawiony litości cieszył się, iż jedyny w ekumenie dysponuje specyficznym, rzadkim towarem. Zaczął się przymierzać do zorganizowania przedsiębiorstwa handlowego. Pobudzenie społecznego zapotrzebowania na cienie. Masowy skup towaru. Stworzenie rynków zbytu w Rzymie, Aleksandrii, w Damaszku, wyjście, jedwabnym szlakiem” do Persji i dalej, do Chin... Bardzo szybko znużyło go to. Merkantylizm przeżył mu się tak, jak przeżywa się romantyczna miłość.

I wówczas nagle zrozumiał, co dla siebie odkrył i czym będzie mógł zapełnić oczekującą go wieczność. Będzie szukał, odkrywał i zdobywał coraz to nowe perły. Będzie niespiesznie, acz dogłębnie poznawał mechanizmy ich podobieństwa i wzajemnego

odpychania się, naturę ich powstawania i rozwoju; pojmie prawa ich formowania się i być może nauczy się w nie wnikać - zlewać się z nimi i zrastać. Nauczy się organizować i kształtować historię gatunku *Homo sapiens* w taki sposób, żeby hodować akurat takie gatunki i rodzaje pereł, jakie w danej chwili, w danych warunkach najbardziej go pociągają i zachwycają. Już marzył o selekcji i - kto wie? - być może o syntetyzowaniu pereł we wnętrzach muszli... Zapłonął entuzjazmem, jego przyszłość zapełniła się. Był wówczas młody i prostoduszny, wszystkie plany jawiły się mu ogromnymi, obiecującymi wszystko na świecie i nieopisanie kuszącymi. Tak w naszych czasach mały chłopczyk marzy o szczęściu zostania kierowcą śmieciarki.

Cały osiągalny na Patmos materiał wyczerpał już w pierwszym roku. Swoje pierwsze perły dostał za łyk wina, za ułamek zardzewiałego noża, za zręcznie opowiedzianą historią. Kosztowały go tanio, zresztą niewiele też były warte - drobny, pospolity, przybrudzony towarek dla początkującego dyletanta. Ale nie żałował utraconego czasu: wypracowywał technikę, poczynił pierwsze małe odkrycia w dziedzinie psychologii perłopławów, uczył się dokładnej wyceny towaru bez brania go do ręki. Nauczył się widzieć perłę poprzez skorupkę muszli. Parę razy pomylił się. Poznał gorycz i radość podobnych pomyłek.

Dawno byłby porzucił wyspę, gdyby nie Prochor.

Prochor, który stał się tymczasem suchym, żyłastym, podobnym do capa staruchem, łysym, cuchnącym, zarozumiałym, kłótliwym, zrzedliwym, wyzywająco niechlujnym - ów Prochor okazał się być nosicielem perły oszałamiającej, fantastycznej urody! Prochorowa *Apokalipsa* pełną parą krążyła już w samizdatach. Pod tytułem *Objawienie według świętego Jana* była znana tysiącom koneserów i amatorów, fanatyków i sceptyków. Pojawili się jej zażarci interpretatorzy, pojawili się też pierwsi jej męczennicy, ukrzyżowani przy drodze albo zarżnięci na placu targowym. Imię Jana stało się głośnie. Niemal każdego miesiąca na wyspie zjawiał się nowy adept, by przypaść do stóp proroka, ucałować skraj jego łachmanów i spijać mądrość z jego ust. Z reguły wszyscy oni byli nieposkromienie fanatyczni, ciemni i słyszeli jedynie to, co zdolni byli pojąć swoimi nędznymi umysłami. W istocie byli to ludzie głusi. Jan odsyłał ich do Prochora.

Prochora początkowo onieśmiewała narzucona mu rola. Później przyzwyczał się i tylko surowo poprawiał pielgrzymów, gdy ci próbowali nazywać go Janem. Po jakimś czasie przestał nawet poprawiać. Co by nie mówić, z nich obu to właśnie Prochor wyglądał na proroka.

Wszak Jan nie starzał się, dalej pozostawał krzepkim czterdziestopięcioletkiem ze zbójckimi oczami, bez jednego choćby siwego włoska w brodzie; cała jego postać nie

wyrażała niczego poza gotowością potraktowania każdego rozmówcy w dowolnej chwili bez najmniejszych ceremonii.

Mniej więcej w roku dziewięćdziesiątym Prochor popadł już w starczy marazm. Pycha zamroczyła mu rozum do reszty. W stanach zaćmienia nabrał zwyczaju nazywania Jana Prochozem, a nawet wręcz Proszką. Próbował dyktować mu swoją ewangelię, mającą przewyższyć wszystkie inne znane podówczas warianty opisanego życia Nauczyciela - ewangelię najpełniejszą, najdokładniejszą, najbogatszą pod względem ideowym. Przy czym rozumiało się samo przez się, że najbardziej naturalnym biegiem rzeczy pozostanie ona w końcu wariantem jedynym. W chwilach przeblasków Prochor płakał, usiłował lec na piersi Jana, kajał się za swą wybujałą ambicję i chciwie wypytywał o coraz to nowe szczegóły z czasów Janowego terminowania jako apostoła.

Można go było zrozumieć. Był stary. Pisząc *Apokalipsę*, wykonał wielką i wspaniałą pracę. Przywykł udawać Jana i ze wszystkiego na świecie najbardziej pragnął resztkę choćby swojego życia przeżyć nie tylko jako człowiek uznawany za Jana, ale jako prawdziwy Jan Boanerges.

Pomysłu transakcji nie trzeba było szukać daleko. Jan złożył ostrożną propozycję. Propozycja z miejsca została przyjęta. Sumienia obu uśmiechały się w zakłopotaniu. Każdemu wydawało się, że w zamian za kurę otrzymał cielaka. Rozstali się zadowoleni sobą i z siebie nawzajem - łysy, podobny do capa prorok Jan poszedł przyjmować kolejną delegację pielgrzymów z Efezu, a krzepki i agresywny Ahaswer, dzierżąc pod pachą węzełek z perłami, zszedł do przystani i kupił miejsce na pierwszym barkasie płynącym na kontynent.

Zaczynał się nowy, wędrowny okres w życiu Ahaswera, Żyda Wiecznego Tułacza, Poszukiwacza i Łowcy Ludzkich Perł.

Jakieś dziesięć lat później, przebywając w Jasribie, słynnej, pełnej perł zatoce ludzkiego morza, dowiedział się od ibn-Kutajby, wędrownego poety i świeżo upieczonego chrześcijanina, że święty Jan zwany Ewangelistą, wielki prorok i jeden z apostołów Jezusa Chrystusa, zmarł w dziewięćdziesiątym ósmym roku w Efezie.

Dręczony pragnieniem pośmiertnej sławy nienasycony Prochor nie pozwolił sobie nawet na zwyczajną, ludzką śmierć. W obecności wielkiego tłumu gapiów kazał się żywcem zakopać.

Zaprawdę, miał rację Epiktet, mówiąc: "Człowiek to dusza obciążona trupem".

25. Było ich już teraz trzech i każdy.

DZIENNIK. Już 20 lipca. Noc, 1.30.

Około jedenastej zadzwonił z dołu Wania Drozdów i zaproponował, żebyśmy się spotkali. Pilnie. Spotkaliśmy się w Taweren-ce i z marszu oświadczył: “No i koniec. Doigraliście się z waszym Nosowem”. Był skrajnie podniecony, że aż się nawet przestraszyłem. Okazało się (według jego słów), że artykuł G.A. doprowadził miasto do niezwyklej, wrogiej ekscytacji. Teraz wszyscy łakną jego krwi i za jednym zamachem pragną zetrzeć z oblicza Ziemi nasze liceum. Jako gniazdo i rozsadnik. Jutro rano możecie się spodziewać pikiet i jeszcze bądźcie wdzięczni, jeśli to będą pikiety z naszej mleczarni, u nas przecież nie ma takich kretynów jak na wielkiej płycie czy w “trzydziestce”. W żadnym wypadku nie wypuszczać na miasto G.A. samego. W pobliżu powinno być przynajmniej trzech chłopca, tylko solidnych, nie takich jak ty...

Byłby mnie już zupełnie, przyznaję, wystraszył, ale sienie dałem i oświadczyłem: “Co ty pleciesz, siejesz tylko panikę, przecież przez cały dzień chodziliśmy razem z G.A. po mieście”. “To dzisiaj chodziliście - powiedział. - Jutro już nie pochodzicie. Czy ty w ogóle masz pojęcie, co się w mieście dzieje? Słyszałeś o dziecięcej demonstracji?” Powiedziałem, że owszem, bo pomyślałem, że mowa o dzieciakach z internatu specjalnego. Ale okazało się, że nie.

Okazało się, że te bydlaki z zarządu obozów pionierskich wpakowały trzy setki dzieciaków do autobusów, zwoziły na plac przed radą miejską i urządziły ohydny cyrk. Nawiasem mówiąc, przy całkowitej aprobacie wielkiego tłumu kretynów rodziców. Dzieciom wciśnięto w ręce jakieś idiotyczne hasła, zmuszono je do wykrzykiwania idiotycznych żądań, a dookoła szalały nasze waleczne dzielne zuchy rwące się do bicia szyb w budynku miejskiej rady. Wszystko to Wania widział na własne oczy, ponieważ stał w kordonie i wszelkimi sposobami owe dzielne zuchy mitygował.

Pandemonium trwało ze dwadzieścia minut, a później jak huragan przygalopowała na swojej “zero czterdzieście trójce” ślicznotka Riwa i rozegnała wszystkich na cztery wiatry. Dzieciaki raz dwa powieźli do Centrum Taszlińskiego na najnowszy odcinek *Termokratora*. Rodzice zostali zgromieni i rozgromieni, dzielne zuchy rzuciły się do ucieczki, a całą resztą Riwa z miejsca zwolniła. Został tylko kordon. Postał, poczekał i wrócił do pracy.

Opowiadanie wywołało we mnie nad podziw nieprzyjemne wrażenie. Z jednej strony oczywiście siły rozumu zwyciężyły, ale z drugiej - co za dzicz, istny XX wiek! Najważniejsze, że w żaden sposób nie mogłem zrozumieć: po co cała ta demonstracja? Czego im było potrzeba? I komu właściwie? Iwan twierdzi, że miasto jest niezadowolone z mera. Całe miasto nastawiło się na czyn społeczny, wszystko już przygotowane, a mer zwleka i

zwleka. Trzeba go, tchórza jednego, podciąć batem. No to podcinają.

“A ty co zamierzasz? - zapytałem, czując nagle przyływ nieopisanego złości. - Też się nastawiłeś na czyn społeczny? A ja uważałem cię za porządnego człowieka”. I zaraz skoczyliśmy sobie do oczu.

W niczym go nie potrafiłem przekonać - być może dlatego, że sam straciłem orientację. To jednak dosyć niezręczna sytuacja - mówisz: “Nie wolno tak postępować” - a kiedy pytają cię: “To jak trzeba?” - odpowiadasz: “Nie wiem”.

Na koniec Iwan ponuro oświadczył: “Dobra. Nie przyszedłem się kłócić. Ty wiesz swoje, ja swoje. Dokładnie zrozumiałeś to, co mówiłem o waszym Nosowie?” Odparłem, że nie wierzę w podobne bzdury. G.A. jest w mieście człowiekiem numer jeden, nie ma o czym dyskutować. Iwan zaprotestował. Nosów był człowiekiem numer jeden wczoraj, dzisiaj wyciąga ledwie na szóstkę. “Ostrzegłem cię, idioto - powiedział ponuro. - A wy róbcie, co chcecie”.

Na tym się rozstaliśmy i od razu pobiegłem do G.A. Okazało się, że w gabinecie G.A. siedzą już wszyscy. Podczas gdy ja rozmawiałem z Iwanem, G.A. zebrał ich u siebie.

Własnymi kanałami otrzymał tę samą informację i teraz instruował, jak powinniśmy się zachowywać w zaistniałej sytuacji. Spokój, opanowanie, godność. Do miasta wychodzić tylko parami. Dziewczęta eskortować. Ale! Siły używać jedynie w zupełnej ostateczności. Subaku nie stosować w ogóle. Mówić, tłumaczyć, dyskutować. Sytuacja chociaż nie jest unikalna, to jednak w naszych czasach dosyć rzadka: dyskusja z wrogo nastawionym tłumem. Nie z kolektywem, ale z tłumem. Doskonała praktyka. Nie mamy prawa przegapić równie wyjątkowej sytuacji. I tak dalej.

Wstałem i poruszyłem kwestię jego bezpieczeństwa. W końcu wrogość miasta jest przede wszystkim skierowana nie przeciwko nam, nie przeciwko liceum, ale osobiście przeciwko G.A. Ku memu wielkiemu zdumieniu G.A. z miejsca zgodził się, żeby przy wyjściu na miasto towarzyszyła mu eskorta. Zaraz jednak dodał: powinniśmy wiedzieć i pamiętać, że nie tylko on, G.A., ale i nasze liceum jako placówka specyficznego typu już od dawna jest solą w oku pewnej części biurokracji miasta. Dlatego w przyszłych dyskusjach powinniśmy być gotowi bronić prawa naszego liceum do istnienia - prawa i obowiązku. “Że ja znalazłem się na celowniku, to pół biedy, prawdziwe nieszczęście polega na tym, że ktoś wykorzysta sytuację, by wystawić do odstrzału nasze liceum i cały system liceów pedagogicznych w ogóle”.

(UWAGA PÓŹNIEJSZA. Przypominam: akcja toczy się w roku trzydziestym trzecim. W roku następnym zapadnie zły sławy postanowienie Akademii Nauk Pedagogicznych o

połączeniu systemu liceów z systemem PSP. W rezultacie załamał się długofalowy rządowy program utworzenia nowoczesnej bazy przygotowującej wysoko kwalifikowane kadry pedagogiczne. Cicha wojna podjazdowa mająca na celu zlikwidowanie systemu liceów toczyła się od końca lat dwudziestych. Podstawowy zarzut stawiany liceom: są one sprzeczne z demokracją socjalistyczną, przygotowują bowiem nauczycielską elitę. W rzeczywistości za antydemokratyczną uznano samą zasadę przyjmowania do liceów - zasadę naboru dzieci o wyraźnych predyspozycjach pozwalających przypuszczać - z dużą dozą prawdopodobieństwa - że rozwiną się w talent pedagogiczny. Liceum taszlińskie okazało się jedynie pierwszą ofiarą ówczesnej Akademii Nauk Pedagogicznych).

Później rozmowa przerzuciła się na artykuł. Wyszło na jaw, że każdy odebrał go inaczej. Ale najbardziej "inaczej", jak zwykle, odebrał go nasz Askoldzik. Oświadczył, że artykuł był wielkim błędem G.A. Nie podważając w najmniejszym stopniu głównych tez artykułu, tez, z którymi w pełni się zgadza, pragnie jednak podkreślić, iż G.A. wystąpił jako poeta i socjolog, podczas gdy (według Askoldowego mniemania) potrzebne było wystąpienie pedagoga i polityka. W rezultacie zamiast uśmierzyć rozpętany żywioł, G.A. jeszcze bardziej go wzburzył.

G.A. zaprotestował, że nawet mu do głowy nie przyszło cokolwiek uśmierzać, postawił sobie zadanie całkowicie odmienne - nakłonić do myślenia ludzi, którzy są w stanie myśleć.

W odpowiedzi rozzuchwalony Askold stwierdził, że również i tego zadania G.A. nie wypełnił. Udało mi się obrazić swoim artykułem całe miasto, nieomal każdego porządnego obywatela, tak że chociaż, być może, dziesięć osób w mieście zaczęło się zastanawiać, ale za to dziesięć tysięcy jedynie ostatecznie się rozjuszyło.

G.A. nie spierał się z nim. "Dziesięciu myślących to wcale nie tak mało - powiedział pojednawczo. "Daj Boże każdemu z was w ciągu całego życia skłonić do myślenia dziesięć osób. Nie do tłumu winienesz mówić - ciągnął, z ironiczną powagą podnosząc głos - ale do tych, z którymi idziesz jedną drogą. Wyrwać ludzi ze stada, oto po co przyszedłeś. Skąd to?" Nikt nie wiedział i G.A. odparł: "Nietzsche. Był wielkim poetą. Ale nie miał szczęścia do wielbicieli".

I kazał nam wszystkim iść spać.

20 lipca. 11.00.

Trzymają nas w oblężeniu.

O siódmej rano poderwał nas na nogi dziki ryk, szczęk, łomot - jednym słowem ogłuszająca kakofonia. Rzuciłem się do okna. Wzdłuż całej fasady rozciągnął się tłum

elegancko ubranych pawianów. Nasze dzielne zuchy. Pewnie ze dwieście osób. Wszyscy przybierają dziwaczne pozy, wszyscy wymachują kończynami i niedosłyszalnie na nas pokrzykują. Każdy ma włączony na całą moc funken. Przytaszczyli jeszcze poza tym z dziesięć stacjonarnych kolumn po sto watów każda. Wszystkie kolumny również pracują na pełny gaz. Popatrzcie no - nie polenili się! Nie polenili się i przywlekli kolumny, nie polenili się i wstali bladym świtem, nie polenili się i namalowali plakaty. Na plakatach: Nosów, WYNOCHA Z MIASTA! PRECZ ZE SZLACHECKIM GNIAZDEM! LICEALIŚCI, WSTYD! POWINNIŚCIE BYĆ Z NAMI! Pyski spocone, nalane, włosy na sztorc jak u dzikusów, gęby szeroko pootwierane, ale co wykrzykują, nie słychać - z powodu muzyki.

Pomiędzy nimi a liceum stoją w rzadkim kordonie wzdłuż chodnika chłopaki z miejskich patroli. (Nie bez zadowolenia rozpoznałem wśród nich Sieriożkę Sieńko, Renata Gittaulina, Rein-hardta Hansena z biologii i - ze szczególnym zadowoleniem - mojego drogiego Iwana Drozdowa). Nie wiem, jak się dogadali z naszymi dzielnymi zuchami, ale tamci nie podchodzą do nich bliżej niż na dwa kroki. Dopiero po chwili dostrzegłem stojące na uboczu dwie "dyskoteki" i grupkę milicjantów. Ponurych. Wyraźnie nie podoba im się to, co się dzieje. Koszta demokracji.

Z początku wszystko wydawało mi się raczej zabawne. Później, kiedy zapoznałem się z hasłami, doznałem ostrego ataku najzwyczajszej irytacji. Ale strachu nie było z początku wcale, pamiętam to dokładnie.

Jednak w pięć minut później przyszło mi wziąć udział w niełatwej operacji kielźniania i studzenia zapałów naszego Askolda. Jako prawdziwy superman i mistrz miasta w subaksu pobielał na twarzy, wysunął do przodu szczękę i ruszył niczym czołg schodami na dół do wyjścia - robić porządek. Przepelniony stalową nieugiętością, bezlitosną konsekwencją i absolutną bezwzględnością. Dziewczęta uczepliły się go z piskiem, ale nawet ich nie zauważył. Musiałem więc i ja wspomnieć młode lata, i dopiero we trójkę zdołaliśmy najpierw przyhamować, a w westybulu ostatecznie wystopować jego niepowstrzymany pęd. Na Askoldowe policzki powrócił rumieniec. Przeprosił nas za swoją zapalczywość i wszyscy ruszyliśmy do G.A.

Dopiero wtedy mnie dopadło. Ni z tego, ni z owego moja wyobraźnia nakreśliła obrazek, jak to Askoldzik wyrywa nam się, wdziera w tłum - i co się wówczas zaczyna? Wtedy dopiero zrozumiałem, że nic zabawnego się nie dzieje, że wszystko wisi na włosku i wystarczy, by włoszek pękł, a fala bestialstwa zaleje i nas, i chłopaków z patroli, i milicję - i chodzi nie tylko o to, że rzucą się na nas bestie, ale również o to, że sami zezwierzęcimy.

(Straszną rzeczą jest puszczona samopas wyobraźnia. Jestem pewien, że właśnie ona zwiodła Askoldzika. Wejrzał w okienko, zobaczył rojenie się bestii i strach go ogarnął, ale jako superman poleciał wybijając klin klinem - i z każdym krokiem ku wyjściu sam coraz bardziej zamieniał się w bestię).

Kiedy szliśmy do G.A., wyjaśnili mi, że, jak się okazało, liceum jest puste. Nikogo oprócz nas w budynku nie ma. Ani kucharza, ani bibliotekarki, ani dyżurnego nauczyciela - nikogo. Tylko Serafima Pietrowna się nie wystraszyła. W tajemniczy sposób zniknął nawet nocny stróż. Widocznie dał drapaka kuchennym wyjściem.

G.A. zszedł nam na spotkanie. Był dokładnie taki sam jak zawsze. Nastąpiły polecenia. Zojka i Askold - do kuchni, przygotowywać śniadanie i za jednym zamachem obiad. Serafima Pietrowna już tam jest, bądźcie pod ręką. Reszta ma się zająć swoimi sprawami. A propos - gdzie się podziewa nasz de Saavedra?

De Saavedra akurat się pojawił. Okazało się, że przez cały ten czas tkwił na dachu i filmował na wideo oblężenie - niestety bez akustyki. Wyglądał zabawnie - potargany, w samych spodenkach i z kamerą jak z automatem na pasku. G.A. popatrzył na niego z uznaniem i kontynuował: do okien dobrze by było się nie zbliżać. To znaczy, jeśli zmusza ciekawość, oczywiście, można podejść, ale nie pokazywać przy tym języków, nie stroić głupich min i w ogóle unikać alegorycznych gestów. Szkoda szyb.

Rozeszliśmy się na posterunki. Poczta pneumatyczna działa. Przejrzałem gazety. Ze wstrętem, muszę przyznać. Mimo wszystko nie spodziewałem się równie powszechnego wybuchu złości i wrogości. W ryzach trzymała się tylko "Taszińska Prawda". Wszystkie nasze pozostałe gazety syczały i pluły jak poparzone koty.

Działalność nie do pogodzenia z zaszczytnym tytułem zasłużonego pedagoga... Głoszenie fałszywych twierdzeń przeczących najwyższym ideałom socjalizmu... Trujące szerzenie proklamowania (szerzenie proklamowania!) miru pomiędzy pracą a próżniactwem... Pretendowanie do roli jakiegoś guru głoszącego nową religię, szerzenie punktów widzenia ideowo rozbrajających budowniczych komunizmu... Wyroki: zakazać działalności pedagogicznej; zesłać na emeryturę; w ciągu dwudziestu czterech godzin usunąć z miasta - zgodnie z ustanowionym trybem administracyjnej deportacji...

Oczywiście najbardziej szaleją nasi ubóstwiani krzykacze. Ale tylko niewiele w tyle za nimi pozostają jaśnie podinspektorzy wydziału oświaty, młodzieżowi wodzowie, prodziekani i w ogóle wszelkiej maści kadrowcy. Jest trochę robotników z "trzydziestki", dwóch majstrów wychowawców z "wielkiej płyty", a nawet jakichś trzech niejadków, widać śmiertelnie wystraszonych kalibrem zdarzeń. I już zupełnie ni z juszki, ni z pietruszki - komendant

wojskowy.

Co charakterystyczne: Rebeka nie zabrała głosu. Milicja zachowała milczenie. Miejska rada praktycznie się nie wypowiedziała. Odnosi się wrażenie, że cały ten ryk i wrzask to rzeczywiście głos ludu. Widocznie G.A. swoim artykułem trafił w najboleśniejczy punkt - nie mam nawet pojęcia w jaki. O Florze prawie ani słowa. Jak gdyby całkiem o niej zapomniano. Nawet mi przyszło do głowy, że może G.A. umyślnie wystąpił z artykułem, żeby ściągnąć ogień na siebie. Żeby zostawili w spokoju Florę, a wyładowali się na nim.

W kilku gazetach napotkałem niezrozumiałe aluzje. Czy wolno nam powierzać przygotowanie przyszłych pedagogów człowiekowi, który okazał się równie bezradny w swoich własnych prywatnych sprawach? Czy nie należy przypuszczać, że wzruszająca troska o rozpróżnioną Florę jest powodowana racjami zupełnie osobistymi, nader odległymi od filozofii, socjologii czy pedagogiki? I znowu: czy G.A. Nosów nie powinien najpierw uporać się z własnymi prywatnymi sprawami, a dopiero potem zabierać się do ogólnospołecznych?

Pokazałem te miejsca Michelowi. Spojrzał na mnie dziwnie i zapytał:

“Ty co - nie wiesz, czy jak?” Nie wiedziałem. “Jak urośniesz, to się dowiesz, Iga” - burknął Michej, a ja nagle zrozumiałem, że nie chcę się dowiedzieć. To jakieś świństwo, pal je lichu!

Hurra! Nareszcie nasz Taszlińsk trafił do prasy centralnej. Nie mogę odmówić sobie satysfakcji - cytuję dosłownie z “Izwestii”:

Taszlińsk, 19 lipca. Dwa miesiące przed terminem w taszlińskim kombinacie mleczarskim imienia Jemieliana Pugaczowa uruchomiono zautomatyzowaną linię do produkcji wysokiej jakości bryndzy... I tak dalej.

A my, durnie, przejmujemy się!

Daje się odczuć wyraźna ewolucja dolatujących z zewnątrz dźwięków. Początkowo była to po prostu wściekła kakofonia. Później tamtym znudziło się (widać sami ogłuchli) i zaczęli się zabawiać: gromkimi głosami czytali wybrane urywki z dzisiejszych gazet. Również to się znudziło. Zaczęli pajacować: “Uwaga, uwaga! Za pięć minut budynek liceum zostanie wysadzony w powietrze! Wszystkim znajdującym się w środku proponujemy kapitulację. Wychodzić bez broni, pojedynczo, w odstępach co trzydzieści sekund, z rękami na karkach. Jako pierwszy wychodzi Nosów we własnej osobie...” W tym miejscu spikera ostatecznie skręca paroksyzm śmiechu i okolica wypełnia się gromkim parsaniem i kwikiem. To również im się znudziło i teraz puszczają Dżichangira. Parę “sprzęgów” ruszyło w płąsy.

Askold naprawił megafon i zaproponował G.A., żeby zabrał głos. “Żeby nie myśleli, że stchórzyliśmy i kryjemy się”. G.A. odparł twardo: “Nie. Wszystko mi jedno, co myślą. Nie

lubię ich teraz. Nie chcę z nimi rozmawiać”.

REKOPIS OZ (23-25)

26. Było ich już teraz trzech i każdy miał swój gabinet. W gabinecie każdy spał, przyjmował pokarm oraz gości, tudzież pisał memoranda, raporty, instrukcje, zalecenia, uwagi i podania. Każdy poza tym miał swój stolik w kuchni.

Gabinet Kołpakowa był jasny, czysty i pusty. Piotr Piotrowicz miał skłonność do ascezy. Biurko z dwiema akuratnymi paczkami broszur i informatorów. Metalowa szafka pancerna na prawo od biurka. W kącie za skromnym parawanem skromne składane łóżko zasłane szarym wełnianym kocem. U wezłowania prosta nocna szafka, na niej Biblia w wydaniu Patriarchatu Moskiewskiego. Proste, nawet wręcz prymitywne krzesło przy biurku i dwa takie same prymitywne krzesła pod ścianą naprzeciwko biurka.

Gołe ściany: żadnych portretów ani obrazów. Skromność i godność. Trzeźwość i celowość. Umiarkowanie i akuratność. I walizka z najwykleszym barachłem - pod łóżkiem.

Natomiast Parasiuchin był apologetą niepoahowanego luksusu. Spieszyło mu się do życia. Dorwał się. Z mojego Pokoju Przyjęć Marek Markowicz wytaszczył (sam, osobiście, oblewając się potem, ciężko dysząc i sapiąc, a od czasu do czasu nawet popierdując z nieludzkiego wysiłku): połowę cudacznego, niewiarygodnego łoża; dwa kolorowe telewizory; dwie oszklone szafki niewiadomego przeznaczenia; biblioteczką wraz z atrapami książek; gruby, ważący z półtorej tony rulon (wyjaśniło się, że są to dywany, myślałem, że pod ciężarem skona, ale udało mu się przeżyć); obraz z Zuzanną, starcami i penisem. Usiłował wytargać również fotel dla gości, ale zabroniłem mu i wówczas wyniósł fotel ze stalowym szpikulcem. Z szafy na ubrania zarekwirował i zabrał: płaszcz ortalionowy (brudny), trzyczęściowy męski garnitur (nowy, o trzy numery za mały), kosmate męskie palto (jedno), męskie koszule rozmaitych rozmiarów (dwanaście, tuzin), damskie biustonosze różnej numeracji (siedem sztuk)... Zwinął mi mnóstwo rzeczy, w końcu miałem dosyć spisywania i tylko pilnowałem, żeby nie doprowadził czegoś z narzędzi pracy.

W rezultacie gabinet Parasiuchina olśniewa przepychem niczym sklep komisowy. Dywany. Wykwintne kapy. Wielkie biurko z wielkim kompletem przyborów piśmiennych; na jednej ścianie - Zuzanna w ciężkich złożonych ramach, na drugiej - portret błogosławionego Adolfa, przyozdobiony dębowymi liśćmi i czarną wstęgą z mory na znak wiecznej żałoby po wielkim człowieku; nad szykownym łóżem - nieśmiertelne dzieło pędzla wielkiego człowieka *Das Motorrad unter dem Fenster am Sonntag morgen*. Fotel ze szpikulcem Marek Markowicz zaadaptował dla gości: na szpikulce połóżł pokrywę od deski klozetowej, a na pokrywę - jasiek z wyszytą dewizą KTO RANO WSTAJE, TEMU PAN BÓG DAJE. W najdalszym kącie stoi

wielkie staroświeckie, miejscami pociemniałe lustro - Marek Markowicz powtarza przed nim swoje przysze mowy. Patos i akuratność. Nordyckie rozleniwienie i niewzruszona pewność siebie. Słowiańska rozlewność i aryjski *gemütllichkeit*. I zapaszek jak w burdelu.

Natomiast gabinet albo, ściślej mówiąc, lokal Matwieja Mątwej ewicza Herszkowicza (Mordechaja Mordechaj ewicza Her-szensohna) stanowił typowe wnętrze mieszkalne samotnego emeryta dzielnicowej kategorii. Stale i intensywnie czuć w nim było kroplami nasercowymi i jedzeniem z poprzedniego dnia. Na parapecie wiecznie piętrzyły się garnczki, naczynka i specjalne słoiczki - Matwiej Matwiejewicz nigdy niczego nie zostawiał w kuchni w obawie, że ktoś mu podrzuci do rosołu coś nieko-szernego (nie żeby był taki bardzo religijny, ale całe życie spędził w zbiorczych mieszkaniach, a to, jak wiadomo, zostawia swoje piętno).

Jeśli wchodząc, dostrzeżliście, że w lewej połowie pomieszczenia podłoga lśni wypastowana, na aptecznej szafce nie ma pyłka, a flaszeczki z lekarstwami stoją starannie uporządkowane;

lustro szafy na ubrania jest świeżo umyte, fikus w kącie starannie podlany, a nawet zroszony specjalnym rozpylaczem - to w prawej połowie pokoju obowiązkowo łóżko będzie paskudnie rozbebe-szone, krzesło postawione do góry nogami na stole, z nieapetycznie otwartego wielkiego dziadkowego kufra będą wyłaziły jakieś liliowe flanelowe obiekty, a podłogę będą zaścielać zmięte papierki, porozsypywane pinezki i wyschnięte wkłady do długopisów. Zaś pośrodku tego wszystkiego będzie sobie siedział na kąpielowej ławeczce rozczochrany i pełen entuzjazmu Matwiej Matwiejewicz, któryś z kolei raz czytając z rozkoszą powieść *W imię ojca i syna*.

Jest w tym cały Matwiej Matwiejewicz. Nigdy mu nie wystarcza siły woli i motywacji, by sprzątnąć pokój od A do Z. Matwiej Matwiejewicz jest teoretykiem. Jest wielkim moralistą-teoretykiem. W teorii jest człowiekiem bezlitosnym, okrutnym, nieugiętym i bezgranicznie mściwym. Niczym sam jego Jahwe. Oko za oko, ząb za ząb. Kto podniósł miecz, niechaj od miecza zginie. Jeżeli wróg wszczyna wojnę, należy go zniszczyć. Zemsta jest moja i tylko moja... Wydawałoby się, że wystarczy dać mu wolną rękę, a pół świata przemocy legnie w dymiących zgliszczach. Ale brak mu w dążeniach do celu konsekwencji, niechaj ją licho porwie. Przeszkadza, niech ją diabli, wrodzona dobroduszość oraz wrodzone przekonanie, że dwóch dorosłych ludzi zawsze jest się w stanie ze sobą dogadać. Dlatego u Matwieja Matwiejewicza nigdy nie dochodzi do przejścia teorii w praktykę. Myślę, że gdyby choć raz w życiu udało mu się zrealizować jedno choćby ze

swoich straszliwych haseł, śmiertelnie by się wystraszył, a może nawet w ogóle umarłby z żalu, że tak nieładnie potoczyły się sprawy.

Jest jednym z owych wspaniałych Żydów będących w stanie wywołać atak ostrego antysemityzmu u samego rabina Meira Kahane, albo nawet u teoretyka syjonizmu, Teodora Herzla. Zjawia się rano w kuchni i niewyspanemu, skacowanemu i wściekłemu Parasiuchinowi zaczyna namolnie tłumaczyć, że niemal się już dogadał z wdową z domu naprzeciwko i będzie się u niej stołował. Pięć rubli dziennie, no i co? To niedrogo. Obiad i kolacja, a śniadania będzie jadał tutaj. Zawsze ma możliwość kupienia świeżych jajeczek i innego nabiału. W końcu, jeśli mu będzie mało, zawsze może dokupić. Niech inni biorąjka po rublu trzydzieści. Widzę, na przykład, że pan płaci zawsze rubel trzydzieści. A ja mogę kupować po dziewięćdziesiąt kopiejek i będą lepsze niż pańskie. Pańskie mają popękane skorupki, a moje będą całe, wyśmienite jajeczka. Pan jest młody, nie rozumie, że najważniejszą rzeczą jest zorganizowanie aprowizacji...

Kto byłby w stanie coś podobnego wytrzymać? Co najwyżej Piotr Piotrowicz Kołpaków. Stoi na wpół odwrócony do Matwieja Matwiejewicza, uśmiecha się uprzejmie i akuratnie gotuje sobie w rondelku mleko. Widać dogłębnie i starannie rozmyśla nad kwestią, do jakiej grupy zaliczyć Matwieja Matwiejewicza. Do ziarna czy do plew? Do owiec czy kozłów? Wyniszczyć go w zaplanowanym Armageddonie czy na odwrót, wywyższyć?

Zaś skacowany, niewyspany i wściekły antysemita Parasiuchin oczywiście nie wytrzymuje. W kuchni robi się czarno jak w osławionym liście znanego pisarza do nie mniej znanego historyka.

Jednakże w odróżnieniu od znanego historyka Matwiej Matwiejewicz (Mordechaj Mordechujewicz) nie rozumie ani eufemizmów, ani aluzji, ani literackich reminiscencji. Wychwytuje jedynie ogólną myśl - że świat zapełnili głupi, wyrachowani ludzie, wszędzie szerzy się złodziejstwo, po znajomości można dostać wszystko, a bez znajomości człowiek jest niczym - zwłaszcza jeśli nie był w stanie należycie się urządzić w kwestii aprowizacji.

Żwawo podejmuje i rozwija ową ideę, a wówczas przykuty do kuchenki gazowej koniecznością mieszania owsianki i przez to pozbawiony nawet możliwości ucieczki Marek Parasiuchin zatyka uszy i wydaje z siebie uświęconą wiekami, płynącą spod serca nieprzytomną skargę: "O mój Boże! Nie ma przed nimi ratunku! Gdzie nie spojrzysz, wszędzie ich pełno!"

Prostoduszny Matwiej Matwiejewicz zawczasu kiwa głową, gotów zgodzić się z tym stwierdzeniem, ale oto w kuchni pojawia się nieco rozczochrany po kąpieli pod prysznicem Ahaswer Łukicz. W prawej ręce filiżaneczka kawy, w lewej - herbatnik, a na ustach

nieśmiertelne: “Jeśli w kranach wody braknie, znaczy Żydzi ją wypili...”

Następuje podwójna eksplozja. Parasiuchin wybucha, ponieważ w głupawej przyśpiewce Ahaswera Łukicza dostrzega złośliwy atak na sprawdzone przez wieki, dogłębnie uzasadnione teoretycznie i jak najbardziej aktualne wnioski i wywody w wiadomej kwestii. Matwiej Matwiejewicz natomiast wybucha, ponieważ jest doszczętnie pozbawiony choćby najbardziej elementarnego poczucia humoru i w głupawej przyśpiewce dopatruje się niedwuznacznej i oczywistej obrazy swojej godności narodowej. Duet:

- Nie ma w tym nic śmiesznego, Ahaswerze Łukiczu! Dziwne, że pan, przy pańskim doświadczeniu, przy pańskiej wiedzy, usiłuje się wykręcać dowcipami, gdy chodzi o groźbę dla całej słowiańskiej cywilizacji!! Przecież jest pan rosyjskim obywatelem! Co pan w tym widzi śmiesznego? Owszem, wypili! Jeżeli brakuje wody, to znaczy, że właśnie tamci ją wypili! Dosłownie albo w przenośni! I nie ma w tym nic śmiesznego!...

- Co znaczy - Żydzi? Co z tym majążnowu wspólnego Żydzi? Czemu niby u was wszystkiemu i zawsze winni są Żydzi! Jak panu nie wstyd, Ahaswerze Łukiczu? Sam pan jest przecież starożytnym Żydem! I skąd panu przyszło do głowy, że nie ma wody? Woda jest, proszę bardzo! Niech pan sobie pije! Odkręci kran i pije!...

Piotr Piotrowicz Kołpaków uśmiecha się tajemniczo, rozmyślając, do jakiej grupy powinien zaliczyć Marka Parasiuchina. Ahaswer Łukicz promienieje. Kuchnia napełnia się aromatem przypalanej owsianki. W tym momencie wchodzi ja i powstrzymując się ostatkiem sił, pytam:

- Słuchajcie, który ciągle nie spuszcza wody w klozecie? Złapię kiedy, wezmę za kark i wetknę nosem w sedes!...

Zbliża się XXI wiek. Zbiorcze mieszkanie. Smętek. I nad tym wszystkim - wypisane czarnym flamastrem na białych kafelkach kuchennej ściany memento:

LOSCIATE OGNI SPERANZA⁴.

Co mnie tutaj trzyma? Na co jeszcze liczę? Dlaczego dawno nie uciekłem?

Coś jeszcze mnie trzyma. Na coś liczę. I na coś jeszcze czekam.

W ogóle ostatnimi czasy dzieją się ze mną dziwne *rzeczy*. Widocznie tak się z wszystkimi tymi ludźmi zżyłem i w takim stopniu przesiąknąłem atmosferą naszych pogańskich cudów, że nieomal na własne oczy mogę obserwować któregokolwiek z nich w dowolnym momencie i przez wszelkiego rodzaju ściany.

Na przykład teraz. Proszę bardzo. Piszę w swojej klitce, a wiem dokładnie, że oddzielony ode mnie czterema ścianami Parasiuchin siedzi na swoim wytwornym łożu razem

z przyprowadzoną z balangi dziwką. Nie słyszę jego słów, jednak skądś wiem, że opowiada jej o wyższości autentycznych aryjskich (a zwłaszcza słowiańsko-aryjskich) organów płciowych nad tymiż organami dowolnego *untermenscha* - czy to skośnookiego Azjaty, czy też (szczególnie) jakiegoś parchatego semity. Dziwka jest niemłoda, zmęczona; pali długiego szwedzkiego papierosa i słucha jednym uchem. O organach płciowych wie wszystko.

Mamy dzisiaj szesnasty listopada. Znowu. I znowu to samo błocko na jezdniach i padający z szarego nieba ni to deszcz, ni to śnieg.

A może to zaczyna się we mnie wykluwać Superwiedza, przemieniając mnie w nowego Ahaswera?

27. Rozmowa zaczęła się od tego, że stanął przede mną rozpromieniony niczym talerz czerwonego kawioru pod tysiadcwa-towym żyrandolem Ahaswer Łukicz i z lekkim ukłonem wręczył czasopismo w znajomej okładce. Był to najnowszy numer "Astro-physical Journal". I przynajmniej w połowie numer był poświęcony moim "gwiazdny cmentarzyskom".

Gunn, Mayer i Ishikawa, jeden niezależnie od drugiego, przeprasali za nieścistości, których dopuścili się w swoich poprzednich publikacjach na ten temat i jeden przez drugiego informowali o obserwacjach potwierdzających najrozmaitsze następstwa efektu przewidzianego przez doktora Manochina. Zrobił swoje wystrzelony w początkach listopada "Eol".

Nie pozostając ani o cal w tyle, Siemion Biriulin, korzystając z informacji naszego "Promienia" potwierdzał moje "cmentarzyska" na falach milimetrych i teoretycznie przewidywał, jak ten efekt będzie wyglądał na falach submilimetrych. I zaraz Car-penter potwierdzał, że na submilimetrych tak, a nie inaczej właśnie to wygląda. Poza tym duży artykuł metodologiczny De Pragu-esa... i jeszcze dwa listy jakichś nieznanymi Chińczyków... Dziwna rzecz, wszystko to przyjąłem z absolutną obojętnością. Jak gdybym ani teraz, ani nigdy nie miał z tym nic wspólnego. Jak gdyby nigdy nie dręczyły mnie wyrzuty sumienia, wstyd, strach przed publiczną hańbą jak gdybym w swoim czasie nie zdecydował się na niesamowitą, poniżającą i dziwaczną służbę tylko po to właściwie, żeby przekartkować podobny numer "Astrophysical Journal" albo choćby jedynie "Astronomical Letters".

Ileż razy sobie wyobrażałem, jak chciwie go będę przeglądał - pozerając wzrokiem, upajając się złośliwą ulgą i zaspokojoną próżnością. A oto teraz obojętnie, zupełnie bez zainteresowania kartkowałem zeszyt i myślałem raczej o tym, że urwał mi się i wpadł do umywalki guzik od mankietu, i teraz będę musiał wlec się w taką pluchę do Galanterii po jeden guzik...

⁴ "Porzućcie wszelką nadzieję". Z Dantego (*Boska komedia*. "Piekło" 3,9). Napis nad bramą piekieł.

Kiedy podniosłem wzrok na Ahaswera Łukicza, dostrzegłem, że odświętny blask na jego obliczu w znacznym stopniu przygasł. “Co z tobą, gołąbeczku?” - zapytał z żalem i wyrzutem i z miejsca począł mi czynić wymówki.

Czy wiem, ile wysiłku kosztowało jego, Ahaswera Łukicza, nakłonienie wiadomej osoby do zaspokojenia mojego naukowo-badawczego kaprysu? Czy mam pojęcie, jak straszliwego napięcia wymagało od wiadomej osoby najpierw zrozumienie zadania, a następnie zorientowanie się we wszystkich szczegółach mojej całkowicie obcej i nieciekawej mechaniki?

Ile padło zarzutów, ile wściekłości wylało się na głowy - i w ogóle ile przez to stracono czasu, drogiego, niepowetowanego czasu wiadomej osoby? I czy wiadomo mi, na koniec, jak blisko, jak bardzo blisko wiadoma osoba musiała się posunąć ku granicy, za którą zaczyna się absolutny niebyt - i w jakim celu? Tylko po to, żeby zmaterializować, nadać realną postać wymyślnym majakom, które spłynęły z czubka wrednego pióra kapryśnego, rozbisurmanionego teoretyka!...

O większości z wymienionych rzeczy nie miałem pojęcia, jako że w nic mnie nie wtajemniczano, tak więc pod gradem wymówek i diatryb zachowałem kompletną obojętność. Okazało się, że całkiem już zapomniałem, od czego się zaczęła niniejsza moja historia. Wszystkie moje onegdajsze uczucia zwiędły, cała gorycz wywietrzała, a trucizna wyschła - jak mawiał sir Rudyard Kipling. Gigantyczny ładunek nowych wrażeń, nowej wiedzy i nowej odpowiedzialności dosłownie wypchnął, wyrugował, wyparł ze mnie dawnego S. Manochina z jego malutkimi ambicjami,

dziecinnymi kapryсами i zupełnie mikroskopijnymi pożądaniami. W istocie dawno już przestałem być S. Manochinem. Byłem teraz mizernym lemurem na bezwzględnej służbie u niepojętego potwora; tyle że w odróżnieniu od lemurów faustowskich zachowałem świadomość, jeszcze próbowałem zorientować się w biegu zdarzeń, uprościć je sobie na tyle, bym mógł je zrozumieć, a następnie - *horrible dictu!* - wywierać na nie wpływ...

Oczywiście Ahaswer Łukicz natychmiast się zorientował w tych wszystkich moich myślach i zaraz skierował ogień reprimend na inną flankę. Jak się okazuje, od dość dawna budzę w nim pewien niepokój. Mało jem. Prawie się nie uśmiecham. Eksperyment z kobietą, który Ahaswer Łukicz przeprowadził, mając na względzie moje zdrowie psychiczne i fizyczne, zakończył się raczej niezadowolająco...

On, Ahaswer Łukicz, całkowicie rozumie przyczynę owego duchowego i fizycznego uwiąznięcia. Straciłem orientację. Straciłem wizję celów ostatecznych. A wszystko dlatego, że od

samego początku, od wielu już miesięcy, znajduję się w stanie chronicznej konsternacji z powodu świata, który nagle mnie zagarnął.

Początkowo (w zapale i na chybcika) wyobraziłem sobie, że zostałem sekretarzem, majordomusem i lokajem Antychrysta, który zjawił się na koniec na Ziemi w celu przygotowania operacji w materiałach źródłowych zwanej Sądem Ostatecznym. Owa szalona - przy całym swoim prymitywizmie - myśl zauważalnie zraniła moją psychikę zakamieniałego ateisty, jako że przedarła się do mojej świadomości w wyniku zażartej walki pomiędzy całokształtem nabytych materialistycznych poglądów z jednej strony, a żelazną logiką obserwacji z drugiej. Był to czas najpoważniejszego zagrożenia dla mojego psychicznego zdrowia, jako że konsekwentny materialista nie może bezkarnie przebywać dłużej w świecie obiektywnego bytu idealnego.

Na szczęście dalsze nagromadzenie danych obserwacyjnych (powiedzmy, pojawienie się w najbliższym otoczeniu takich perełek Stworzenia jak Marek Parasiuchin, dzielnicowy Spirtow-Wodkin i niedająca się opisać Selen Szalona) szczęśliwie zdołało zburzyć pierwotną, apokaliptyczną hipotezę. Mój rozsądek został uratowany - aczkolwiek nie na długo.

Powstała nowa hipoteza. Wiadoma osoba z absolutnie mitycznego Antychrysta przekształciła się w kogoś w rodzaju Kosmokratora,

fantastycznie potężnego, fantastycznie wszechobecnego, fantastycznie nadludzkiego - w ogóle fantastycznego, ale fantastycznego naukowo. Który to Kosmokrator zainteresował się Ziemią, stawiając sobie za cel przeprowadzenie na ludzkości jakiegoś gigantycznego (jak się nietrudno domyślić) eksperymentu, którego istota jest dla współczesnego Ziemianina (jak się nietrudno domyślić) z założenia nieosiągalna. Tak więc oto tutaj, w mieszkaniu bez numeru, zbiera ludzi i ludziska owładniętych szczegółowymi pomysłami, jak by tu najlepiej ugodzić, urazić, dotknąć nieszczęsną ludzkość. Po co? A po to, żeby Kosmokrator dał im wszystkim w przyszłości swobodę działania, a sam mógłby obserwować interesujące go reakcje ludzkości na wszystkie owe urazy, rany i tortury.

Ta właśnie bolesna wizja nieszczęsnej ludzkości powalanej na gnojowisko niedających się opisać mąk, poddawanej bezlitosnym i beznamiętnym wiwisekcjom doprowadziła mnie obecnie na krawędź rozpacz i zdesperowania, zza której to krawędzi ponownie wyłania się widmo szaleństwa.

Albowiem jednak mimo wszystko kocham ludzkość. Pomimo bezmyślnego parcia owej olbrzymiej masy człowieczej do samozagłady. Pomimo ślepego pędu owej ludzkiej

masy do zaspokajania najniższych pragnień kosztem najwyższych rozkoszy ducha. Pomimo rzek głupoty, podłości, draństwa, zdrad, przestępstw, wylewanych od tysiącleci przez ową olbrzymią ludzką masę z siebie i na siebie. I wreszcie - mimo całkowitej niewspółmierności mojej, traktowanej indywidualnie, osoby z owym potężnym zjawiskiem przyrodniczym, którego częścią pozostaję bez względu na wszystko.

Miłość, jak wiadomo, jest rzeczą złą. Rodzi zdumiewające zamiary i prowokuje kochającego do zachowań przeciwnych naturze i szlachetnych, szlachetnych nienaturalnie, wręcz obrzydliwie. O ile w moim przypadku w ogóle można mówić o logice, to jest ona następująca: skoro już Kosmokratora przypiliło, by przeprowadzić jeden gigantyczny eksperyment na milionach, to być może wygodniej mu będzie przeprowadzić miliony eksperymentów na jednej osobie? Wszak z naukowego punktu widzenia jest to jedno i to samo, co znaczy, że z naukowego punktu widzenia obie sytuacje są inwariantne. Wszystko jest tylko kwestią sztuki eksperymentatora, a w nią nie ma powodu powątpiewać. Co się zaś tyczy materiału doświadczalnego, oto macie go przed sobą, tutaj. Popatrzcie i zaczynajcie!

Przyglądając mi się ze współczuciem i podziwem zabarwionym wstrętem, Ahaswer Łukicz klaskał krótkimi łapkami i powtarzał: "Co za bezsensowna prostoduszność! Co za szlachetne kalectwo! Co za misinterpretacja wielkiego wzoru - nie z tej ziemi i nie na miejscu! Wstyd! Fanatyzm! Co za nieporadny fanatyzm!..."

Przyznaję, jednak udało mu się mnie poruszyć. Było to w najwyższym stopniu nieprzyjemne - czuć się przejrzanym na wylot, w dodatku okiem doświadczonego mikropsychologa. *Zarazem* czułem specyficzną ulgę człowieka, którego chorobę w końcu zdefiniowano i uznano za - niechby nawet ciężką, wstydliwą, brzydką - ale uleczalną. Szukałem słów, by godnie odpowiedzieć, już czułem w skroniach energiczne, spieszne uderzenia pulsu, już się we mnie budził uzdrawiający gniew, ale odpowiednich słów nie znalazłem i Ahaswer Łukicz ciągnął dalej.

Skąd się we mnie bierze owa presumpcja zła? Skąd natrętne dążenie do gromadzenia lęków i obaw, cierpień i mąk? Cóż to za infantylny masochizm? Oczywiście on, Ahaswer Łukicz, orientuje się, skąd się we mnie to wszystko wzięło. Ale przecież jednak jestem pracownikiem nauki, sama moja profesja, sam mój światopogląd powinny były zobowiązywać do szerokiego spojrzenia, rzetelnej analizy i szczególnej ostrożności wobec spraw trywialnych i dostępnych dla byle wstępnie zalfabetyzowanego idioty.

Ze względu na typ mojej umysłowości nie jestem w stanie powstrzymać się od konstruowania hipotez dotyczących całego ota-czającego mnie świata. Nie mogę żyć bez hipotez. Nie jestem w stanie. Na Boga! Jeżeli już muszę to robić, dlaczego konstruuje takie

okropne, które mnie samego wciągają w obłąd? Czemuż nie założyć czegoś dobrego, miłego, radującego duszę? Czemu na przykład nie założyć, iż wiadoma osoba, straciwszy ostatecznie nadzieję na zalanie wszechświata dobrem, postanowiła przynajmniej wybawić go od zła? Jak mi się podoba rzecz następująca: zebrać w mieszkaniu bez numeru wszystkich naj-obrzydliwszych, najbardziej bezapelacyjnych, najbardziej kategorycznych i namolnych nosicieli rozmaitego zła, a zebrawszy ich - utopić w głębinie Tuscarory? "Wszystkich utopić!" Faust. Puszkina.

W żadnym wypadku nie powinienem sobie wyobrażać, że ta hipoteza choćby w minimalnym stopniu odpowiada faktycznemu stanowi rzeczy. Ze względu na swoją rangę, swoją głębię, jest równie uboga jak dwie poprzednie. Ale czy nie widzę w niej przynajmniej jednej wyższości - wyższości optymizmu?

Nietrudno się domyślić, co mi właściwie przeszkodziło przedłożyć optymizm nad wszystkie tamte hipotezy taplające się w smętnym bloku apokaliptycznych i pseudonaukowych obaw. Oczywiście sam wygląd wiadomej osoby w żaden sposób nie sprzyja przyływowi choćby tylko nieco pogodniejszych emocji. Jej niemiała metabytowość. Jej szorstkość. Jej wzgarda dla podobnych mi. Jej napady hysterii. I na koniec - jej upodobanie do wytrzeszczania oczu, które to upodobanie nawet Ahaswera Łu-kicza przyprawia o mimowolne dreszcze...

To prawda. Ale nie mogłem przecież nie dostrzec za tym wszystkim jej ciągłego, wyczerpującego zaabsorbowania pracą. Jej wahań. Jej dręczącej, aczkolwiek wiecznie niezaspokojonej ciekawości. Wszak nie mogłem nie zauważyć na okaleczonych ramionach niewidzialnego dla mnie, niepojętego, ale wyraźnie ciężkiego krzyża. Owego jej zapominalstwa, owych dziwacznych przejęzyczeń i niezrozumiałych rozkazów... Czy jestem w ogóle w stanie pojąć, co znaczy przebywać naraz we wszystkich osiemdziesięciu z hakiem wymiarach naszej czasoprzestrzeni, we wszystkich czternastu światach równoległych, u wszystkich dziewięciu wyroczni losów! Czy jest w mojej mocy pojąć, że wszechświat jest nazbyt ogromny nawet dla niej, a czas wciąż płynie, nic, tylko przepływa - i dla wiadomej osoby, i przez nią, i obok niej...

Ahaswer Łukicz wzburzył się. Nigdy wcześniej nie widziałem go w podobnym stanie. Odniosłem wrażenie, że napawał się swoim samoponiżeniem. Słuchałem go z zapartym tchem, aż w najbardziej patetycznym momencie zagrzmiął nad nami znajomy głos pełny znajomej, poirytowanej wzgardy:

- Kuchnia! Wyciek z czwartego kotła! Znowu się iskacie pod ogonami?

28. Dzwonka nie usłyszałem. Zresztą pewnie żadnego dzwonka nie było. Zbudziła mnie niedaleka rozmowa prowadzona przez coraz to bardziej podniesione głosy. Z początku nie rozumiałem ani słowa, nie od razu nawet zrozumiałem, kto tak u nas peroruje w środku nocy - gardłowo, gniewnie, z przydechami, w zupełnie nie znanym mi języku.

Dosyć szybko skonstatowałem, że jednym z gardłujących jest Ahaswer Łukicz, a później starym zwyczajem zacząłem również rozumieć, o czym mówią - najpierw ogólny sens, następnie poszczególne słowa. Ani ogólny sens, ani poszczególne słowa, ani, zwłaszcza, podnoszący się coraz wyżej ton zdecydowanie mi się nie spodobały. Pospiesznie wciągnąłem spodnie, zdjąłem ze ściany ciężki sześciopiórowy buzdygan i wymknąłem się na korytarz.

Na korytarzu było ciemno i pusto, cała nasza kancelaria spała, ale w przedpokoju paliło się światło i dostrzegłem Ahaswera Łukicza, stojącego do mnie profilem, a twarzą, jak należało sądzić, do współrozmówcy. Zza rogu rozmówcy nie było widać; jak należało sądzić, Ahaswer Łukicz nie puszczał go za próg.

Można było się również domyślić, iż Ahaswera Łukicza wyrwano prosto z łóżka: miał na sobie beżową flanelową piżamę ze strzemiączkami przy nogawkach, znaną mi jeszcze z hotelu Stepowego. Spod koszuli wystawał róg czarnej wełnianej chusty, którą Ahaswer Łukicz opasywał lędźwie w obawie przed zapaleniem korzonków nerwowych. Nawet nie zamocował swojego sztucznego ucha, zostawił je w szklance z rżniętego szkła z agar-agarem...

Niewidzialny dla mnie wizytant gardłowo wykrzyknął coś o tym, że choć demonom zła i upadku dana jest wielka władza, ale nie jest im dane zamykać drogi szukającym miłosierdzia Miłosiernego, albowiem powiedziano: nie jest rzeczą niewolnika walczyć, jego przeznaczeniem jest doić wielbłądzice i podwią-zywać im wymiona. Ahaswer Łukicz w odpowiedzi na owo dziwne stwierdzenie już całkiem dla mnie zrozumiale oznajmił, nieomal wyśpiewał, wyraźnie cytując:

- "Rolę swoją orajcie, szukającemu miłosierdzia dawajcie schronienie, zuchwalców odpędzajcie". Czemu nie mówisz mi owych słów, Mudżdzo ibn-Muraro? A może twój nieczysty język kołowacieje, gdy ma powtórzyć słowa tego, którego zdradziłeś?

Wyszedłem do przedpokoju i stanąłem u jego boku, na widoku trzymając buzdygan. Teraz już widziałem klienta. Był nim korpulentny, rzekłbym nawet gruby, staruch w niebieskich jedwabnych szarawarach wypuszczonych na haftowane złotem pantofle o zadartych noskach. Szarawary ledwie mu się trzymały na biodrach, potężny, porośnięty siwymi włosami brzuch z wklęsłym pępkiem opadał nisko, tłuste włochate piersi zwisały jak u kobiety, a okrągłe ramiona lśniły od potu. Świeżo wygoloną kulistą głowę miał wybrudzoną

sadzami, czarne smugi rozsmarowanej palcami sadzy można było dostrzec na całym ciele, również jego poczerwiała od słońca twarz była cała w sadzy, a białą potarganą brodę plamiły ślady brudnych rąk. Czarne oczka o podbiegłych krwią białkach biegały w tę i we w tę, jak gdyby nie wiedząc, na czym się zatrzymać.

Drzwi prowadzących na klatkę schodową nie było. Zamiast nich ział wielki trójkątny otwór. Z otworu na linoleum naszego przedpokoju wysuwał się róg wykwintnego barwnego dywanu (w taki sam sposób, w jaki niedawno wraz z Baldurem Długim Nosem wpadła do przedpokoju wielka zaspą porowatego, odwilżowego śniegu). Petent stał na swoim dywanie. Albo dalej nie puszczał go Ahaswer Łukicz, albo on sam obawiał się stanąć na gładkim, lśniącym zielonym linoleum.

- Demonie zła i upadku Abu-Sumamo! - po chwili milczenia obwieścił petent. - Po raz wtóry i trzeci zaklinam cię: stoi przed tobą śmiertelnik, którego potrzebuje ar-Rahman!

- Mudżdzo ibn-Muraro - odparł, wyraźnie go parodiując, Ahaswer Łukicz. - Najnikczemniejszy ze śmiertelnych, który zdradziłeś nauczyciela i dobroczyńcę swojego plemienia, Maslamę ibn-Habiba z Al-Jamamy; po raz wtóry i trzeci odpowiadam: ar-Rahman cię nie potrzebuje!

Mudżdza ibn-Murara bezwiednie oblizał wyschnięte wargi i jak gdyby oczekując podpowiedzi, ponad opasłym ramieniem obejrzał się w mrok trójkątnego otworu.

Mrok ów, muszę powiedzieć, nie był całkowicie nieprzejrany. Tlił się w nim jakiś czerwony ogień - może ognisko, a może naczynie z żarem - w przeciągu chybotwały się płomyki kaganków i coś pobłykiwało metalicznie - jakby porozwieszana na niewidzialnych ścianach broń. W niepewnym świetle majaczyła mi jakaś biaława twarz z czarnymi, pełnymi przerażenia jamami w miejsce oczu i ust.

- Daję świadectwo: oto łzesz, Abu-Sumamo! - wychrypiał grubas, nie otrzymawszy z mroku żadnego wsparcia. - Ar-Rahman mnie potrzebuje! Jeżeli zechce, w jego imieniu zaleją krwią Egipt!

- Nie zechce - powiedział beznamiętnie Ahaswer Łukicz. - Umar ibn al-Chattab również da sobie radę bez ciebie. Zdobędzie Egipt mieczem 'Amr ibn al - 'Asy. Zresztą bez szczególnego rozlewu krwi...

- Umar ibn al-Chattab to nędzny pies i parweniusz! - wrzasnął grubas. - Został kalifem jedynie dlatego, że Prorok przez niedopatrzenie ar-Rahmana zatrzymał łaskawy wzrok na jego mizernej córce! Klnę się na ciemną noc, czarnego wilka i górskiego kozła, że poza tą córką Umar niczego nie miał, nie ma i mieć nie będzie!

- Klnę się na ciemną noc i dzielnego wilka - odpowiedział Ahaswer Łukicz - ty, Mudżdzo, nie masz nawet córki, nie mówiąc już o synach, albowiem sprawiedliwy jest ar-Rahman. Odejdź, ar-Rahman cię nie potrzebuje.

Grubas szarpnął oburącz swoją brodę. Oczy wychodziły mu z orbit.

- Nie proszę, by przyjął mnie na służbę - wychrypiał. - Błagam o litość... Nie mogę wrócić. Wiem z całą pewnością, że nie przeżyję tej nocy... Niechaj ar-Rahman pozwoli mi pozostać u swych stóp!

- Nie ma dla ciebie miejsca u stóp ar-Rahmana, Mudżdzo ibn-Muraro, zdrajco. Idź pomiędzy saluków, o ile zechcą cię przyjąć, albowiem powiedziane jest: bliższych niż my masz krewniaków - wiecznie niesytego; plamiastego o krótkiej sierści; i cuchnącą grzywiastą... Tylko że salukowie cię nie przyjmą, nie przyjmą cię nawet taridzi - za bardzo się zestarzałeś, spałeś, by kogokolwiek wprawić w drżenie...

Nie pojmowałem prawie nic z tego, co się działo. Przez cały czas wydawało mi się, iż Ahaswer Łukicz dręczy grubego starucha ze względów, że tak powiem, pedagogicznych; że teraz nauczy go rozumu, a później uda, że dał się ułagodzić, i jednak dopuści przed najjaśniejsze oblicze. Ale dosyć szybko zrozumiałem, że nie przepuści. Nigdy. Za nic.

I widać stary, gruby Mudżdża również to rozumiał. Jego wytrzeszczone oczy zwężyły się i wreszcie zatrzymały w jednym punkcie, by spopielić nienawiścią.

- Bezwstydniku, który pozwalasz się nazywać imieniem Abu-Sumamy - wysyczał, spoglądając ciężko w twarz Ahaswera Łukicza. - Poznałem cię. Poznałem cię po obciętym uchu, Nahr ibn-Unfuwo zwany Rachalem! Klnę się na gorący samum i szalonego wielbłąda, że zaraz moim jemeńskim ostrzem odrąbię ci drugie ucho!

Jego ręka o krótkich palcach gorączkowo szperała przy lewym biodrze, gdzie jednak nie było niczego poza sznurkiem od opadających szarawarów. Ahaswer Łukicz nie przeląkł się ani trochę.

- Klnę się na pusty dzban i wyssaną ze szpiku kość - powiedział z uśmiechem. - Nikomu niczego nie odrąbiesz, Mudżdzo ibn-Muraro. Tu nie Al-Jamama, uważaj, żebyś sam nie stracił ostatniego, co wisi. Odejdź precz, bo rozkażę moim ifrytom i dżinnom, by wyrzuciły cię niczym trędowatego, co wkradł się do namiotu.

Ktoś mi zasapał nad uchem. Obejrzałem się. Ifryty i dżinny znajdowały się na podorędziu. Cała brygada w pełnym składzie. Też ich pewnie pobudziły i zwabiły krzyki. Wszyscy byli w de-zabilu, nawet Selena Szalona.

Jedynie Piotr Piotrowicz Kołpaków uznał za pożądane założyć dresy z naszywką

Adidasa.

Prawdopodobnie dla średniowiecznego Araba stanowiliśmy widok dość straszny, a w każdym razie z pewnością fantastyczny. Jednak albo Mudżdza nie był podszyty tchórzem, albo na wszystko machnął już ręką i poszedł na całość, nie myśląc więcej o ratowaniu życia, a jedynie o uratowaniu twarzy. Nawet nas nie zaszczycił przelotnym spojrzeniem. Patrzył wyłącznie na Ahaswera Łukicza, coraz bardziej garbiąc się, coraz szerzej rozkładając tłuste łapska, pocąc się obficie i ciężko dysząc.

- Rachalu - rzekł, zakrztusiwszy się - jesteś parszywym włóczęgą i bezdomnym psem. Śmiesz nazywać mnie zdrajcą. Ty, który zdradziłeś samego proroka Muhammada i przeszedłeś na stronę nikczemnego Musajlimy!...

- Pamiętam czasy, kiedy owego nikczemnego Musajlimę nazywałeś łaskawym Maslamą! - wtrącił Ahaswer Łukicz, ale Mudżdza go nie słuchał.

- Tchórzliwy i niegodziwy, który rozkazałeś poćwiartować posła! Pamiętasz Habiba ibn-Zajda, którego nawet nikczemny Musajlima wypuścił w pokoju, nie ośmielając się naruszyć prawa i obyczajów? Wysłannikiem Proroka był Habib ibn-Zajd, a ty rozkazałeś go pochwytać, kiedy spokojnie powracał, i kazałeś mu obciąć obie ręce i obie nogi - ty, Rachalu, oby zęby twoje płonęły ogniem większym niżli góra Uhud!

- Jałowe są twoje słowa - oświadczył z wyższością Ahaswer Łukicz - i na próżno mnie oskarżasz. Albowiem wiesz sam doskonale: nikczemny Habib zabijał niemowlęta, zatruchiwał studnie i kalał pola. Wszystko, co otrzymało błogosławieństwo Maslamy, zatruchiwał, by zginęło. Ja rozkazałem jedynie odciąć nogi, które nosiły łotra, i ręce, które rozsypywały truciznę.

- Świadkiem jestem, że łiesz! - krzyknął rozpaczliwie Mudżdza i trzęsącą się dłonią otarł zbierającą się w kącikach ust pianę. - Wiesz lepiej ode mnie, że właśnie błogosławieństwa fałszywego proroka Musajlimy były trucizną dzieciom, ziemi i wodzie Al-Jamamy! Ty, Rachalu, niewolniku fałszywego proroka, który go zdradziłeś, przypomnij sobie bitwę pod Akrabą! Być może spali cię w końcu wstyd? Ciebie, który porzuciłeś swoje wojska tuż przed bitwą, który porzuciłeś najlepszych z najlepszych Banu Hanifa, by umierali pod szablami okrutnego Chalida. Porzuciłeś ich, i legli tam, pod Akrabą, wszyscy, wszyscy co do jednego - oprócz ciebie!

- A ty, z fałszywymi okowami na umytych rękach, beztrwosko patrzyłeś z namiotu Chalida, jak umierają bracia z twojego plemienia...

- Łiesz, ciągle łiesz! Żelazo kajdan przeżarło moje ciało do kości, łyzy wypaliły krwawe uedy na moich policzkach, ale gdy przyszedł czas, uratowałem przed okrutnym

Chalidem kobiety i dzieci plemienia Banu Hanifa, oszukałem Chalida!... Ty, który rzucasz fałszywe oskarżenia, wspomnij lepiej, dlaczego umknąłeś spod Akraby niczym ścigany przez czarny samum! Żądza cię gnała! Klnę się na czarnego wilka, żądza, żądza i jeszcze raz żądza! Dla dziewczki rzuciłeś wszystko - swojego fałszywego proroka, któremu przysięgałeś wszystkimi przysięgami przyjaźni i wierności; jego syna Szurchabila, którego Musajlima powierzył twojej wierności i mądrości; i przyjaciół swych, i swoich wojowników, którzy nawet ginąc, wołali: "Rachal! Rachal jest z nami!" Porzuciłeś ich wszystkich dla brudnej chrześcijańskiej rozpustnicy, którą sam najpierw podłożyłeś pod bezsilnego capa Musajlimę, mając nadzieję zdobyć tym sposobem jego duszę...

-

- Nie radzę ci o tym mówić - rzekł Ahaswer Łukicz takim dziwnym tonem, że przejął mnie dreszcz, jak gdyby wielki pająk przebiegł mi po nagim torsie.

Ale Mudżdza niczego już nie słyszał.

-...tyle że fałszywy miłosierny okazał się zbyt stary na twój podarunek i zostałeś z niczym - i bez jego upragnionej duszy, i bez swojej upragnionej dziewczki! Ty, Rachalu, diable u boku fałszywego proroka, najpierwszy pośród czyniących zło!

Mudżdza umilkł. Sapał, jego broda ciągle jeszcze się poruszała, jak gdyby w dalszym ciągu coś mówił i, przysięgam, uśmiechał się, nie odrywając chciwego wzroku od skamieniałej twarzy Ahaswera Łukicza. Ów tym samym straszliwym, raniącym duszę głosem powoli wyrzekł:

- Ty po prostu czujesz nadchodzącą śmierć, Mudżdzo ibn-Muraro. Tuż przed śmiercią ludzie często mówią to, co myślą; nic już nie mają do ukrycia i nie mają powodów, by dłużej się dręczyć. Widzę, że sam wierzysz w swoje słowa, i po trzykroć cię zapewniam, Mudżdzo: to nieprawda, nieprawda, nieprawda.

Wówczas Mudżdza roześmiał się.

- Liścik! - wydusił, dławiąc się śmiechem i pianą. - Przypomnij sobie liścik, Rachalu! - rechotał, krztusząc się i szlochając, a jego obwisłe piersi i brzuch trzęsły się. - Przypomnij sobie liścik, który przekazano ci w przeddzień bitwy... Pamiętasz go; widzę, że nie zapomniałeś! Słuchaj mnie więc i nie mów później, że nie słyszałeś! Twoja Sadżah naskrobała tamten liścik, siedząc na potężnym korzeniu mojego człowieka. Znasz go - to Bara ibn-Malik, gorący i szalony niczym ogier Hawazich, wykarmiony pieczoną wieprzowiną, biegły w zdobywaniu u kobiet wszystkiego, czego potrzebował. A wówczas było trzeba, by kąsany żądzą diabeł Rachal porzucił wojska Musajlimy w godzinie próby!

I zaraz potem, bez najmniejszej pauzy:

- Pozwoliłeś sobie na rzecz zakazaną - rzekł Nahr ibn-Unfuwa zwany Rachalem. - Musisz zostać surowo ukarany.

“Milicja!” - wrzasnął mi straszliwie nad uchem Matwiej Ma-twiejewicz. Zrozumiał, co zaraz nastąpi. Wszyscy zrozumieliśmy, co zaraz nastąpi. I oczywiście również Mudżdża ibn-Mura-ra zrozumiał, co się stanie. Jego ręka zanurzyła się w mrok trójkątnego otworu i natychmiast powróciła, dzierżąc miecz o szerokim wyszczerbionym ostrzu, ale Rachal dał krok do przodu, przez moment mignęła długa, wąska klinga, rozległo się dziwne cmoknięcie, czarna puciołowata twarz nad wybrudzoną brodą naraz zapadła się i poszarzała... Rozległo się chrapnięcie jak gdyby końskie i straszny plusk cieczy chlustającej na linoleum.

W tym miejscu chyba przestałem na jakiś czas kontaktować.

Cały przedpokój był zakrwawiony. Matwiej Matwiejewicz krzychał strasznym głosem. “Milicja! - wołał. - Milicja!” Z głową opartą o lustro wymiotował bez opamiętania Marek Parasiuchin... A porcelanowobiały Ahaswer Łukicz wypraszał nas odpychającymi gestami poplamionych łapek i mamrotał uspokajająco:

- Spokojnie, obywatele, spokojnie! Nic się strasznego nie stało, wszystko załatwimy. Idźcie, idźcie, sam tu wszystko posprzątam...

Exit Mudżdża ibn-Murara, namiestnik Al-Jamamy.

29. Cała ta historia zaczęła się ponad trzynaście i pół wieku temu...

DZIENNIK. 20 lipca. Godzina 13.00.

Zostaliśmy bez Michaela.

Przyjechał po niego z Nowosiergiejewki ojciec. Przez całą noc pędził samochodem jak szalony. Miała miejsce bardzo przykra scena. Michel oczywiście odmawiał wyjazdu, ale ojciec powiedział mu, że matka dostała silnego ataku (naczytała się gazet, nasłuchiwała plotek, po Nowosiergiejewce kursują przerażające plotki) i jeżeli Michel natychmiast nie przyjedzie, zwyczajnie ją tym zabije. Potężny, przystojny, z siwą głową - a oczy ma smutne, usta drżą, ręce dygoczą - nie chciałem na to patrzeć, czym prędzej się wyniosłem.

Oczywiście Michel skapitulował. Ja sam też bym skapitulował. W podobnej sytuacji poddałby się każdy. Tym bardziej że u nas nie dzieje się nic strasznego. Tłum stopniał - sprzykrzyło im się, a w dodatku nastąpiła pora obiadowa. Chłopaki z patroli już nie stoją w kordonie, zbili się w gromadkę przed wejściem i palą papierosy. Tylko milicjanci dalej tkwią na posterunku, ale wyraźnie już nie spoglądają tak ponuro jak przedtem.

Michel demonstracyjnie niczego nie zabrał. Oświadczył, że za dwa dni będzie z powrotem. Smutno bez Michela.

20 lipca, godzina 15.00.

Sprawy stoją kiepsko.

O drugiej zadzwonił dzwonek u drzwi. To zjawił się Pierwszy, a z nim jeszcze jakiś działacz w bardzo eleganckim garniturze i fotochromach. Ja otworzyłem. Pamiętam dokładnie, że już wówczas pomyślałem: Sprawy stoją kiepsko, chociaż jeszcze nie rozumiałem, że naprawdę kiepsko ani dlaczego.

Pierwszy przywitał się, przedstawił i oświadczył, że pragnie się widzieć z G.A. Poprowadziłem ich pod krzyżującymi się spojrzeniami żalonych resztek naszego garnizonu, które zbiegły się na dźwięk dzwonka. Na schodach Pierwszy raczył zażartować: “No i jak się wam żyje w oblężeniu? Szczury już wszystkie pozjadaliście?” Ja nie miałem nastroju do żartów.

Wpuściłem ich do gabinetu G.A., a sam przysiadłem w poczekalni. Dziewczęta i Askold trochę ze mną posiedzieli, a później porochodzili się do swoich spraw. Wszyscy byli nastroszeni bardzo optymistycznie. Logika: skoro sam Pierwszy złożył wizytę, to znaczy, że wszystko będzie OK.

Z gabinetu nie dochodziły żadne odgłosy. Czekałem. I im dłużej czekałem, tym lepiej rozumiałem, że nie należy się spodziewać niczego dobrego. Skoro w takiej chwili i w takiej sytuacji składa G.A. wizytę sam Pierwszy, może to oznaczać jedno: drogi Georgiju Ana-toliewiczu, cenimy pana wysoko i szanujemy do głębi, ale powinien pan dobrze nas zrozumieć... demokracja... stanowisko podstawowych organizacji partyjnych... wydziału oświaty... Komsomołu... nie wolno nam, zresztą byłoby to niemożliwe, postąpić wbrew woli całego miasta, woli wyrażonej równie jasno... oczywiście uwzględnimy wszystkie pańskie racje, mają one niezwykłą wartość, w przyszłości starannie je przestudujemy przy kształtowaniu długofalowej polityki, ale obecnie... i proszę nie zwracać uwagi na wycieczki ekstremistów... nasza kultura dyskusji jest na razie daleka od doskonałości, najpierw pan się uniósł, a teraz oni dali się ponieść... ale my wszyscy ani na chwilę nie zapominamy, że jest pan dumą naszego miasta, całego regionu, całego Związku wreszcie!...

Wszystko to wyobraziłem sobie tak wyraźnie, jak gdybym słyszał rozmowę na własne uszy. (A może istotnie słyszałem? Tyle że nie uszami. Wcześniej również zdarzały mi się podobne historie, kiedy doprowadzano mnie do ostateczności).

Kiedy wyszli od G.A., jeszcze nad sobą panowałem. Dopóki podawano sobie ręce i wymieniano pożegnalne uprzejmości, wciąż jeszcze trzymałem się. (G.A. miał taką twarz, że tylko raz na niego spojrzałem i więcej już nie patrzyłem). Hamowałem się również,

prowadząc ich głównym korytarzem i wyprowadzając na schody. I tutaj hamulce puściły (G.A. już z nami nie było, wrócił do siebie).

Niestety - a może zresztą na szczęście - słabo pamiętam, co im mówiłem. Nie ma także kogo zapytać - w pobliżu nie było nikogo z naszych. Niewykluczone, że nazwałem ich zdrajcami. Zdradziliście go, powiedziałem. Tak liczył na was, do ostatniej chwili na was liczył, nie pozostał mu w tym mieście nikt inny, na kogo mógłby liczyć, a wy go zdradziliście. (Elegancik w foto-chromach zdaje się próbował mnie przytemperować: "Nie zapominaj, z kim rozmawiasz!") I wtedy oświadczyłem mu: "Niech pan milczy i słucha!") Może się wam wydaje, że wasze komplementy i wszystkie wasze piękne słówka coś dla niego znaczą? On nie potrzebował waszych komplementów ani waszych fałszywych pochwał. Potrzebował waszej pomocy!...

I jeszcze coś w tym rodzaju, kompletnie nie pamiętam. Pamiętam za to, jak mi przerwał i ze szczerym zdumieniem zapytał: "Co z tobą, wierzysz w te jego wszystkie fantazje?" "Nie - powiedziałem uczciwie. - Niestety nie. Rozumu mi nie starcza, żeby w nie uwierzyć. Ale wiem jedno: niechaj to będą fantazje, niech się nawet myli, ale jego pomyłka jest sto razy szlachetniejsza i wspanialsza niż wszystkie wasze prawidłowe decyzje razem wzięte. I sto razy bardziej nam wszystkim potrzebna".

Obeszli mnie z obu stron i zaczęli schodzić po schodach, a ja wyrzucałem w ślad za nimi słowa. Może zresztą nie mówiłem, może jedynie myślałem. Właśnie posłaliście go na krzyż. Zbrukaliście swoje sumienia na resztę życia. Nadejdzie czas, że będziecie rwać włosy z głowy, wspominając dzisiejszy dzień - jak to zostawiliście go zmiażdżonego i samotnego w gabinecie, a sami zanurzyliście się w tłum, gdzie wszyscy uśmiechają się do was pochlebczo i zuchowato oddają honory...

I z okrutną rozkoszą wychwytywałem promieniujące z ich wyprostowanych pleców i statecznych kruczoczarnych potylic ema-nacje zakłopotania, zdumienia i niezadowolenia z siebie.

20 lipca. Godzina 17.30.

Uspokoiwszy nieco nerwy, poszedłem do G.A., żeby sprawdzić, co u niego. W gabinecie siedzieli już wszyscy nasi. Serafi-ma Pietrowna przyniosła bułeczki. Piliśmy herbatę i milczeliśmy. Irenka jakoś dziwnie zerknęła na mnie, a Zojka przez cały czas podsuwała mi bułeczki. Jednak widocznie słyszeli, jak krzychałem na Pierwszego. A może nic nie słyszeli, tylko po prostu nie wyglądałem szczególnie spokojnie.

Później G.A. popatrzył na zegarek i włączył telewizor. Okazuje się, że nasz Piotr

Wiktorowicz dziś, na tydzień przed terminem comiesięcznej audycji, postanowił zwrócić się do swojego miasta.

Najzwyczajniejsza dwudziestominutowa przemowa. Mer był jak zawsze jowialny, otwarty, krągły w słowach, szczwany i serdeczny. Nasze niemałe sukcesy, a zwłaszcza nasze niedoróbki, wady i niedociągnięcia. Z jednej strony - posiadliśmy środki, ale z drugiej - wala się terminy; napływ finansów z jednej strony, ubytek wykwalifikowanej siły roboczej z drugiej; jeszcze nie umiemy pracować jak należy z jednej strony, zupełnie oduczuliśmy się wypoczywać z drugiej...

I dopiero na samym końcu, bez szczególnego nacisku, niczym o sprawach wszystkim znanych i przez to niewymagających żadnych specjalnych wyjaśnień - najpierw o pracy miejskich służb sanitarno-epidemiologicznych (niewystarczający nadzór nad urządzeniami oczyszczającymi; skuteczna likwidacja sezonowej epizootii wśród susłów), a dopiero potem, na końcu: "Któryś już rok z kolei w okolicach miasta tworzy się niezdrowa z punktu widzenia higieny sytuacja. Dotyczy to zwłaszcza dziesiątego kilometra, na zakolu Taszlicy. Nie mogę powiedzieć, żebyśmy nie przedsięwzięli żadnych środków. Tłumaczyliśmy, uprzedzaliśmy, wyjaśnialiśmy. Niestety bez rezultatu. Jak w bajce - kot słucha, ale szperkę je dalej. Już dawno przygotowaliśmy wszystkie środki. Niczego nie można nam zarzucić, może jedynie zbyt powolność, wynikającą z naszej nadmiernej, być może, cierpliwości.

Mogę poinformować, że dzisiaj udzieliliśmy ostatniego i ostatecznego ostrzeżenia. Każda cierpliwość ma swój kres, a cierpliwość naszego miasta została wyczerpana". I dalej - o melioracji bagna eremińskiego, o działaniach przeciwko wałęsającym się bezpiecznym zwierzętom, potem jeszcze dwie minuty jowialności i swo-jactwa, i - "Do następnego spotkania, dziękujemy za uwagę".

A więc to tak. Dzięki, Piotrze Wiktorowiczu. "Liczy na mera, ale i sam sprawy nie pokpij... Kto występuje w dobrej sprawie, ten jest moim sojusznikiem".

G.A. wyłączył telewizor. Umykał wzrokiem i pomyślałem, że wstydzi się teraz na nas, swoich uczniów, spojrzeć. Wstydzi się za całą ludzkość. Przynajmniej ja się wstydziłem i starałem się na nikogo nie patrzeć - najwyżej na G.A., a i to ukradkiem.

Wówczas G.A. przysunął telefon i wykręcił numer. Na ekranie pojawił się Michajła Tarasowicz, senny i beztroski. Sprawiał wrażenie, jak gdyby brutalnie mu przerwano zasłużony odpoczynek. Nawiasem mówiąc, odkrywszy, kto go niepokoi, zupełnie naturalnie rozradował się, szumnie i gadatliwie przywitał z G.A. i z miejsca zaczął z dobrodusznym wyrzutem przedstawiać swoje zdanie na temat wczorajszego artykułu.

G.A. natychmiast mu przerwał. “Co to znaczy? A więc jednak akcja jutro się odbędzie?” Michajła Tarasowicz przywiął i z westchnieniem rozłożył ręce. “Cóż poradzić, takie jest życie”. G.A. powiedział bardzo ostro: “Jak panu nie wstyd? Przecież pan obiecywał!” Michajła Tarasowicz przestał się uśmiechać i wyniośle oświadczył: “Co takiego niby obiecywałem? Niczego nie obiecywałem!”

G.A.: Wstyd, panie Kromanow. Wstyd! Wstyd mi za pana przed ludźmi! A co będzie, jeśli wszystkim opowiem o naszej umowie?

M.T.: O jakiej niby umowie? Nie było żadnej umowy... Gieo-rgiju Anatoliewiczu, proszę nie pleść głupstw. Nie jestem byle kim, jestem osobą urzędową i nie zawieram żadnych umów z prywatnymi jednostkami!

G.A. w milczeniu spogląda na niego spod przypuchniętych powiek i im dłużej tak patrzy, tym bardziej kamienieje i spiżo-wieje Michajła Tarasowicz, zamieniając się już nawet nie w pokazowego komendanta miejskiej milicji, ale w pomnik pokazowego komendanta miejskiej milicji.

M.T. (dobitnie): Proszę się nie zapominać. Nie mam zamiaru znosić aluzji i zniewag. Może pan i jest zasłużonym człowiekiem, ale wówczas tym bardziej powinien pan znać granice i mieć zrozumienie dla porządku...

I dalej w tym samym stylu, wszystko pełne godności i służbowych cnót najwyższej próby.

G.A. wciąż milczy. Już nie zwyczajnie spogląda na rozmówcę, ale wyraźnie przewierca go wzrokiem. I Michajła Tarasowicz nie wytrzymuje owego wpatrywania się, wyhamowuje przemowę, nadyma policzki i powoli wypuszcza powietrze.

M.T. (o ton niżej): Na pańskim miejscu w ogóle bym, przepraszam za określenie, trzymał język za zębami. Umowa... Jaka umowa może być w tego rodzaju sprawach? Przecież ja mógłbym wszcząć przeciwko panu postępowanie!... Zatajenie ważnej dla śledztwa informacji... Współdziałanie w przestępstwie, nawiasem mówiąc... Jeśli wola - zatajenie przestępstwa! A to wszystko nie są żarty! Można stracić nie tylko mandat posła, można stracić wszystko... (Spuszcza wzrok, potem zerka przelotnie na G.A., znowu spuszcza wzrok i mówi zupełnie już pojednawczo). Niech się pan tak nie przejmuje, Gieorgiju Anatoliewiczu! Nic strasznego podczas operacji się nie zdarzy. Najgorsze rozrabiaki siedzą i zgodnie z prawem będą siedzieć czterdzieści osiem godzin jak aniołki. Ludzie zostali poinstruowani, ekscesy będziemy tłumić w zarodku... W rzeczy samej, co z panem, Gieorgiju Anatoliewiczu? Przecież mnie samemu *zależy*, żeby wszystko odbyło się gładko, bez awantur, bez rozlewu

krwi... Czy pan tego nie rozumie?

G.A. wyłącza telefon.

Dokładnie przyjrzał się nam wszystkim po kolei, jak gdyby mając nadzieję odkryć coś dodającego otuchy. Niczego nie odkrył i powiedział:

- Koniec. Teraz to naprawdę koniec. "...Stałym atrybutem kiepskich władz jest nasilanie przyczyn zła podczas prób likwidowania jego skutków". Skąd to?

- Kluczewski - odpowiedział natychmiast Askold.

- Prawidłowo - rzekł G.A. już z roztargnieniem. - Została nam jeszcze jedna szansa...

Wybrał jakiś numer i na ekranie pojawiła się niezadowolona staruszka. G.A. potulnie przywitał się z nią i poprosił do telefonu Garika. Dziesięć sekund później na ekranie pojawił się Garik.

Był to ten sam krzaczek, który onegdaj wpadł do liceum z rzepami we włosach. Nastąpiła mniej więcej taka rozmowa:

G.A.: Garik, muszą niezwłocznie zobaczyć się z nusi.

GARIK: Nusi jest w mateczniku.

G.A.: Niech przyjdzie, kiedy straci barwy.

GARIK: Straci je przed deszczowaniem.

G.A.: Powiedz, żeby przyszedł jak może najwcześniej. Będę na niego czekał.

GARIK: Trawa na wietrze. (Albo coś w tym rodzaju).

Nasi niczego z tej rozmowy nie zrozumieli. Nikt z nich nie był we Florze, nikt nie wiedział, kto to jest nusi, ale ja wiedziałem i chociaż nie połąpałem się w żargonie, domyśliłem się, że G.A. wzywa do siebie przywódcę Flory, najprawdopodobniej po to, żeby namówić Florę do zwinięcia się i odejścia przed świtem. To chyba rzeczywiście ostatnia szansa. I najlepsze wyjście - i dla nich, i dla nas, i dla całego miasta. Tylko że ta ostatnia szansa jest znikomo mała. Gdyby to było takie proste przekonać ich, żeby odeszli, G.A. zrobiłby to już dawno.

G.A. poprosił głosem zmęczonym i pełnym winy, byśmy zostawili go samego. Wstaliśmy, żeby wyjść. Nagle Askold zapytał: "Jak rozumieć tamte wszystkie słowa - o zatajeniu informacji, o przestępstwie?" (Z tego Askolda jest jednak kawał zimnego drania!) G.A. milczał tak długo, że już myślałem, iż nie odpowie. Jednak odpowiedział. "Należy to rozumieć w ten sposób - powiedział - że historia notuje wiele przypadków, kiedy to uczniowie zdradzali swojego nauczyciela. Ale nie przypominam sobie wypadku, by nauczyciel zdradził uczniów".

20 lipca. Godzina 19.00.

To dlatego, że z miejsca przestawał być nauczycielem. I w historii jako nauczyciel nie figurował.

Miałem ochotę iść porozmawiać z Wańką Drozdowem i innymi o dniu jutrzejszym. Czy wszyscy pójdać jeden mąż? Z rozwiniętymi sztandarami? A może nawet sobie łyknąć dla kurażu? Koniec końców taka akcja to coś nowego, niezwykłego!

Za późno się spostrzegłem. Przed liceum nie ma już nikogo, tylko poniewierają się niedopałki i grupka naszych dzielnych zuchów skupiona wokół ostatniej kolumny spiera się, kto ją powinien odnieść. I w oddali przechadzają się stróże porządku. (“W oddali płynęli rewirowi”.)

Zjawił się Herakliusz Samsonowicz. Długo i mętnie tłumaczył się, że rankiem go nie przepuścili. Gotuje na jutro flaczki.

Pojawiła się bibliotekarka. Zaczęła mi robić burę, że nie odłożyłem na miejsce dzisiejszych gazet. Napysko wałem jej. Grubia-nin ze mnie.

Smutno. Askolda nie mam ochoty oglądać (nieładnie). Zojka jest w minorowym nastroju, a Irenka jak zakłęcie powtarza, że wszystko będzie dobrze.

RĘKOPIS OZ (26-27)

Cała ta historia zaczęła się ponad trzynaście i pół wieku temu, gdy umarł już prorok Muhammad, a pierwszy kalif Abu Bakr zaczął nawracać na islam Półwysep Arabski.

Żył podówczas niejaki Nahr ibn-Unfuwa zwany Radżalem albo Rachalem, co znaczy “wiele chodzący piechotą”, “dużo podróżujący” albo mówiąc wprost, “wędrowiec”, “włóczęga”. Początkowo był uczniem i zaufanym Muhammada, mieszkał u niego w Medynie, studiował Koran i utwierdzał się w islamie. Później Muhammad wysłał go jako misjonarza i łącznika do Al-Jamamy, do Musajlimy - wodza i religijnego autorytetu plemienia Banu Hanifa.

Oczywiście w owym czasie nikt nie nazywał Musajlimy Mu-sajlimą. Wszyscy tytułowali go wówczas czcigodnym Maslamą, prorokiem Maslamą, a nawet Miłosiernym Maslamą, to znaczy Maslamą - bogiem. Sam Muhammad nazywał go wówczas swoim bratem - prorokiem. Ich nauki rzeczywiście były w wielu punktach ze sobą zbieżne, aczkolwiek istniały także różnice, które po zastosowaniu w politycznej praktyce rozdzieliły współtowarzyszy na tyle, że w Medynie Maslamę przestano nazywać czcigodnym i przyklejono mu pogardliwe miano Musajlimy, co znaczy mniej więcej “brudny Maslamka”.

Rachal wybrał Maslamę. Pozostał w Al-Jamamie, owym spichlerzu Arabii, i stał się prawą ręką Maslamy, wykonawcą jego najdelikatniejszych poleceń i niewypowiedzianych

iyć, 7. Qń. Dał się poznać jako wyśmienity organizator i kontrpropagandzista. Zorganizował Maslamie policję polityczną, a jako wytrawny znawca Koranu był nie do pokonania w otwartych dysputach z misjonarzami, których uparcie przysyłał do Al-Jamamy Muham-mad.

Jego sława rozeszła się szeroko i daleko, ale była to sława niedobra. Uważano, że u Maslamy zamieszkał diabeł, któremu Ma-slama jest posłuszny i dlatego odnosi sukcesy w czynieniu zła. Sam Prorok niedługo przed śmiercią mówił o Rachalu jako o człowieku, którego zęby zapłoną ogniem większym niżli góra Uhud. (Najwidoczniej Uhud była wulkanem i owe dziwne wyrażenie należało rozumieć tak, że kiedy Rachal będzie smażył się w piekle, jego zęby zapłoną wulkanicznym ogniem⁵).

Następca Muhammada, kalif Abu Bakr, postanowił w pierwszej kolejności zająć się poskromieniem Al-Jamamy. Jednakże jego wojskowi dowódcy nie mieli jeszcze podówczas żadnego bojowego doświadczenia. Zarówno zuchwałe kawaleryjskie wypadki Ikrimy ibn-Abu Dżahla, jak i Szurchabila ibn-Hasana zostały odparte na granicach. Jednak Al-Jamama znalazła się w trudnym położeniu. Z zachodu zagrażał jej dalej Szurchabil ibn-Hasan, ze wschodu al-Ala ibn-al-Hidrimi, z południa groził kolejnym atakiem zmuszony do odwrotu Ikrima, a w dodatku od północy runęła na Al-Jamamę i doszła do samego hara-mu (przybytku Maslamy) chrześcijańska prorokini Sadżah z Al-Dżaziry z dwoma korpusami dzikich Tamimitów na koniach i wielbłądach.

Sadżah jednak miała w pogardzie Maslamę, jak i Abu Bakra. Była chrześcijanką. Do islamu żywiła wstręt jako do świętokradczego wypaczenia nauk Chrystusa. Do Al-Jamamy ściągnęła po ziarno i w ogóle po zdobycz.

Maslamie udało się z nią zawrzeć sojusz zaczepno-obronny, chociaż obie układające się strony nie miały o sobie nawzajem zbyt wysokiego mniemania. Mieszkańcy Al-Jamamy pogardliwie nazywali nomadów Tamimitów “ludźmi wojłoku”, a Tami-mici powtarzali al-jamamskim rolnikom: “Siedźcie w swojej Al-Jamamie i grzebiecie się w ziemi. I najpierwszy, i najpośledniejszy spośród was jest niewolnikiem”.

Szczegóły wojskowego sojuszu nas nie interesują. Późniejsza muzułmańska legenda przedstawiała go w sposób raczej sprośny. Całkiem bezpodstawnie: Maslama był ascetą zarówno z przekonań, jak i ze sposobu życia. Również z powodu wieku, jeśli już o tym mowa.

⁵ Uhud (Ohod), skaliste wzgórze w pobliżu Medyny, jest miejscem w tradycji islamu wyjątkowo ponuro się kojarzącym. W stoczonej tam bitwie Prorok poniósł klęskę i sam został ranny w twarz (przyp. tłum.).

W tej historii nie było sprośności. Była miłość. Wielka, fanatyczna, która w jednej chwili ogarnęła dwoje całkowicie odmiennych ludzi - szaleńczo fanatyczną tamimicką piękność i niepo-każnego, ale za to owianego legendą i tajemnicą, niewierzącego ani w Boga, ani w diabła Rachala - przyjaciela, zausznika i szarą eminencję samego Maslamy. Podobno historia owej zaiste zdumiewającej i poruszającej wyobraźnię miłości została opisana przez wędrownego poetę saluka (zwanego niekiedy drugim An-tarą ibn-Szaddadem) w poemacie *Macierz zagmatwanych gwiazdozbiorów czyli Gwiazda Polarna*. Niestety, tekst poematu do nas nie dotarł.

Szczęście trwało krótko. Sadzah powróciła do siebie, na północ. Czy to znudził się jej zakochany diabeł Rachal, czy może polityczna konieczność wymagała jej obecności w Mezopotamii. Maslama utracił potężnego sojusznika. Co gorsza, pod nieobecność swojej przywódczyni powstałi przeciwko Maslamie Tamimi-ci. Abu Bakr niezwłocznie wykorzystał wszystkie zalety nowej sytuacji. Na Al-Jamamę ruszyły wojska najlepszego podówczas muzułmańskiego dowódcy, Chalida ibn-al-Walida.

W tym miejscu pojawia się na scenie nasz znajomy Mudżdża ibn-Murara. Był szarifem, to znaczy należał do wojskowej arystokracji Al-Jamamy. I był człowiekiem niezwykle ambitnym. Nie interesowały go warianty i niuanse islamu. Chciał rządzić - obalić Maslamę i rządzić Al-Jamamą.

Na samym początku kampanii przeszedł na stronę Chalida i przedstawił mu starannie opracowany plan podboju Al-Jamamy, z tym, że kiedy się wszystko zakończy, Abu Bakr jego, Mudżdżę ibn-Murare, uczyni w niej namiestnikiem.

Plan ów nie tylko przewidywał pomysłowe odsunięcie diabła Rachala od wojsk Al-Jamamy w decydującej chwili, ale i zapewnienie dobrowolnej uległości pokonanych po zakończeniu działań wojennych. Rachala należało usunąć za pomocą sfalszowanego liściku od jego ukochanej Sadzah (a może list był prawdziwy, kto wie?) Sam Mudżdża brał na siebie rolę patrioty-męczennika,

dreńzonego przez okrutnika Chalida: zakuty w kajdany, pólżywy z głodu i pragnienia w odpowiedniej chwili "oszuka" Chalida; Chalid da się na jego "podstęp" nabrać i sława Mudżdży ibn-Murary, męczennika w imię swojego plemienia, któremu udało się oszukać okrutnego wodza, rozejdzie się szeroko po całej rzuconej na kolana Al-Jamamie i wszyscy Banu Hanifa nieustannie będą błogosławić jego imię, imię nowego władcy.

Wszystko poszło jak po maśle. To znaczy koncepcja Mudżdży została zrealizowana całkowicie i do końca.

Co prawda, wbrew wszelkim oczekiwaniom nieobecność Ra-chala nie odegrała szczególnej roli. I w bitwie pod Akrabą, i przy szturmie haramu Maslamy mieszkańcy Al-Jamamy bili się szaleńczo i zapamiętale, przedkładając śmierć nad ucieczkę. Wzajemna nienawiść doszła do granic ostatecznych. Matka Habiba (tego samego, któremu Rachal parę lat wcześniej rozkazał obciąć ręce i nogi za działalność szpiegowsko-dywerysyjną), która przysięgała, iż nie umyje się, póki nie zginie przeklęty Musajli-ma - walczyła jak furia i w bitwie o haram straciła rękę oraz odniosła dwanaście innych ran. Szurchabil, syn Maslamy, który przed bitwą wezwał wojska do walki za żony i za honor - wspomnieć o wierze zapomniał - tak więc ów Szurchabil zginął przy-duszony stosem zarąbanych i zakłutych przez siebie nieprzyjaciół. Wzmiankowany uprzednio gorący i szalony Bara ibn-Malik rozjuszył się podczas szturm do tego stopnia, że rozkazał swoim wojownikom, by przerzucili go przez mur haramu. Tam, otoczony przez ryczący tłum al-jamamczyków, jak furia przebił się do bramy, wpuścił do wnętrza swój oddział, po czym ponownie zamknął bramę, a klucz wyrzucił precz...

W starciach poległo dziesięć tysięcy al-jamamczyków. Banu Hanifa jako siła wojskowa przestali istnieć. Ale straty muzułmanów również były straszne: spis samych tylko liczących się osobistości poległych na polu bitwy obejmuje tysiąc dwustu ludzi.

Mudżdza ibn-Murara odegrał swoją rolę jak należy. Wycieńczony, żaloszny, szcękający kajdanami, poszturchiwany w plecy pochwami mieczy okrutnych strażników wędrował po polach bitew, identyfikując ciała co bardziej znanych wrogów Chalida. Rozpoznał ciało Muhakima, dowódcy gwardii Maslamy. Rozpoznał ciało samego Maslamy i rozpoznał ciało syna Maslamy-Szurchabila. Oczywiście rozpoznał również trupa Rachala, tak że wieść o śmierci diabła natychmiast szeroko się rozeszła po całej Al-Jamamie.

Nad ciałem Maslamy - niskiego, poźółkłego człowieczka o spłaszczonym nosie - przy tłumnej asyście świadków miał miej - sce następujący dialog pomiędzy Mudżdżą a Chalidem:

- Oto jest największy wróg islamu - oświadczył Mudżdża. - Teraz uwolniliście się od niego.

- Niemożliwe! - z dobrze odegranym zdumieniem wykrzyknął Chalid. - Czyżby to ten wyliniały pies przywiódł was tam, gdzie was przywiódł?

- Tak, tak właśnie się stało, Chalidzie - powiedział przygnębiony Mudżdża. Ale zaraz dumnie wyprostował się i oznajmił na całą okolicę: - Ale, przysięgam na Boga, nie ciesz się zbyt wcześnie. Na razie stanęli przeciw tobie jedynie najniecierpliwsi z harcówników, naprawdę doświadczeni wojownicy czekają w warowniach. Z nimi nie będzie ci łatwo sobie poradzić.

Istotnie, kiedy Chalid zbliżył się do Al-Hadżar, ujrzał na jej murach tłum wojowników w błyszczących zbrojach - widok nader imponujący i groźny. W rzeczywistości były to kobiety i pod-rostki, prawdziwych wojowników w murach stolicy prawie nie pozostało.

Chalid malowniczo zamyślił się, a później zapytał, zwracając się do swoich doradców: “Cóż powiecie, czcigodni?” Czcigodni z miejsca wyrazili swoje zdanie, a sens ich wypowiedzi był taki, że dosyć już rozlewu krwi, przeciwnikowi należy podać warunki kapitulacji, a mianowicie: żółte i białe (złoto i srebro) - całe, jakie posiadają; kolczugi i konie - wszystkie; a jeńców tylko połowa.

Zaczęły się pertraktacje. Mudżdża występował w nich jako przedstawiciel Chalida i wszystko zakończyło się nawet pomyślniej, niż się tego obawiano w Al-Hadżar. I na koniec scena finałowa.

Brama twierdzy otwiera się na oścież; Chalid wjeżdża do miasta i bardzo szybko wychodzi na jaw, że znajdują się tam jedynie kobiety i dzieci. Na wypełnionym ludem placu targowym Chalid we wspaniałej furii tupie, chwyta za szablę i ryczy na Mudżdżę: “Oszukałeś mnie!”, a ów, wyczerpany lecz dumny, wysoko podnosi głowę i odpowiada w takim duchu, że owszem,

oszukał, jednakże postąpił tak wyłącznie dla swojego ludu i w jego imieniu. Burza zachwyków, wszyscy biją czołami o ziemię. Kurtyna.

O dalszych losach Mudżdży ibn-Murary wiadomo niewiele. Mniej lub bardziej szczęśliwie władał nawróconą na islam Al-Jamamą, sumiennie płacił kalifowi daniny i żelazną ręką dławił rozruchy. Zmarł w dziwnych okolicznościach. Istnieje wersja, według której jakiś czarownik przepowiedział wcześniej dzień i godzinę jego śmierci. I rzeczywiście, o wyznaczonej porze znaleziono go zarąbanego na dywanie w jego pokojach. Kto go zabił i z jakiego powodu - pozostało tajemnicą. Ludzie poinformowani wiązali zabójstwo z pretensjami Mudżdży do objęcia dowództwa wyprawy wyznawców islamu na Egipt.

30. Sadżah.

O Sadżah!

Sadżah z Al-Dżaziry!

Piersi twe...

Otrzymawszy list, Rachal nie zastanawiał się ani minuty. List był w języku aramejskim: “Ukochany! Czekam na ciebie w Bas-rze. Śpiesz się, możesz bowiem przybyć za późno”. Cztery miesiące czekał owego wezwania i oto doczekał się. Nie wytłumaczywszy się nawet przed Szurchabilem, wstał i wyszedł z namiotu. Za plecami pozostawił radę wojenną.

Już o niej zapomniał. Półgłosem wydał rozkazy. Wielbłądy siodłano przez całą wieczność. Wreszcie zameldowano, że wszystko gotowe. Przyjął z rąk Mil-kliwego Barsa drogocenny kuferek obity świńską skórą i osobiście przytroczył go do siodła Białobrzuchego.

W dziesięć minut później Akraba, śpiące wojska i pole przyszłej bitwy pozostały w tyle. Już o nich zapomniał. Do Basry było trzydzieści dziennych odcinków marszowych karawany. Należało przebyć tę drogę w przeciągu dziesięciu dób albo nawet szybciej. Było to na granicy ludzkich możliwości. Mieli pod sobą najlepsze dromadery Arabii, również jeźdźcy byli najlepszymi jeźdźcami Arabii: dwudziestu byłych taridów, odszczepień-ców bez plemienia ni rodu; dwudziestu ze straży przybocznej; dwudziestu poetów, dwudziestu pobratymców bezmiernie sobie oddanych, a jego, Rachala, poważających niczym samego Boga. A może niczym diabła. Nigdy ani o nic go nie pytali, tak jak nigdy o nic nie pytają człowieka jego ręce. Tylko przelotnie pomyślał o swoich ludziach.

Był szalony. Miłość starego człowieka sprawia zazwyczaj cokolwiek komiczne wrażenie. Owego lata Rachal skończył sześćset trzydziesty czwarty rok życia. Miłosne szaleństwo starca nie może już wywoływać ani uśmiechu, ani współczucia. Wywołuje jedynie strach. Rachal był niepowstrzymany, nic nie mogło mu przeszkodzić - ani wojska, ani samum, ani trzęsienie ziemi. Ani nawet morze. Ani nawet śmierć. Tak przynajmniej wówczas czuł. On sam był straszniejszy niż jakiegokolwiek samumy, trzęsienia ziemi czy śmierć. Znowu nazwano go ukochanym i lękał się przybyć za późno.

Sadżah.

O Sadżah!

Sadżah Mezopotamska!

Biodra twoje...

(Z sercem nieprzyjemnie i niezwyczajnie ściśniętym obserwowałem ukradkiem, jak Ahaswer Łukicz miota się po moim pokoiku, co i rusz ramieniem strącając ze ściany porozwieszaną broń; jak z chrzęstem wyłamuje sobie palce; jak to rzuca się do drzwi i nieruchomieje wczepiony słabymi łapkami we framugę; to znów z impetem siada na moim kulawym krześle i uderza piąstkami w blat tuż obok wyszczerbionego miecza Mudżdzy ibn-Murary; drobny, niezgrabny, brzydki - i mówi, mówi, mówi...)

Oddział z impetem mknął przez pustynię i bandy Tamimitów rozbójników, które, było, ruszały już na nich do ataku, w przerażeniu zawracały konie i niczym stadka wystraszonych kaczek pierzchały, gdzie popadło.

Basra.

Już jej tu nie ma. Była bitwa, Persowie odparli ją i odeszła na Al-Hirę. Czy na pewno

na Al-Hirę? Konający z ran wojownik z plemienia Tanuch przysięga na boga swojego plemienia: odeszła na Al-Hirę, cała, zdrowa, piękna, chociaż niewesoła. Czyż-bym się spóźnił? Czyżbym był jej potrzebny tutaj, pod Basrą? Przekłęci Persowie!

Kupcy z karawany, która przecięła im drogę, padają twarzami w rozpalony piach, rozstawszy się już w swoich myślach i z żółtym, i z białym, i z miękkim, i z twardym, i z płynnym, i z samym życiem na dodatek. Nie, nie ma czasu! Później, bracia, później! Naprzód!

Al-Hira.

Była tu. Jeszcze dymią ruiny koszar garnizonu, jeszcze miotając przekleństwa, lamentują kobiety na progach swoich wybebeszonych glinianych lepierek, jeszcze na poprzecznej belce kotysze się sznur, na którym rozkazała powiesić bizantyjskiego kapłana słynnego ze swych bestialskich rozpraw z nestoriana-mi... Chwała wszystkim bogom, szczęście jej tu sprzyjało, pokonała Bizantyjczyków i poszła na Aleppo... Gdzie? Na Alep-po?

Ona również oszalała. Z bandą dzikusów rusza na całą potęgę Bizancjum! To bez wątpienia miłosna tęsknota. On ją rozumie. Jest teraz gotowa kasać żelazo jedynie dlatego, że nie ma przy niej ukochanego. Pamięć podsuwa mu obraz - leśna polana nad Gangesem po miłosnych harcach pary lampartów - jak gdyby całe tabuny dzikich koni walczyły tam na śmierć i życie. Oto czym jest miłosna tęsknota Sadżah. A ukochany jest zbyt powolny, ledwie pełźnie przez niekończące się piaski... Konie! Skąd wziąć konie?

W odległości dwóch dni marszu od Al-Hiry natykają się na obozowisko jakiegoś zapoznanego plemienia. Konie. Mnóstwo koni. Ale nomadzi nie rozumieją swojej sytuacji. Wydaje im się, że jest ich wielu i mogą dokonać wymiany na warunkach dogodnych dla siebie. Tym gorzej dla nich, ponieważ nie ma czasu na targi. Owe zapoznane plemię na zawsze pozostanie zapoznanym, nikt nigdy więcej o nim nie usłyszy. A my na zawsze zachowamy w naszych sercach brata Szarana, brata Siwego i brata Hasana Bez Zębów. Nie grzebać! Nie ma czasu! Naprzód!

Siffin.

Nie doszła do Aleppo. Pod Siffin spotkała ją brygada pancерnej kawalerii pod dowództwem generała Arnmona i prezbitera Eupraksjusza. Zabili ją. Udało im się ująć ją żywcem i oto tutaj, na Baraniej Czaszce, prezbiter Eupraksjusz wydał ją na straszliwą śmierć jako heretyczkę i fałszywą prorokinię.

Sadżah.

O Sadżah!

Sadżah, córo plemion Tanuch i Tamim!

Twe łono...

Miewał tysiące kobiet, nigdy nie był ascetą, lubił połasować; nawet i teraz nie może przejść spokojnie koło słodkiej bułeczki - pomimo swoich lat i nieszczególnej powierzchowności. Dlaczego więc pamięć o owej jednej jedynej spośród dziesiątków tysięcy zawsze dręczyła jego duszę, dlaczego boleśnie dręczy ją teraz i najwidoczniej będzie dręczyć po wiek wieków? Dlaczego ta miłość tak boli? Przecież jej od dawna nie ma, istniała przed trzynastu wiekami! Dlaczego więc tak boleśnie ćmi, łamie i pali, niczym płatek odciętego ucha na niepogodę?

O Sadżah.

Śmiertelnie wystraszony siffińczyk nie tylko pokazał, którędy odeszli Bizantyjczycy, ale również zgodził się służyć za przewodnika. Trzeciego dnia Rachal ujrzał dymy ognisk. Reszta była kwestią techniki. O świcie czwartego dnia już pędzili z powrotem. Przerzucony przez grzbiet zapasowego ogiera prowadzonego przez Milkliwego Barsa szarpał się i stękał pokrowiec na dywan, zawierający prezbitera Eupraksjusza (wziętego ze spuszczoneymi portkami w połowej latrynie).

Na Baraniej Czaszce, w obecności pojękujących z grozy świadków śmierci Sadżah, Rachal uczynił z prezbiterem to wszystko, co zrobiono ukochanej. Oczywiście z konieczną poprawką na męskie detale. Prezbiter Eupraksjusz krzyczał bez przerwy przez całe dwie godziny. Rachal go nie słyszał. Wszystkie zmysły odłączyły się. Rachal tylko wspominał.

Wargi twe...

Oczy twe...

Jak to jednak było naprawdę z owym pamiętnym liścikiem? Być może należy dać wiarę późniejszym pogłoskom, jakoby został sfalszowany - przebiegły wróg sporządził go, by w odpowiednim momencie groźny diabeł cisnął wszystko precz i pomknął na pomoc, gdzie nikt na niego nie czekał i gdzie nikomu nie był potrzebny? Wszak jeśli sądzić po wszystkich uczynkach Sadżah, do tego czasu zdążyła już wyrzucić dawnego ukochanego z głowy i serca i żyła tak, jak lubiła - śmiało, zuchwale, krwawo. Nie przyszło jej nawet na myśl, że ku niej spieszy, i dlatego nie słała Rachalowi ani łączników, ani posłańców, ani umyślnych. I tylko w miłosnym swoim szaleństwie chytry, doświadczony, ostrożny Rachal mógł tłumaczyć jej czyny jako miłosne szaleństwo chytrej, doświadczonej, ostrożnej wojowniczk.

Hipoteza o sfalszowanym liście pocieszała go przez długi czas. Z owej hipotezy wynikało, iż nie oczekiwała jego pomocy, w najmniejszym stopniu nań nie liczyła, i w swoje

straszliwe ostatnie minuty nie próbowała dojrzeć przez krwawą mgłę lśnienia jego szabel na horyzoncie. Wówczas podstępny wroga, który podłożył falsyfikat, można było przeklinać jedynie za to, że podsunął go zbyt późno. Wszak, gdyby Rachal otrzymał list choćby o trzy dni wcześniej, wszystko skończyłoby się inaczej.

Oczywiście miała kochanka. Trzeźwą częścią swojej osoby zdawał sobie sprawę, wiedział z całą pewnością, że kochanek musiał być młody, gorący, niestrudzony. Ludzkie gadki wymieniały pewnego Abisyńczyka, starszego syna śmiałka Al-Wahsie-go ibn-Harba, tego samego Al-Wahsiego, który usiekł Maslamę na progu haramu. Jednak z jego powodu Rachal nie mógł być zazdrosny. Wiedział z całą pewnością: Abisyńczyk walczył za Sadżah do ostatka - naszpikowany bizantyjskimi strzałami, pocięty bizantyjskimi mieczami, przebity bizantyjskimi włóczniami, zalany krwią własną i cudzą tak, że nie było widać ani jego szat, ani twarzy.

Za to nie mógł być jej kochankiem świetny, pustogłowy ogier Bara ibn-Malik. Było to zupełnie niemożliwe. Nie zgadzało się w czasie. W dręczącym przedśmiertnym pragnieniu, by zranić jak najboleśniej, Mudżdża ibn-Murara skłamał. Chociaż oczywiście dobrze skalkulował, iż trudno sobie wyobrazić rywala bardziej godnego spopielającej zazdrości niż Bara ibn-Malik.

Rzecz zresztą nie w rywalu. Abisyńczyk, Bara ibn-Malik, ktoś jeszcze inny - co za różnica? Były ich dziesiątki. Nie istniał mężczyzna, który ujrzawszy ją, nie przemieniłby się w ogarniętego płomieniem namiętności lamparta. Sadżah pozostawało jedynie wybierać. I Rachal, doskonale zdający sobie sprawę z własnej fizycznej niedoskonałości, w żadnym wypadku nie powinien się zadręczać zazdrością. Wystarczy, że Sadżah wybrała go choćby na kilka dni...

Mudżdża ibn-Murara tknął zrogowaciałym paluchem w zabliznioną ranę i sprawił wielki, wielki ból. Dlatego że okazało się, iż list mógł nie być falsyfikatem. I nagle rozpalona wyobraźnia namalowała iście piekielny obraz: młody, sprytny najemny miłośnik, zręczny i żwawy, podsunęty przez wyrachowanego łotra dyktuje omdlewającej z rozkoszy Sadżah, co ma uczynić i co napisać.

Dlaczego owa myśl, taka prosta, naturalna, nie przysłała mu do głowy wtedy, przed trzynastu wiekami? Odnalazłby tamtego najemnika. A teraz nie da się odnaleźć nawet prochu, w który się obróciły jego kości...

Usta twoje, otwarte na spotkanie namiętnej pieszczoty,

Łono twe - łąka kielkująca młodą trawą.

Kipiąca życiem, nietknięta, jedwabista miękkość piersi,

I twój przyzywający, zasnuty mgłą wzrok...

(Patrzyłem, jak płacze mętnymi, starczymi łzami, i dziwiłem się i nie rozumiałem, i myślałem: nie, widać nigdy nie rozpada się łańcuch czasu, albowiem zaiste miłość jest silna jak śmierć i niczym piekło sroga jest zazdrość, a strzały jej są strzałami ognia...)

31. Poszedłem do banku i stałem w kolejce trzy kwadransy...

DZIENNIK. 20 lipca. Koło północy.

Dziwna rzecz, nigdy nie zastanawialiśmy się nad rodzinnym życiem G.A. Wiedzieliśmy odrobinę z opowieści i całkowicie nam to wystarczało. Było to dla nas nieistotne. Słyszeliśmy, że jego żona straciła życie przed piętnastu laty. Była, zdaje się, epidemiologiem, zaraziła się w czasie pierwszej epidemii "afrykan-ki" i umarła. Wiedzieliśmy, że ma dwójkę dzieci, syna i córkę, ale gdzie przebywają, kim są - nikogo nie interesowało. G.A. zawsze był dla nas G.A. - jednym, jedynym i samowystarczalnym. Bez załączników. Nie potrzebowaliśmy do niego żadnych załączników. Pewnie by nam zresztą nawet przeszkadzały.

G.A. odprowadzał nusi do wyjścia, a ja podsłuchiwałem. Był to pozbawiony nadziei koniec jakiejś pozbawionej nadziei rozmowy. Nusi powiedział: "Niepotrzebnie mnie wzywałeś, tato, a ja niepotrzebnie do ciebie przyszedłem. Ty masz swoich uczniów, ja - swoich. Wy, tato, macie swoją prawdę, a my - swoją". Mówili coś jeszcze, ale ja stałem, jak gdyby mnie czymś ciężkim zderzono przez łeb i niczego więcej nie słyszałem ani nie rozumiałem. "Tato!" Wiecie teraz, do czego piły tamte gnidy? Nie mam pojęcia, co pisać. W głowie się nie mieści.

21 lipca. Druga w nocy.

To niczego nie oznacza. Po pierwsze zawsze można powiedzieć, że w dzieciach geniuszy natura odpoczywa. A po drugie - jeżeli się zastanowić, przecież nusi również jest pedagogiem, i to pedagogiem najwyższej klasy! Utrzymywać w jakichś ryzach takie stado, użyć ową bezmózgą pustynię myśli...

Czyżby G.A. odgadł i tamci rzeczywiście zmuszą nas w końcu do zrobienia dla nich miejsca, zmuszą w blasku racji, jak równi równych, a w perspektywie, być może, okażą się w większości... Mój Boże, biedny G.A.

A może nie taki znów biedny? Może to nawet był jego pedagogiczny błąd, ale jakiej klasy! Błąd równy naukowemu odkryciu!

Możesz być z siebie dumny, Igorze Wsiewołodowiczu, dobrze dziś powiedziałeś: "Nawet jeśli on się myli, to każda jego pomyłka jest sto razy bardziej znacząca i ważniejsza

niż wszystkie wasze prawidłowe decyzje razem wzięte”.

“*The uncommon man wants to leave a world different from what he found; a better, enriched by his personal creation. For this he is willing to sacrifice much or all of the happiness that the common man enjoys*”⁶.

RĘKOPIS OZ (28-29)

32. Poszedłem do banku i stałem w kolejce trzy kwadranse, do samego obiadu.

Kiedy wróciłem, siedział już w kuchni i siorbał z emaliowanej miski jugosłowiańską zupę w proszku. Był chudy, niezgrabny, kanciasty, z łuszczącymi się od brudu platfusowatymi nogami. Cienka, pryszczata szyja, gigantyczny, co i rusz siąkający nos, zażawione wylupiające oczy, małe czoło pod skołtunioną srokatą czupryną. Kurczak sraluszek. Miał pewnie nie więcej niż szesnaście lat, głos mu się łamał, a smutną twarz pokrywały mu *boutons d'amour*.

Kiedy wszedłem do kuchni, obrzucił mnie przerażonym wzrokiem, ale najwidoczniej nie dopatrzył się żadnego zagrożenia, bo tylko przeciągnął palcem pod nosem i wrócił do polewki. Wystarczyło, że zerknąłem na jego niedający się opisać burnus, i natychmiast pojąłem, gdzie znajduje się źródło owej niezwyklej woni, którą wyczułem jeszcze w przedpokoju. Ten burnus nie był prany. Nigdy. Nie był też zdejmowany. Wyłącznie noszono go. Dzień i noc. Pewnie też nikt nigdy się w nim nie topił.

- Któż to? - spytałem groźnie.

Moja brygada, otaczająca ze współczuciem właściciela burnusa, milczała - jak mi się wydawało, tchórzliwie i z poczuciem winy.

- Kto wpuścił? - kontynuowałem, unosząc głos o ton wyżej. - Dlaczego nie przeprowadzono zabiegów sanitarnych? Was instrukcja nie dotyczy? Zachciało się wam cholery?

Nie wyjaśniło się, kto go wpuścił. W końcu może zresztą faktycznie nikt nie wpuszczał, zwyczajnie wniosło go do naszego przedpokoju i koniec. Zdarzały się takie przypadki. I to niejednym razem. A zupą z proszku (jarzynowa z przyprawami, trzydzieści siedem kopiejek torebka, rachunek w załączeniu) nakarmił go litościwy Marek Parasiuchin, w którym, jak wiadomo, zawsze harmonizowały nordyckie miłosierdzie i słowiańska szeroka dusza.

⁶ “Niepospolity człowiek pragnie pozostawić po sobie świat odmienny od tego, który zastał; świat lepszy, wzbogacony przez jego własną twórczość. Dla tego celu gotów jest poświęcić większość albo nawet wszystkie radości, którymi cieszy się człowiek pospolity”.

Wysiorbawszy poczęstunek do ostatniej kropli, wylizał miskę, i to tak szybko i zwinnie, że nie zdążyliśmy rąk wyciągnąć, a już była jak nowa. Później zaczął mówić - równie pospiesznie, zachłannie, krztusząc się i pryskając śliną, jak przed chwilą jadł.

Początkowo niczego nie rozumieliśmy poza wciąż się powtarzającą prośbą, żeby zostawić go tu i ukryć. Jakieś skargi. Coś tam miał z rodzicami - czy to matka umarła, wydając go na świat, czy on sam o mało nie wyzionął ducha przy urodzeniu... ojciec był bogaty, a na niego wcale nie dawał pieniędzy... I wszyscy go bili. Zawsze. Póki był mały, biła go dzieciarnia. Kiedy podrośł, wzięli się za niego dorośli. Wyzywano go od: zgniłków, żarłoków, idiotów, czyszcicieli łajna, gównotłuków, gównojadów, syryjskich ryb, rzymskiego smarowidła, egipskiego kota, od takich, śmakich i owakich, od drągów, pał, sękatych żerdzi... Dziewczyny nie chciały mieć z nim nic wspólnego. Nic. Nigdy. Nawet cylicyjskie dziwki. I przez cały czas był głodny. Zjadł nawet za-śmiardłą rybę, którą kiedyś podłożono mu dla żartu, i o mało nie umarł. Jadł nawet wieprzowinę, jeśli kto ciekaw... Niczego dlań nie było na tym świecie. Ani jadła. Ani kobiet. Ani przyjaźni. Ani nawet zwykłego dobrego słowa...

I oto zjawił się Rabbi.

Rabbi położył mu na głowę dłoń - wąską czystą dłoń bez pierścieni ni bransolet, a on z jakiegoś powodu natychmiast zrozumiał, że ta dłoń nie wczepi mu się we włosy i nie uderzy jego twarzą o podstawione kolano. Owa dłoń promieniowała dobrem i miłością. Okazało się, że jeszcze istniały na tym świecie dobro i miłość.

Rabbi spojrział mu w oczy i przemówił. Nie pamięta, co Rabbi mu powiedział. Rabbi mówił wspaniale. Zawsze tak składnie, tak gładko, tak pięknie, ale on nigdy nie rozumiał, o co chodzi, i nie był w stanie zapamiętać choćby jednego słowa. A może w ogóle nie było słów? Może była jedynie muzyka, uparczywie przypominająca, że istnieje, istnieje, istnieje na tym świecie i dobro, i przyjaźń, i ufność, i piękno...

Oczywiście pośród uczniów okazał się najpośledniejszym z poślednich. Wszyscy wysługiwali się nim, wszyscy go gdzieś wysyłali. To po wodę, to na targ, to do lichwiarza, to do starosty. Skop ogródek gospodarzowi - on nas wziął pod swój dach. Obmyj nogi tej kobiecie - nakarmiła nas. Pomóż niewolnikom tego kupca - on dał nam trochę pieniędzy... Groźny Jan ze swoim wiecznym straszliwym kindziałem rzuca mu sandały - żeby na rano były zreperowane! Pełen jadu jak zepsuta ryba Tomasz gwoli rozrywki zadaje mu idiotyczne zagadki, a jeśli nie odgaduje - "pokazuje Jeruzalem". Pyszałkowaty i nudny Piotr co rano przyczepia się ze swymi morałami, których tak samo nie można zrozumieć, jak i nauk Rabbiego, tyle że Rabbi nigdy się nie złości, a jedyne, co robi Piotr, to złości się i zanudza. Kucnie, bywa, rano zmuszony większą potrzebą, postawi przed sobą i piłuje, piłuje, piłuje...

napina się, stęka i przynudza.

Ale to mimo wszystko było szczęście. Przecież w pobliżu zawsze był Rabbi, wystarczyło wyciągnąć rękę i dotykało się go. Potarga cię lekko za ucho i przez cały dzień jesteś szczęśliwy jak ptaszek.

...Ale kiedy przyszli do Jerozolimy, od razu się pogorszyło. Nie rozumiał, co się stało, widział jedynie, że wszyscy chodzili niezadowoleni, a na czoło Rabbiego padł cień troski i trwogi.

Coś było nie tak. Coś było nie tak, jak powinno. Cóż mógł poradzić? Wychodził ze skóry. Starał się każdemu usłużyć. Zaglądał w oczy, żeby odgadnąć życzenia. Ruszał na dźwięk pierwszego słowa. Mimo to kuksańce sypały się jak grad i nie było już więcej żartów, nawet głupich i bolesnych, a Rabbi zrobił się roztargniony i wcale go nie dostrzegał. Wszyscy z jakiegoś powodu czekali na święto Paschy. I święto nadeszło.

Wszyscy przebrali się w czyste szaty (wszyscy poza nim - on czystych szat nie miał) i zasiedli do wieczerzy. Rozmawiali niespiesznie, po kolei maczali paschę w misie z miodem, uczta trwała, wszyscy kochali się nawzajem, a Rabbi milczał i był smutny. Potem nieoczekiwanie przemówił. Jego mowa była pełna goryczy i ponurych przeczuć, nie było tam słowa o dobru i miłości, o szczęściu i pięknie; za to wiele o zdradzie i nieufności, o gniewie i bólu.

I podnieśli wrzawę, początkowo nieśmiało, z niedowierzaniem, później coraz głośniejsze, z obrazą i nawet oburzeniem. "Kto? - rozlegały się głosy. - Powiedz! Wymień nam jego imię!" - a groźny Jan omiótł wściekłym spojrzeniem twarz i nawet złapał za rękojeść swojego strasznego noża. On tymczasem - ukradkiem, bo to nie była jego kolej - wyciągnął rękę ze swoim kawałkiem paschy do misy i Rabbi nieoczekiwanie nań wskazał: "Na przykład on". Nastąpiła cisza, wszyscy spojrzeli na niego, a on z przestachu upuścił swoją paschę do miodu i gwałtownie cofnął rękę.

Pierwszy roześmiał się Tomasz, następnie uprzejmie zachichotał Piotr (kulturalnie przesłaniając dłonią zarośniętą paszczkę), a później także i Jan wybuchnął ogłuszającym śmiechem, odrzucając do tyłu całe ciało i o mało nie spadając z ławy. I śmiali się wszyscy. Nie wiadomo dlaczego, zrobiło im się wesoło. Nawet Rabbi się uśmiechnął, tyle że uśmiech miał blady i smutny.

On się nie śmiał. Początkowo wystraszył się, pomyślał, że zaraz zostanie ukarany za sięgnięcie poza kolejną do miodu. Później zorientował się, że jego występku nawet nie zauważono. I zaraz z jakiegoś powodu pojął, że nie dzieje się nic zabawnego, dzieją się za to

rzeczy straszne. Skąd się w nim wzięło owo zrozumienie? Nie wiadomo. Może zrodziło się na widok bladego smutnego uśmiechu Rabbiego? A może było to po prostu zwierzęce przecucie nieszczęścia?

Wyśmiali się, pohałasowali, nastrój zmienił się na weselszy, wszyscy się cieszyli, że Rabbi po raz pierwszy od tygodnia zażartował, a żart okazał się tak udany. Dojedli paschę, polecili mu sprzątnąć ze stołu, a sami zaczęli układać się do snu. I właśnie kiedy mył na podwórku naczynia, wyszedł doń pod gwiaździste niebo Rabbi. Przysiadł na odwróconym do góry dnem kotle i począł mówić.

Rabbi mówił długo, powoli, cierpliwie, raz po raz powtarzał jedno i to samo: dokąd powinien teraz iść, o kogo zapytać, co trzeba będzie powiedzieć, skoro zostanie dopuszczony przed oblicze, i co uczynić później. Rabbi mówił, a później żądał, żeby powtórzyć jego słowa, żeby dobrze zapamiętać: dokąd, kogo, co powiedzieć i co czynić później.

I kiedy już o świcie po raz trzeci poprawnie i bez potknięć powtórzył polecenie, Rabbi pochwalił go i poprowadził z powrotem do środka. Wewnątrz głośno - tak by usłyszeli ci, którzy nie spali, i ci, którzy się zbudzili - Rabbi kazał mu wziąć kosz i natychmiast iść na targ, by kupić jedzenie na jutro, a dokładniej na dzisiaj, ponieważ jutro już się zaczęło, i dał mu pieniądze, które wziął od Piotra.

I poszedł chłodnymi jeszcze ulicami miasta, po raz czwarty, piąty i szósty powtarzając: kogo; co powiedzieć; co uczynić później. I szedł tam, gdzie mu polecono - bynajmniej nie na targ. I dziwił się, dlaczego teraz, kiedy wypełnia polecenie Rabbiego, ponure zwierzęce przecucie nieszczęścia nie tylko go nie opuszcza, ale nawet jak gdyby narasta z każdym krokiem. I nie wiadomo dlaczego, w błękitnawych ulicznych cieniach majaczyły mu pełne gniewu oczy groźnego Jana i zwidywało się mrozące krew w żyłach lśnienie ostrza długiego Janowego noża...

Przyszedł, gdzie mu polecono, i zapytał o tego, o kogo spytać się kazano. Z początku nie wpuszczano go i dotkliwie długo trzymano w wielkim, ledwie oświetlonym pojedynczą pochodnią pomieszczeniu, aż na kamiennej posadzce zdrętwiały mu nogi. Później poprowadzono go gdzieś i stanął przed dostojnikiem, i bez potknięcia, bez żadnej pomyłki (szczęście mu sprzyjało!) powiedział wszystko, co polecono mu powiedzieć. I ujrzał, jak dziwna, nienaturalna radość rozjarza się na wypielęgowanym obliczu bogatego człowieka, do którego go doprowadzono. Kiedy skończył, pochwalono go i wciśnięto do ręki mieszek z pieniędzmi. Wszystko działało się dokładnie tak, jak przepowiedział Rabbi: pochwałą, dadzą pieniądze - i oto już prowadzi strażników.

Słońce stało już wysoko, na ulicach pełno ludzi, a wszyscy się przed nim rozstępują, ponieważ za nim idą strażnicy. Wszystko toczy się, jak przepowiedział Rabbi, a nieszczęście jest coraz bliżej i nic nie można poradzić, ponieważ wszystko dzieje się, jak mówił Rabbi - a więc tak, jak powinno.

Tak jak rozkazano, strażników zostawił na progu, a sam wszedł do domu. Wszyscy siedzieli za stołem i słuchali Rabbiego, a groźny Jan, nie wiadomo dlaczego, przyłgnął do Rabbiego, jak gdyby swoim ciałem próbował osłonić jego pierś.

Wszedłszy, powiedział, jak mu polecono: "Przyszedłem, Rabbi" - i Rabbi, delikatnie uwolniwszy się od Janowych rąk, wstał i podszedł do niego. Objął go, przytulił i pocałował tak, jak ojciec całuje syna. I zaraz do izby wdarli się strażnicy, a naprzeciwko nim, z przerażającym krzykiem, przeskakując stół, runął z podniesionym mieczem Jan i zaczęła się walka.

Zaraz na początku przewrócono go na ziemię i podeptano. Stracił przytomność i niczego nie widział ani nie słyszał. Kiedy się ocknął, okazało się, że niczym żalosna kupka gnatów - każda kość go bolała - poniewiera się w kącie, a nad nim pochyla się Piotr. Wszędzie walały się potłuczone naczynia, połamane meble, rozdeptane jadalno i wszystko to było jak w rzeźni obficie zlane krwią.

Piotr spoglądał mu prosto w twarz, ale jak gdyby go nie widział, gryzł tylko gorączkowo palce i mrucał, głównie niezrozumiale. "Co teraz robić? - mamrotał Piotr, bezmyślnie wytrzeszczając oczy. - Co ja powinienem teraz zrobić? Gdzie się podziać?" A zauważywszy wreszcie, że leżący się ocknął, złapał go oburącz za szyję i ryknął: "Sam ich tutaj przyprowadziłeś, kozi bobku, czy ci kazano? Mów!" "Kazano mi" - odparł. "A to skąd?" - ryknął Piotr jeszcze głośniejszym głosem, podtykając mu pod twarz mieszki z pieniędzmi. "Rozkazano mi" - wydusił z rozpaczą. Wówczas Piotr puścił go, wstał i wyszedł, po drodze chowając za pazuchę mieszki, ale na progu przystanął, odwrócił się i powiedział, jak gdyby wypluwając słowa: "Śmierdzący zdrajca, judasz!"

W tym miejscu opowiadania nasz kurczak przerwał zniechęcony w pół słowa, zadygotał i z przerażeniem wlepił wzrok w drzwi. Wtedy i my całą brygadą wlepiliśmy wzrok w drzwi. W drzwiach nie było niczego szczególnego. Z nieodłączną teczką pod pachą stał w nich Ahaswer Łukicz i z trudnym do określenia wyrazem twarzy (ni to litość malowała się na niej, ni to smutna pogarda, a może nawet nostalgiczna tęsknota) spoglądał na kurczaka i przywoływał go do siebie palcem. Kurczak z łomotem opuścił na linoleum swoje gnaty i na czworakach popętlął do Ahaswerowych stóp, piskliwie pokrzykując:

- Rozkazano mi! Rozkazano! On sam mi rozkazał! I kazał nikomu nie mówić! Ja bym

ci powiedział, Groźny, ale wszak on nie pozwolił nikomu mówić!...

- Wstawaj, sraluszk - rzekł Ahaswer Łukicz. - Otrzyj smarki. Wszystko dawno minęło i zostało zapomniane. Chodź. On chce cię zobaczyć.

33. Dzisiaj w końcu nastąpił siedemnasty, ale nie siedemnasty listopada, tylko siedemnasty lipca. Oślepiające słońce. Błocko pod oknami zmieniło się w burą, popękaną skorupę. Topole w alei Pracy kipią zielenią, kotki już się poosypywały. Upał. Nie mam pojęcia, w czym wyjść na ulicę - jedyne letnie ubranie, jakie posiadam, to nylonowy podkoszulek i slipy.

Z samego rana Parasiuchin przywdział swój czarny skórzany mundur motocyklisty SS (oraz patrona "Błękitnej Ostrygi") i przyczepił się do Demiurga, nalegając, by ów wysłał go na delegację do Świata Marzeń. Świat z dużej litery i Marzenie również z dużej. Demiurg trzykrotnie, celowo nachalnym, urzę-dowo-pedagogicznym tonem wypytywał go: Świat czyich to konkretnie Marzeń ma na myśli Parasiuchin? Nawet ja, wewnątrznie podśmiewając się nad całą sprawą - wyczułem w owym upartym wypytywaniu jakąś groźbę, jakąś podwodną rafę i drgnęło we mnie niewyraźne, nieprzyjemne wspomnienie, poczułem nawet coś w rodzaju obawy o naszego Parasiuchina. Jednakże rumiany bałwan niczego nie poczuł - przy całej swojej osławionej nordyckiej intuicji i całym swoim szeroko znanym głose wewnętrznym. Parł przebojem: możliwy jest Świat tylko jednego Marzenia, cała reszta to albo miraż, albo intrygi... Marzenia tak czystego, jak czyste jest kryształowe źródło rodzące się w czystych głębinach czystej kolebki narodu... jego osobistego, Para-siuchinowskiego Marzenia, tegoż samego marzenia narodowych plemion...

Z tym wszystkim został wysłany. Oto już zbliża się pora obiadu, a jego ciągle nie ma.

Zjawiała się para interesantów. Chłopak i dziewczyna, gorące komsomolskie serca. Oboje w spłowiałych zielonych kombinezonach pokreślonych napisami: BUDOWA BAM-U, BUDOWA SIAM-U, BUDOWA OWAM-u, jakieś liczby oznaczające lata (w tym również 1997, co mnie cokolwiek zdziwiło). Twarze rumieniały się zmieszaniem i płoną entuzjazmem.

Przed oblicze został dostarczony projekt: *O oswobodzeniu ludzkości od strachu*. Fundamentem i ojcem naszej cywilizacji jest strach... Również sumienie często bazuje na strachu... i tak dalej. W ogóle cały projekt opiera się na mikroskopijnym doświadczeniu osobistym i wyczytanym gdzieś zdaniu: "Zdrapcie wierzchnią warstwę dowolnej ludzkiej wady, a ukaze się jej osnowa - strach". (Powiedziane w stylu Bernarda Shawa, ale to nie Shaw). Strach dławi i krępuje: poczucie sprawiedliwości, prostotę-szcze-rość-otwartość, tudzież poczucie godności własnej, dumę, pryn-cypialność...

Demiurg zbił ich z tropu śpiewająco. Wszak nie da się zaprzeczyć, że strach dławi i krępuje również: sadyzm, masochizm, pęd do łatwego zysku, skłonność do krzywoprzysięstwa, mściwość, agresywność, konsumpcyjny stosunek do cudzego życia, zamiłowanie do anonimów, idiotycznapryncypialność... Poza tym, jeśli zdrapać wierzchnią warstwę pewnych dobrych cech pewnych ludzi, nierzadko ukazuje się tenże sam strach... Myśl sama z siebie nie jest zresztą głupia, będzie się nad czym zastanawiać, konieczne jest jednak staranne i wszechstronne dopracowanie. Odprowadzić! Poczęstować sokiem owocowym domowej roboty! Palta podać!

Co za palta w środku lipca! Poprowadziłem do kuchni częstować sokiem i wtedy pojawił się Parasiuchin.

Zwalił się w korytarzu jak płat tynku z sufitu i niczym wielki wór kości rozsypał się na linoleum. Ledwo zdążyłem otworzyć usta, a już pozbierał swoje ręce-nogi, osłonił się rozczapierzonymi dłońmi, łokciami, nawet kolanami i w takim stanie wcisnął się w ścianę, przez palce błyskając wytrzeszczonym okiem. Po korytarzu rozeszła się fala smrodu - czy to narobił w portki, czy może skąpano go niedawno w wychodku, nie próbowałem dochodzić faktów. Zwyczajnie skrzyknąłem brygadę. Brygada zbiegła się, wydałem polecenia. Powlekli Parasiuchina na dezynsek-cję: Kołpaków jak zwykle z milkliwą gorliwością, Matwiej Ma-twiejewicz z piskliwym lamentem, a Spirtow-Wodkin, zalewając okolicę przekleństwami jak pacjent z chorobą tikową de La Tourette'a.

Dopiero wówczas wreszcie pojąłem swoje niejasne obawy, wyraźnie i z detalami wspomniawszy moje osobiste smutne doświadczenia w Świecie Marzeń Matwiej a Matwiej ewicza Hersz-kowicza...

“Świat Marzeń - pouczająco powiedziałem przyglądającym się całemu zdarzeniu z dreszczykiem i chciwym zaciekawieniem chłopakowi i dziewczynie - Świat Marzeń to rzecz diabła niebezpieczna i niełatwa. Marzyć oczywiście trzeba. Ludzie powinni marzyć. Ale bynajmniej nie wszyscy i nie każdy z osobna. Są ludzie, dla których marzenie jest niewskazane. Zwłaszcza marzenie o światach”.

Młodzian i dziewczyna oczywiście mnie nie zrozumieli. Zresztą nie miałem zamiaru niczego im tłumaczyć, zamierzałem po prostu napić ich sokiem, co też uczyniłem - przy wtórze rozmaitych elokwencji dochodzących ze stanowiska dezynsekcijnego.

A już całkiem pod wieczór zjawił się Ahaswer Łukicz, i to nie sam.

“*Ecce homo!*”- oznajmił, ujmując gościa za ramiona i lekko popychając go w moim kierunku. Gość uśmiechał się zmieszany niewysoki, przystojny mężczyzna koło pięćdziesiątki, w garniturze o dziwnym kroju. Na prawej kości policzkowej różowiło się coś

w rodzaju plastra, ale nie plaster, raczej resztką niestarannie usuniętej charakteryzacji. Również z jego lewą ręką coś było nie w porządku - wisiała bezwładnie i sprawiała wrażenie krótszej niż powinna być, czubki palców ledwie wystawały z rękawa.

Takim go ujrzałem po raz pierwszy - trochę zmieszanego, niezupełnie zdrowego i bardzo zaintrygowanego.

- Proszę o łaskawe względy - oświadczył wesoło Ahaswer Łukicz. - Georgij Ana...

(UWAGA IGORA K. MYTARINA. W tym miejscu rękopis *OZ* urywa się. Dalszego ciągu nigdy nie widziałem i nie wiem, czy istnieje. Najprawdopodobniej cały dalszy tekst usunął sam G. A.

- na przykład z powodu skromności. Dopuszczam możliwość, iż cała usunięta część rękopisu była poświęcona przede wszystkim G.A. Oczywiście możliwe są także inne wyjaśnienia. Jest ich nawet kilka. Ale co za sens je tutaj przytaczać? Wszystkie są nazbyt nieprawdopodobne.

Nawiasem mówiąc, stwierdzenie “wierzę, albowiem jest to absurdalne” wyszło według mnie nie spod pióra świętego Augustyna, ale spod stylu czcigodnego Kwintusa Septymiusza Tertuliana, jednego z pierwszych biskupów iberyjskich).

Nieodzwonne zakończenie

Ze zrozumiałych powodów moje zapiski urywają się na dwudziestym lipca i pojawiają ponownie dopiero zimą. Minęło czterdzieści lat i teraz nie jestem w stanie jasno i szczegółowo przedstawić wydarzeń poranka dwudziestego pierwszego lipca. W jaki sposób wszyscy znaleźliśmy się wraz z G.A. przy jego samochodzie w chłodnym półmroku przedświt? Jakim cudem znaleźliśmy sposób, by wstać tak wcześnie po niepokojach dnia poprzedniego? A może wcale nie kładliśmy się spać? Może domyśliliśmy się, jaką decyzję podejmie G.A., i dyżurowaliśmy przez całą noc, żeby nie puścić go samego? Nie pamiętam.

Pamiętam, że z miejsca siadłem za kierownicę.

Pamiętam, jak G.A. niespotykanie groźnym i rozkazującym głosem oświadcza, że dziewczęta nigdzie nie pojadą.

Pamiętam, jak Zojka bez kropli krwi w twarzy przygryza koniuszki palców - słowo daję, zupełnie jak w jakimś archaicznym melodramacie.

Pamiętam, jak Irenka, płacząc w głos, wyrywa się do auta, a łzy jej tryskają na wszystkie strony, jak u szlochającego niemowlaka.

I doskonale pamiętam Askoldzika - zdecydowanie wysuwa się naprzód, ujmuje Irenkę z tyłu za łokcie i uspokajająco mówi G.A.: "Nie martwcie się, jedźcie, ja ją przytrzymam".

Zapamiętałem to na całe życie: Jedźcie, jaja przytrzymam.

(Rozumiem i domyślam się, Askoldzie Pawłowiczu, że nader przykro jest ci teraz czytać tamte własne słowa. Dopuszczam nawet możliwość, że przez czterdzieści lat zdążyłeś zupełnie je zapomnieć. Dopuszczam nawet możliwość, że wówczas wcale nie przywiązywałeś do nich znaczenia: słowa jak słowa, nie gorsze od innych. Jednak w świetle tego, co później nastąpiło, brzmią dziś, musisz przyznać, dosyć odrażająco. Cóż poradzić? "Z pieśni słowa me wyrzucisz". Komu to zresztą potrzebne?)

Niemal wcale nie pamiętam naszego przejazdu przez miasto. Tylko niewyraźnie tli się w pamięci uczucie zdziwienia, że tak wcześnie na ulicach jest tak wielu ludzi.

Pamiętam cmentarzysko zwierzęcych szkieletów w mrokach przedświt. Wydało mi się wówczas, że kości się poruszają. A czaszki odprowadzają nas spojrzzeniami pustych oczodołów.

Flora nie spała. Dopalało się mnóstwo ognisk, a pomiędzy ogniskami snuły się ponure zmarznięte postacie. Zalatywało przypaloną kaszą, apteką, nawilgłymi szmatami. Zapachy z jakiegoś powodu zapamiętałem. Dziwna sprawa!

G.A. podszedł do największego ogniska i siadł przy nim. Obok nusiego. Obok swojego syna. I zaraz wszyscy dookoła przemówili. Nie zapamiętałem ani jednego zdania, tym bardziej że na ogół mówili żargonem; pamiętam jedynie, iż były to skargi i przekleństwa. Przeklinali G.A. za nieszczęście, które na nich ściągnął, i skarżyli się na strach i brak nadziei. G.A. milczał, wodził tylko wzrokiem po krzyczących, płaczących, dławionych atakiem hysterii.

Potem wszyscy gdzieś znikli, przy ognisku zostaliśmy jedynie we trzech i nusi począł namawiać ojca do odejścia, zanim będzie zbyt późno. Mówił coś o sensie i bezsensie, o przeznaczeniu i ofiarach, coś o nadziei i rozpacy. W normalnym, powiedziałbym wręcz znormalizowanym języku rosyjskim, nieskazitelnie czysto i poprawnie. G.A. odpowiedział: “Ty masz swoich uczniów, ja - swoich. Wy macie swoją prawdę, my - swoją” i nusi odszedł.

Pamiętam, jak straszno mi było. Szczekałem zębami. Tak pewnie czują się skazańcy przed egzekucją. Każdy nerw we mnie dygotał. G.A. objął mnie za ramiona i przytulił. Był gorący, niezawodny, twardy, a zarazem taki drobny, taki szczupły, taki bezbronny, i po raz pierwszy zauważyłem, że jestem od niego o całą głowę wyższy i dwa razy szerszy w barach.

W tym momencie przy ognisku znalazł się ów łysawy grubasek w idiotycznym garniturku, z idiotyczną teczką pod pachą.

(Nawet i teraz nie rozumiem za bardzo, kim był w rzeczy samej - czy istotnie wypłynął z przeszłości, czy może zstąpił ze stronic osobliwego rękopisu. Wyczuwam w nim jakieś bezwzględne dziwo, o ile w ogóle nie przywidział mi się wówczas przy ognisku, jako że owego ranka nie takie rzeczy mogły mi się przywidzieć. Wtedy, jak pamiętam, nawet nie pomyślałem o jakimkolwiek rękopisie - był dla mnie po prostu denerwująco cudacznym typem, który w nieodpowiednim miejscu i w nieodpowiednim czasie przyczepił się do mojego G.A).

O czymś rozmawiali. Krótko i niezrozumiale. Nie pamiętam żadnych szczegółów. Pamiętam tylko, że cudaczny typ mówił głosem i tonem zupełnie niepasującym ani do niego, ani do okoliczności. Ach, jakże teraz żałuję, że nie przysłuchiwałem się wówczas ich rozmowie! Zapamiętałem jedynie ostatnie słowa G.A. - widocznie zaraz wziąłem je do siebie: “Proszę przestać. Jaki tam ze mnie terapeuta? Jestem najzwyczajniejszym pacjentem...”

Słońce wynurzyło się już zza wzgórz: na zachodzie, tam gdzie wiła się droga, zobaczyłem jasno i radośnie oświetloną, kłębiącą się żółtą ścianą. To był kurz. Kolumna pojazdów skręciła z szosy i posuwała się w naszym kierunku.